

ABRAM TERC

LUBIMOW

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

LUBIMOW

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom XCI

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)**

ABRAM TERC

LUBIMOW

Z rosyjskiego przełożył *Józef ŁOBODOWSKI*

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1963

PRZEDMOWA

Opowiem wam, towarzysze, o mieście Lubimowie, które jest, być może, starożytniejsze od samej Moskwy i tylko przez pomyłkę nie stało się wielkim ośrodkiem. Gdyby tak swego czasu przeprowadzono tędy odgałęzienie linii kolejowej, albo wywiercono odpowiedni szyb naftowy, zaraz bujne życie w Lubimowie wystrzeliłoby jak ta fontanna i rozrosłoby się miasto do rozmiarów jakiegoś Magnitogorska. Ale drogi postępu ominęły naszą miejscowość i dokoła mamy zwyczajne równiny, a na nich niezbyt bujną roślinność, i jeszcze bagna, albo lasy na bagnistych gruntach, na których mnożą się dzikie zające i różne niejadalne ptactwo.

Co prawda, nieco dalej, za Mokłą Górą, zatrząsienie osławionych kaczek, na które można polować, i powiadają, że w dawnych czasach zwożono tych kaczek całe wozy, uważając, iż nadają się do jedzenia. Ale żeby w naszym kraju zdarzały się bizona, albo tapiry, czy jakieś tam żyrafy o węzowatych szyjach, tego to nawet i najstarsi nie pamiętają. I chociaż doktor Linde w dalszym ciągu opowiada wszystkim, że kiedyś o zachodzie słońca trafił zamiast na cietrzewia, na przedpotopowego pterodaktylusa, wszystko to wymyśli, łągarstwo, i nic w tym rodzaju u nas się nie zdarza. Istotnie, w Afryce — czytałem o tym w pewnym czasopiśmie — znajduje się w jakimś jeziorze jeden pterodaktylus. Zaś doktor Linde jeśli nawet trafił na coś koło Mokrej Góry, to na pewno była to zwyczajna bagienna czapla¹. Okropnie ten ptak — czapla niby — nawołuje i jęczy w ciemnościach.

1. Ścisłej odmiana czapli, zwana bąkiem (Przyp. tłumacza).

A co do samego miasta Lubimowa, to niczego sobie, owszem, wesołe, mieszkańcy różne zainteresowania zdradzają, umysłowo rozwinięci, jest sporo komsomolców i dość intensywne rozwarstwienie inteligencji. A dwa sezony wstecz — jeszcze przed tymi wydarzeniami — przysłali z Leningradu nauczycielkę, Serafinę Piotrownę Kozłową, żeby obcy język w starszych klasach wykładała. Jej przybycie wprawilo wszystkich po prostu w zdumienie. Czy to jakieś przedstawienie, czy majówka, zawsze pierwsze skrzypce trzyma. Nieraz zdarza się, na imieninach rąbnie kieliszek musującego wina, jak nie wrzaśnie przeraźliwie, poblednie i natychmiast nóż w zęby, prosto za ostrze, i wybija lezginkę według wszelkich prawideł, tylko łokcie fruują w powietrzu.

Ale na nic takiego sobie nie pozwalała: zbyt wiele było w niej pychy. Z powodu jej niedostępności doktor Linde niemal że kręcka we łbie dostał. „Zakładam się — powiada — o dwa tuziny dużych piw, że po dwóch wieczorach znajdę się z tą czarowną wróżką w intymnej sytuacji”. No, i przegrał. Piwo wypiliśmy, pośmieliśmy się zdrowo. Najwyżej co osiągnął, to że rączki pozwoliła dotknąć. A i to tylko paluszka — półtora paznokietka.

Ja też starałem się kiedyś ją wysondować, po prostu dla sportu. Przychodzi Serafina Piotrowna do miejskiej biblioteki i znudzonym głosem pyta o jakąś książkę do poczytania. Spojrzałem na nią przenikliwie i odpowiadam:

— Może będzie odpowiadać interesująca powieść Guy de Maupassanta: „Miły przyjaciel”? Bardzo rozpustna powieść z francuskiego życia...

Ziewnęła, przeciągnęła się, aż piersi wypięły się do przodu, i powiada:

— Nie, dziękuję, nie mam chęci. Ja bym — powiada — wolała Feuchtwangera, albo Hemingwaya...

Ażem chrząknął.

— Co znowu! — mówię szeptem — czegoś takiego u nas ani-ani. Z tą zgnilizną skończyliśmy w czterdziestym siódmym roku. Na temat Feuchtwangera instrukcja była z centrali...

— Czyżby? — nic o tym nie wiedziałam. W takim razie poproszę o „Spartaka” Giovaniollego. Lubię przed zaśnięciem zanurzyć się w awanturniczej tematyce.

— A to owszem — powiadam. — Tego ile kto chce. „Spartaka” mamy w naszym mieście aż w dwóch egzemplarzach.

A wściekły jesteś na siebie aż do wariactwa. Przecież mógłbym być ojcem tej Serafinki. Czytałem i tego Feuchtwangera i Hemingwaya też czytałem. Nic specjalnego. A znowu takich kobiet jak ona, wypróbowałem w życiu, może, z pięćdziesiąt sztuk. Nawet i takie zdarzały się, co w kapelusikach paradują. A jednak rozmawiam z nią i gubię się i oczy do ziemi opuszczam. Wszystko dlatego, że leningradka, ze skończonym wykształceniem. Ech, prowincja, prowincja!

Trzeba jednak dodać, że mamy tu pomniki architektoniczne. Były klasztor ze średniowiecznej epoki. Już po rewolucji, w 1926-ym, kiedy świątobliwych ojcaszków wysłano na Sołówki, na poprawcze roboty, przyfrunął tu do nas profesor, żeby naukowo zbadać jak to się wszystko naprawdę odbyło. Przez całe lato mierzyli i dłubali w ziemi, mumii poszukiwali. Ta mumia to oczywiście dla zamydlenia oczu. Złoto — oto czego szukali pod cerkiewnymi płytami. Metal tytularny, weźmiesz w ręce — wiesz, że coś posiadasz. Ale tajemnicy skarbu wykryć im nie udało się. Wykopali nagi szkielet jakiegoś mnicha z kłami dzika zamiast zębów, i tylko z tym pojechali.

Tutejszy naród nawet dość interesował się tym szkieletem i kłami, i profesorem i chcieli bezpłatnego wykładu posłuchać — w jaki sposób ziemia ze słońca powstała i skąd się wziął cały roślinny i zwierzęcy świat. Także i ja zrobiłem maleńki spacer w kierunku tych wykopalisk. Pamiętam — jedwabny pas z frędzlami włożyłem i słomkowy kapelusz, podchodzę bez pośpiechu, witam się. Uchyliłem uprzejmie słomkowego kapelusza. — Powitać — powiadam — jakże tam rozwijają się naukowe poszukiwania?

A profesor — taki zwyczajny, prosty, w gumowych trepkach, trudno w pierwszej chwili domyśleć się, że to profesor — mile na mnie spogląda i srebrzystą bródkę w palcach przebiera, a na rączce u staruszka ślubna obrączka. Ocho — pomyślałem — carski reżym! Z szacunku zdjąłem słomkowy kapelusz, stoję, wachluję się z uśmiechem. Nagle profesor pierwszy zbliża się do mnie o krok.

— A jak to, młodzieńcze, się stało (wtedy jeszcze do trzydziestki nie dociągnął), tu przecież u was w dawnych

czasach historyczna kaplica była i nie rozumiem, gdzie się podziała?

Pokazałem mu pusty plac i wyjaśniłem szczegółowo, że w okresie walki z analfabetyzmem kapliczkę naszą wysadzili dynamitem w powietrze, bo rzeczywiście bardzo wielką czią ją otaczano i ludowe masy duży tłok czyniły, w zasadzie zaś kobiety, a ponadto były nawet fakty przypadkowego zbiegu okoliczności, kiedy jeszcze przed rewolucją pewien ślepiec odzyskał wzrok cudownym sposobem, tylko że dynamitu było za mało, więc wypadło resztę ręcznie wykańczać, był projekt, żeby piekarnię zbudować, ale koło Bożego Narodzenia spalił się przewodniczący, a u Marjamowa, Jegora Tichonowicza, jedna ręka uschła, a znowu dwóch innych dynamitowców przypadkowo powietrze od wybuchu zabiło, zaś po roku Andriuszę Pasiecznika, który wszystkich namawiał, trzepnęło polanem po łbie przy wyrąbie drzewa, przywieźli go do domu, do rana umarł, więc profesor patrzy na mnie jeszcze pieszczotliwiej i powiada:

— Ty byś, młodzieńcze, powinien to wszystko zapisywać w chronologicznym porządku w specjalnym zeszycie. W ten sposób powstanie autentyczna kronika z życia waszego miasta i miasto Lubimow wejdzie do światowej historii. To może się bardzo przydać dla pożytku sprawy, a ty zdobędziesz wieczystą sławę, niby jakiś tam Puszkina...

Pogadaliśmy sobie z profesorem i rozeszliśmy się. Z powodu mej niepełnoletności nie przywiązywałem do jego słów absolutnie żadnego znaczenia; wtedy tylko panienki były mi w głowie, gołe tyłki i wszelkie flirty, samouczek gry na gitarze w dwudziestu pięciu lekcjach. Rower. Anim zdążył się obejrzeć, patrzę — łysina spod włosów pokazała się, owdowiałem, córka Ninoczka za mąż wyskoczyła, i zabrakło już w duszy dawnej miłości do sportowego cyklizmu.

Zacząłem po troszku zastanawiać się. Po co, myślę, cała ta marna krzątania? Po cóż żyje i walczy nieświadomy człowiek, jeśli wystarczy mu wziąć do rąk pierwszą lepszą książkę i już od pierwszych stron masz żonę i dzieci, wyjeżdżasz do innego miasta, doświadczasz najbardziej gwałtownych wrażeń, nie narażając przy tym swego zdrowia na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Dlaczego książki są piękne i pożyteczne? W tym samym czasie, gdy je czytasz, dusza twoja ulatuje w nieznane strony, żegluj na okręcie, fech-

tuje się szpadą, cierpi i uszlachetnia się, w tym samym czasie twoje ciało siedzi na jednym miejscu, odpoczywa, a nawet jest w stanie kurzyć dla niepoznaki papierosika i pociągać ze szklanki chłodzące napoje. Zapominamy o sobie, zamieniamy się w Spartaka, w króla Ryszarda Lwie Serce z powieści Waltera Scotta, ale w tej samej chwili nie ryzykujemy niczym, absolutnie niczym w związku z naszymi kapryśnymi wyjazdami i posunięciami politycznymi. Zdajemy sobie wówczas sprawę z naszego bezpieczeństwa i przeciągamy się z rozkoszą...

Gorycz cię zalewa tylko wtedy, gdy pisarz rozpuszcza nagle wodze fantazji. Siedzisz oto, wszystko przeżywasz, może nawet ciarki po grzbiecie ci przechodzą, a tu okazuje się, że on to po prostu sam wymyślił. Nie, jeżeli już podjął się pisania, to niech pisze o tym, co sam widział, albo przynajmniej dowiedział się ze sprawdzonych źródeł. Żeby dusza czytelnika, podróżując po stronicach, nie psuła nadaremnie drogiego wzroku, lecz otrzymywała pewne i pożyteczne wiadomości w celu swego wewnętrznego rozwoju. Owa dusza chce żyć, tak jest, żyć i wzbogacać się, spojrzeniem swym wysysając z książki czyjąś gorącą krew, a nie próżne powietrze.

Lektura stała się moją namiętnością od chwili, gdy stałem się kierownikiem miejskiej czytelnicy. Najpierw — z braku zajęcia, potem wciągnęło mnie. Jeszcze później sam zacząłem próbować, wierszem nawet. Widzę: rzeczywiście, do rymu wychodzi. A jednak wciąż mi czegoś brakowało, a czego — wyrozumieć nie mogę. I wtedy właśnie przypomniałem sobie owego profesora, który przyjeżdżał do Lubimowa w 1926-ym roku. Ach — myślę — żeby tak w naszym mieście zdarzyła się jakaś historia — no, chociażby pożar, albo śledztwo sądowe — zaraz bym wszystko uwiecznił na papierze dla przyszłego potomstwa. Interesantów tak wielu znowu nie mam, tyle że doktor Linde zajrzy, żeby porozmawiać o rozwoju nauki, albo przywlecze się instruktor z rejonowego komitetu sprawdzić co też gazety mówią o sposobach zwiększenia pogłowia rogatego bydła, a niekiedy, zdarzało się, przyjdzie i cichutku usiądzie na boczku jeszcze jeden gość, o którym na razie mówić nie będę, bo nie przyszedł jeszcze na to czas... Tu właśnie z nią się zaprzyjaźnił, z Serafiną Piotrowną Kozłową, w mojej obecności wszystko się zaczęło... Ale na razie milczenie!

Przychodzę któregoś dnia do czytelnicy...

Nie, nie tak!

Któregoś dnia wychodzę z domu...

Nie, też nie tak!

Jakże to trudno napisać pierwsze zdanie, od którego wszystko powinno się zacząć. Potem pójdzie łatwiej. Potem, ja to wiem, wszystko pójdzie jak z płatka, ledwie masz czas, żeby odkładać zapisane kartki i stawiać na nowej stronie kolejny numer. Piszesz i nie rozumiesz, co się z tobą dzieje, skąd biorą się te wszystkie słowa, których nigdy nie słyszałeś i nie zamierzałeś ich napisać, a one nagle wynurzyły się spod pióra i popłynęły gęsiego po papierze, ni to jakieś kaczkę, ni to gęsi, ni to jakieś czarnoskrzydłe australijskie łabędzie...

Niekiedy coś takiego ci wyjdzie, że aż strach opada i samodzielnie piszące pióro wylatuje z palców. To nie ja napisałem! Słowo honoru, nie ja! Ale przeczytasz i widzisz: wszystko w porządku, wszystko właśnie tak było... Boże, cóż to się właściwie dzieje? Nie ma w tej sprawie mego bezpośredniego udziału! Być może, jak i całe to zaczarowane miasto zostałem puszczony w ruch czyjąś niewidzialną ręką?

Jeżeli groźni sędziowie pociągną mnie do odpowiedzialności i zakują moje rączki i nóżki w żelazne kajdany, uprzedzam z góry: wyrzeknę się wszystkiego, wyprę się, jak mi świat miły. Uwaga! — powiem — obywatele sędziowie! Wyście mnie okręcili, oplątali. Strzelajcie, jeżeli chcecie, alem nie winien!

Może właśnie dlatego tak zwlekam, że życie mi miłe? Może, pierwsze zdanie od dawna już siedzi w mojej zakolowanej głowie, a ja tylko komedię gram, durnia udaję i chcę wygrać na czasie? Chciałoby się jeszcze troszkę pożyć. Papieroska pokurzyć, piwa napić się... Książeczkę poczytać w bezpiecznej ciszy. Lektura to nie pisanie. Na rybki pójść. W łaźni wyparzyć się. Pogwarzyć z doktorem Linde na temat pterodaktylusów...

No, i znowu! Skąd przyleciało to obce nam słowo? Nawet go wymówić nie potrafię, pterodaktylusa tego, i mówiłem przecież — nie ma czegoś takiego w naszych stronach. A kysz! A kysz! Odczep się, precz, podły gadzie!

...Wychodzę któregoś dnia na ganek i widzę...

Nie, proszę zaczekać. Jeszcze zawcześniej. Po pierwsze, dlaczego — „ja”? Dlaczego — „wychodzę”? Cóż to za głupie przyzwyczajenie samemu pchać się do wszystkiego? I w ogóle to nie ja wyszedłem wówczas na ganek, lecz on, tak, on, Lonia Tichomirow, główny nasz mechanik od reperacji rowerów. A po drugie, wszystkie te szczegóły przeszkadzają okropnie. Jak już raz zjawiał się ganek, znaczy, że zaraz trzeba opisywać, co za ganek, wysoki, czy niski, i czy kolumnienki były rzeźbione, a jeżeli tak, to... no i po-o-oszło, i sam się nie spostrzeżesz, że już o czymś innym zaczynasz opowiadać.

Żeby nie rozdrabniać się, w historycznych księgach i kronikach (tak to przyjęto) wprowadza się specjalne odsyłacze. Zerkasz tam spojrzeniem od czasu do czasu i wszystko chwytasz. Więc dla ulżenia czytelnikowi i ja także wprowadzę takie odsyłacze. Każdy czytelnik będzie mógł na nich zatrzymać się i w chwilowym złapaniu oddechu, dowiedzieć się o różnych szczegółach, czy o czymś tam innym. A jeśli ktoś nie chce, albo nie ma czasu, czy też spieszy mu się, by zrozumieć główną treść, proszę bardzo, niech te drugorzędne odsyłacze spokojnie opuści i zapycha dalej, bez zatrzymania, ile wlezie.

A więc zaczynamy. Do dzieła! (*Stało się to 1 maja 1958 roku*).

Och, strach mnie ogarnia i głowa kręci się w kółko. (*Siedem nieszczęść, a ta sama odpowiedzialność!*).

Wciąga mnie, rozumiecie, wciąga, jak najgorszego pijusa, i podpływają do mego serca same nieodpowiedzialne słowa.

No, jazda! Naprzód! Zaczynam... (*Panie Boże, pobłogostaw!*).

R o z d z i a ł I

O NAUKOWYM PRZEWROCIE, DOKONANYM 1 MAJA, PRZEZ LONIĘ TICHOMIROWA

Któregoś poranka, Lonia Tichomirow, w garniturze stalowego koloru i w sandałach na bosych nogach, wyszedł na swój niziutki ganek. Postać przez chwilę, jak gdyby ogarnięty niepewnością, wyjął z kieszeni notes (*cały popstrzony drobnymi znakami*) własnej roboty i zagłębił się w jakieś matematyczne obliczenia.

Pogoda była cudowna. W lazurowym niebie topniały obłoczki z lukru, zaś słońce skrzyło się takim integralnym blaskiem, że w oczach wszystko skakało i podrygiwało, zaś postać Loni, oglądana przez opłotki, wydawała się otoczona złocistą aureolą. Ale wystarczyło przyjrzeć się nieco uważniej, aby zdać sobie sprawę, że Lonia Tichomirow studiuje notes nie tak zwyczajnie, lecz że wpiera się w niego spojrzeniem ze wszystkich sił, że całe jego długie ciało o wąskiej piersi skręca się rytmicznie, usta ciężko dyszą, a na czole wzdęły się dwie żyły. Widz do tego nieprzygotowany mógłby przerazić się stanem jego zdrowia, gdyż żyły te naprężyły się tak całkowicie, że uformowały na czole ostry kąt niebieskiego koloru, na podobieństwo rzymskiej cyfry V. (*To bywa powodem wylewów krwi do mózgu*).

W tej chwili odezwał się megafon, wiszący na słupie na głównym placu, przypominając o zbliżaniu się pierwszomajowego święta, i ta bojowa muzyka przywróciła Lonię rzeczywistości. Wsadził notes do kieszeni i powiedział:

„Acha!”. Co to znaczyło, na razie trudno było wyjaśnić. Powiedział: „Acha!”, i jakoś cały w sobie zapadł się i żyły na jego czole także się uspokoiły.

Staruszka matka wykuśtykała na ganek, pobrzękując wiadrami, i zapytała, czy ma podać swemu jednemu synowi twaróg ze śmietaną.

— Nie, mamusiu, nie mam ochoty, niech mamusia je sama — odpowiedział Lonia Tichomirow jakoś tak bardzo spokojnie. — Wolę przespacerować się na czczo...

W intonacji jego głosu było coś bardzo osobliwego.

I nikt go już tego ranka na ganeczku nie widział.

Ale przenieśmy się teraz na główny plac i zobaczymy, co tam się dzieje. A tam już grzmi bojowa muzyka i na samym środku wznosi się wielka skrzynia z dykty, obciążona czerwonym materiałem, a na tę olbrzymią — przeolbrzymią skrzynię z czerwonej dykty wylazła cała władza z rozjaśnionymi twarzami. Czekają, kiedy wkroczy sekretarz miejskiego komitetu, towarzysz Tiszchenko Semion Gawryłowicz, aby swoim zjawieniem się zwiastować rozpoczęcie święta.

Całą przestrzeń dokładnie oczyszczono, wilgotne miejsca posypane piaseczkiem, nie widać ani jednej krowy, ani nawet owcy, poszczypującej poranną trawkę. Na strażackiej wieży dumnie powiewa czerwony sztandar, a na dole zastęp milicji, złożony z pięciu jednostek — cały garnizon — bystro spogląda na wszystkie strony, żeby pijusy nie przedostały się przedwcześnie na plac i swoim rozmarzonym wyglądem nie popsują ogólnoludowej demonstracji.

I oto już w oddali nad drogą podnoszą się wesołe kłęby kurzu i aleją Wołodarskiego lud posuwa się ku śródmieściu. Na przodzie idą dzieci w białych koszulkach, które trzyma chorągiewkę, które papierową latarenkę, a inne nic nie trzyma, tylko idzie sobie, rześkie, nie spocone, gryząc ślazowy cukierek albo piernik i rozmazując po policzkach różowe smarki szczęśliwości. Za dziećmi przewalają się z nogi na nogę poniekąd pracujący — z leśnego przemysłu, z rejonowego przemysłu usługowego, pracownicy poczty i telegrafu, a ponadto na dwóch ciężarówkach spędzono ze wsi tłum kołchoźnych dziwek. Na taki widok, a już zwłaszcza na widok dzieciactwów, nadchodzących nam na zmianę żwawymi nóżkami, towarzysz Tiszchenko Semion Gawryłowicz prawie że rozplakał się z radości. Cały w uśmiechach, lśni jakby od

samego rana blinami się objadł, i robi pod adresem ludu powitalne znaki. Albo rękę przyłoży do daszka czapki, albo tak sobie po próżnicy stoi i głową kiwa. Że niby, przechodzić obywatele, nie tłoczyć się, pozwólcie i nam nieco odpocząć po wykonaniu służbowych obowiązków. Zaś lud, niezmiernie zadowolony, kurzy nogami do rytmu muzyki i wykrzykuje: „Hurra! — hurra na cześć naszych bohaterskich wojowników!”.

I nagle — stop — co się dzieje? Nikt nie przechodzi dalej, wszyscy tłoczą się na środku i patrzą z zainteresowaniem na towarzysza Tiszczenkę, który wyciągnął w dal prawą rękę z rozczapierzonymi palcami i gębę otworzył, jak gdyby zamierzał coś wypowiedzieć, zaś na twarzy ma wypisane oznaki walki wewnętrznej. I nawet radio na słupie nieco zredukowało swoje dźwięki, jak gdyby pozostawiając mu swobodę słowa.

Najpierw pomyślano, że chce pomówić o zewnętrznej polityce, złożyć życzenia w dniu solidarności i całą resztę. Wprawdzie nie należy naruszać porządku obchodu i przemawiać pod palącym słońcem, kiedy dawno już czas do domu i do świątecznego stołu, ale to już nie nasza sprawa, w jakim wypadku kto co ma mówić i dlaczego u nich wypadło małeńkie zahamowanie. Nasza sprawa to wysłuchać przemówienia, a potem już i napić się można. Na wypitkę zawsze czas, byle by pieniądze były. Tu nie żadni alkoholicy, zaczekamy, a po odczekaniu wypijemy. Najpierw wysłuchamy uważnie, co też życzy sobie wyjaśnić towarzysz Tiszczenko, a potem napijemy się bez przeszkód, ale napijemy się dzisiaj, ale populamy!

Ale zamiast tego towarzysz Tiszczenko powiedział zupełnie nie to samo. Jego nadtrzaśnięty głos rąbnął po placu jak siekierą. Wypowie jedno słowo i zamilknie, jeszcze wypowie i znowu zamilknie, a następnie jeszcze dwa słowa. Jakby go w tej chwili coś podkusiło oznajmić ludowi pilną wiadomość, a on nawet myśli zebrać nie zdążył i sam nie rozumie, dokąd go diabeł prowadzi.

— Kochani współobywatele! — wymówił Tiszczenko i zamilkł, a wszyscy zauważyli, że ogarnął go niepokój. — Kochani współobywatele... pragnę... pragniemy... oznajmić... od dnia dzisiejszego...

Szarpnął się cały, spurpurowiał i z całej siły, na jednym jedynym tonie wykrzyknął:

— ...od dzisiejszego dnia w Lubimowie rozpoczyna się nowa era. Całe kierownictwo, ze mną na czele, z własnej woli — podkreślam! — z własnej woli ustępuje z zajmowanych przez siebie placówek. Na zwolnione stanowiska rozkazuję, zaraz, bez zwłoki, powszechnym głosowaniem zatwierdzić pewną osobistość, która nas poprowadzi... naszą dumę!... naszą chwałę!... przyzywam... proszę...

Tu zaciął się, podskoczył, chwycił się za gardło obiema rękami... zacisnął dłonie, jakby pragnął powstrzymać wyrwijące się z krtani przemówienie. Oczy jakoś dziwnie wyszły mu na wierzch. Zdawało się, jeszcze chwila, a zwali się uduuszony na trybunę, która kołysała się i trzeszczała pod ciosami jego wielkiego, mocnego ciała. Ale, widać, władza mocniejsza — otworzyła mu zdrętwiałe palce i odciągnęła skurczone ręce, uwalniając od strasznego uchwytu krtani, pokrytą krwistymi siniakami. Tiszchenko upodobił się do kraba z rozłożonymi na boki kleszczami i w tej nieszkodliwej pozie zakończył swój występ:

— ...wybrać najwyższym władcą, sędzią i głównodowodzącym — wyszeptał i słychać było jak mu świszczy w oskrzelach...

— ...towarzysza Tichomirowa Leonida Iwanowicza, hurra!

Nad ludem zaległa cisza. Panowało milczenie. Była taka cisza, że wszyscy usłyszeli, jak szcękają zęby towarzysza Jegora Tichonowicza Marjamowa, naczelnika specjalnego wydziału i służby bezpieczeństwa, który dla ochrony władzy stał z boku trybuny, błydy, podobny do jednorekiego posągu. *(To był ten sam Marjamow, któremu podczas walki z zabobonami odjęto jedną rękę)*. A gdzieś w opłotkach, bardzo daleko, ryczała krowa, która ocieliła się w tak niewłaściwej chwili. *(To była ta sama krowa, która miała zwyczaj przedostawać się przez opłotki na główny plac i paść się jakby nigdy nic)*.

Jednak po krótkim czasie, to tu to tam rozległy się głosy i wkrótce cały tłum poruszył się, zahuczał, wyrażając uznanie dla wniesionej rezolucji:

— Niech żyje Tichomirow! Chwała Leonidowi Iwanowiczowi!

Prawda, jakiś chłop z głupoty zaczął rozpytywać: co to za jeden ten Tichomirow i z jakiej racji taki zaszczyt dla

niego? Ale wiejskiego chama zakrzyczano ze wszystkich stron:

— Jakto?! Nie znasz naszego Leonida Iwanowicza? Nigdyś nie słyszał o Loni Tichomirowie? Przecież to u nas główny mechanik od reperacji rowerów! Wstydź się! Od razu widać — kmiołek z wioski, ty taki owaki, ścierwo niewykształcone!

Nikt jakoś nie dziwił się, że rowerowy majster Lonia, dotąd mało komu znany Lonia, nagle wzniósł się tak wysoko. Przeciwnie, wszyscy dziwili się, dlaczego aż dotąd w Lubimowie nie otrzymał jakiegoś kierowniczego stanowiska i jak śmiała głupia miejska władza nie ocenić we właściwy sposób jego organizacyjnego rozumu!

— To wszystko Tiszczenko zawinił — mówiono w tłumie. — To on starał się odsuwać naszego biednego Lonię. I za to go teraz ukarali... Widzicie? Widzicie? Stoi jak sparaliżowany i łap połączyć nie może. Zgarbił się, rozczapierzył się, niby koromysł. Połamaniec! Wilkołak! Gnitek śmierdzący!

Pewne niemowlę, dwumiesięczny osesek, o własnej sile główki jeszcze podnieść nie może — jakaś młódka przyniosła śpiącego w pieluchach, żeby demonstrację obejrzał — usłyszał te słowa, przebudził się, wyplątał się z pieluch, rozdarł bezzębną gębę do samych uszu i jak zapiszczy:

— Chcę — powiada — żądam, żeby Lonia Tichomirow został carem w naszym mieście!

Grzmot oklasków zagłuszył jego dziecinne gaworzenie. Lud oszalał, bił w dłonie i powtarzał chórem, podkreślając każdą sylabę, kochane rosyjskie imię:

— Lo-nia Ti-cho-mi-row! Lo-nia Ti-cho-mi-row!

Dopiero wtedy — cóż miał robić! — z tłumu wystąpiła postać Loni. Miał na sobie garnitur stalowego koloru (*dopiero wtedy wyszło na jaw, dlaczego on z samego rana tak się wystroił*), ale wyglądał nieśmiało i był jakby nieco zawstydzony. Wyszedł na sam środek, ukłonił się starym zwyczajem na wszystkie cztery strony i powiedział:

— Wybaczcie, braciszku-towarzysze, ja po prostu nie rozumiem, kogo wy tu wywołujecie pod moim adresem. Po prostu nie jestem godzien waszej łaski. Ale jeżeli sobie tego życzyacie, a nawet żądacie, muszę wyrazić moją wymuszoną zgodę. Będę waszym sługą, zgodnie z wolą ludu, i tylko, bardzo proszę, żadnych następstw kultu jednostki. Po-

proszę także, żeby stanowiska ministra sprawiedliwości, obrony i spraw wewnętrznych pozostały na razie przy mnie. Naturalnie, państwo — to pojęcie obumierające, ale bez kontroli, bracia, także nie damy sobie rady, jak sądzicie, Semionie Gawryłowiczu Tiszczenko, nasz były naczelnik i zdymisjonowany sekretarzu?

Nastąpiła przerwa.

— Lonia, puść — wyjęczał z trybuny Tiszczenko. — Do ciebie mówię: Puszczaj! — dodał z groźbą, nie mogąc poruszyć ani jednym członkiem.

Nie odpowiedział mu Lonia ani słowem, tylko jeszcze mocniej zacisnął szczupłe szczęki, aż na czoło wystąpiły dwie żyłki. Ze niby, proś czy nie proś, Siemionie Gawryłowiczu, wszystko jedno do nikąd ja ciebie nie wypuszczę.

— Lonia, puść! — ochryłym, coraz bardziej słabnącym głosem poprosił Tiszczenko po raz trzeci.

Zdawało się, wszelka władza ulotniła się z jego ciała. I nagle — potem opowiadały stare miejskie baby — i nagle — tak twierdzi legenda, zrodzona w ludowej świadomości — Tiszczenko zrobił gwałtowny zwrot i spadł z trybuny jak powalony pogański bałwan. Spadł z trybuny, uderzył łbem o ziemię i już go nie ma, a tylko z wgłębienia, jakie powstało na miejscu upadku, wyleciał z głośnym krakaniem ptak-wrona z czarnym upierzeniem.

— Strzelbę! Dajcie mi jak najszybciej jakąś strzelbę! — zawołał Lonia Tichomirow zmienionym głosem.

Strzelby, jak to zwykle w takich wypadkach zdarza się, nigdzie w pobliżu nie było. Wtedy Leonid Iwanowicz, nie tracąc rezonu, z rozbiegu rzucił się obnażoną piersią na to samo miejsce. Natychmiast jego ramiona przybrały kształt skrzydeł, nogi skróciły się i znikły pod brzuchem, zaś nowiuteńki garnitur stalowego koloru, prawie nie zmieniając odcienia, zamienił się w upierzenie pleców. Dziób u Loni zagiął się, zrogowaciał, oczy zaokrągliły się, i oto, bardzo proszę, kompletny bojowy jastrząb rzucił się w pogoń za kraczącym Siemionem Gawryłowiczem. Krążą nad placem, pokazują cuda lotniczej akrobacji, naród na dole dziwuje się, podnieca nową władzę:

— Bij go, Lonia, w ciemność! Pokaż mu kształt adwokacki!

Już niemal go przycisnął do ziemskiej powierzchni, już prawie mu jastrzębie pazury wbija w czarne serce, żeby

rwać na strzępy, a tu nie! — towarzysz Tiszczenko — rraz! — i proszę bardzo: obrócić się w lisa, w najprawdziwszego żywego lisa z ogonem. Lepiej by było, gdyby się, diabelskie nasienie, w zająca obrócił — wnet by go pazury naszego sokoła zaharatały. A co do lisa, powiadają, że nawet orzeł rady mu nie da, taki, bestia, chytry i podstępny.

Widzieliście kiedykolwiek lisy w biegu? Już tak skaczą, tak myślą, że nie ma żadnego sposobu żeby schwytać takiego gołymi rękami. Ale w mieście towarzysz Tiszczenko nie ma gdzie się skryć: dokoła domy, płoty, nogi, dziwki spódnice popodnosiły, żeby Lonia lepiej mógł widzieć całą perspektywę. Wiedząc, że ma za sobą moralną pomoc, Lonia nie zmieszał się i — rraz! — zamienił się chwilowo w rasowego psa, to znaczy w charta. Niby tylko pies, ale taki szybki, że lepszy od antylopy. Pysk wąziutki, łapy długie, a ciało wygięte w kształt jakiegoś monogramu, więc gdy pędzi po ziemi, składając się i rozkładając jak nożyce, to jak gdyby wypisywał w powietrzu chińskie hieroglify.

Schwytał go za ogon, ten urwał się w zębach psa, ale lis, nie tracąc szybkości, przeskoczył na koła i pojechał jako rower bez rowerzysty: same pedały kręciły się automatycznie. Ludzie przewracali się jeden na drugiego, żeby otworzyć wolną drogę. Nie zastanawiając się wiele, Lonia zamienił się w motocykl i jak da gazu za nim... same pedały... po bruku... ogon lisa... szczekał... między nogami... wal do góry!... pomiędzy szprychy... pióra się sypią!... automatycznie, automatycznie!... Chryste Ukrzyżowany, zmiłuj się nad nami!... Nagle jak zaczną trzaskać w rowerze mechaniczne tryby...

Jednakże nie zamierzamy przedłużać opisu tej pogoni, gdyż, jak powiedziano powyżej, nie opiera się ona na żadnych faktach, będąc wynikiem ludowego zmyślenia, i może być rozpatrywana na równi z mitem o Eliaszu Muromskim, personifikującym walkę człowieka z przyrodą. W rzeczywistości wypadki rozwijały się zupełnie inaczej, więc należy powrócić do tego punktu opowiadania, w którym towarzysz Tiszczenko zaczął prosić Leonida Iwanowicza o uwolnienie go spod gniołającej opresji.

— Lonia, puść! — wyjęczał, nie będąc w stanie porużyć ani jednym członkiem.

Zdawało się, że wszelka władza opuściła jego ciało. I nagle, jak gdyby poczuł pewną ulgę, wydał rozkaz grupie, ulokowanej pod wieżą strażacką:

— Rozkazuję aresztować obywatela Tichomirowa, i niech się śmieje ten, co będzie śmiać się na końcu.

Twarz, która nagle ożyła na nieruchomym kadłubie, wyraziła radosne szyderstwo...

Grupa milicjantów zbliżyła się ze skrzypieniem pasów i butów do Leonida Iwanowicza. Dwaj z nich wyciągnęli rewolwery, pałętające się w futerałach i, jakby na komendę, zaczęli głośno strzelać do głośnika radiowego, zawieszono go na słupie. Po czwartej kuli głośnik ponownie odezwał się, zaś po szóstej kwiknął i urwał. W taki to sposób złamana została bezprawna władza byłego sekretarza Tiszczenki.

Rozładowane rewolwery rozebrano na składowe części i na czerwonej chustce z kitajki wręczono Leonidowi Iwanowiczowi. Rozbrojenie przeprowadzono z zachowaniem bojowego porządku, w uroczystym milczeniu, ale z akrobatyczną zręcznością. Lonia Tichomirow pokijał na mnie palcem i wręczył mi zawartość chustki. *(Stałem w tłumie, o jakieś dwadzieścia kroków od Loni i, gdy podbiegłem do niego na skinienie palcem i wziąłem w ręce węzełek z rozebranymi na części składowe rewolwerami, poczułem jak gdyby lekki elektryczny wstrząs. Natychmiast usłyszałem w mózgu wewnętrzny głos: „Rzuć ten węzełek do rzeki!”*, co też wykonałem w obecności starszego milicjanta Michajłowa, który nawet teraz może stwierdzić moją ówczesną całkowitą niepo czytalność duchową).

W międzyczasie reszta garnizonu zmajstrowała ze świerkowych gałęzi i chorągwi przenośną bazę wypadową dla triumfalnego pochodu. Uniesiony na kwadratowe barki swej mocarnej drużyny, Leonid Iwanowicz przybrał wygląd brązowej rzeźby. Mógłby w owej chwili zacytować głośno pro rocze wiersze poety, które tu podajemy w poprawionym i odnowionym wydaniu:

*Jam pomnik sobie wznioś nad ludzkie trwalszy spiże,
ku niemu tłumem pójda wszyscy: młodzi, starzy;
i głową buntowniczą wyrósł znacznie wyżej,
niż o tym ex-sekretarz Tiszczenko mógł kiedykolwiek*

[marzyć.

*Przeto ludowi czyny moje będą miłe,
żem myśli i uczucia tak szlachetne budził,
że tu w Lubimowie na wieki wolność ogłosiłem,
porywy świetne niecąc w sercach tutejszych ludzi.*

(Wiersz ten to „Pomnik” A.S. Puszkina, w mojej własnej przeróbce).

Płynąc nad tłumem wzdłuż trybuny, na której wciąż jeszcze sterczał przygwożdżony do niej Tiszczenko, Lonia Tichomirow przyhamował swoich dzielnych tragarzy i oświadczył mentorskim tonem:

— Spójrzycie — taki sam cios dosięgnie każdego, kto ośmieli się podnieść rękę na niepodległość naszego miasta.

Niech żyje wolne miasto Lubimow!

Niech żyje światowy postęp naukowy i techniczny!

Niech żyje wszechświatowy pokój!

Błędnie spoglądały jego kose oczy, włosy miał rozwiane. Na czole widniał purpurowy znak — rzymska cyfra V. Po dwóch godzinach miejski telegraf wystukał tekst oświadczenia:

Do wszystkich. Do wszystkich. Miasto Lubimow zostało ogłoszone swobodnym miastem. Wolność i autonomia obywateli zagwarantowane są prawem. Bez przelania jednej kropli krwi władza przeszła w ręce Najwyższej Głównodowodzącej Osobistości — Leonida Tichomirowa. Wykonywać moje rozkazy!

Leonid Tichomirow

R o z d z i a ł I I

WYJAŚNIAJĄCY PRZYCZYNY TEGO, CO STAŁO SIĘ W ROZDZIALE PIERWSZYM

Aż do tego czasu w łonie narodu nie ucichły spory: kto właściwie przysłał tego Leonida Tichomirowa i dzięki jakiej tajemniczej władzy potrafił on w ciągu jednego tylko dnia rzucić czary na całe miasto? Niektórzy widzieli w nim wysłańca Pana Boga. Z drugiej strony jednak, mówiono, że w nagłym wyniesieniu Leonida Iwanowicza maczała ręce raczej potęga szatańska, niż anielska. Osobiście, twardo stojąc na stanowisku, że w wywyższeniu Loni nie było nic cudownego ani nadprzyrodzonego, i że wszystko można bez trudu wyjaśnić z naukowego punktu widzenia.

Leonid Iwanowicz Tichomirow urodził się w zwykłej rodzinie robotniczej. Jego rodzic pracował w kolektywie łątania obuwia i zginął na wojnie od kuli faszystowskich potworów. Matka była prostą, skromną gospodynią domową. Powiadają jednak, że w jej rodzinie, w dziewiętnastym stuleciu, był pewien jaśnie pan, szlachcic Proferansow, który po zniesieniu pańszczyzny ożenił się z wiejską dziewczuchą. To po nim, powiadają, Lonia odziedziczył zamiłowanie do nauki i od najwcześniejszych lat majstrował różne mechanizmy. Kiedyś wykombinował łódź podwodną, sklepaną z puszek od konserw, wielkości człowieka i z czterema śrubami, tak że, leżąc w tej łodzi na brzuchu, można było kręcić śruby rękami i nogami. Logicznym biegiem rzeczy, życiowe losy Leonida Iwanowicza zaprowadziły go w siedemnastym roku życia do pracowni rowerowej. Czy to dziurawą dętkę skleić,

śrubkę zmienić, czy urwany łańcuch z powrotem wstawić na koło — dla niego zupełnie to samo, co wam albo mnie szklanek piwa wypić. Ale co tam śrubka! Cały aparat potrafił zrobić z byle czego: żelazną ramę wziąć z łóżka, koła pozamieniać, tylną piastę zmajstrować z dwóch niedopałków. I na to wszystko zużytkowywał zaledwie cztery gwoździe.

Ale głównie troszczył się o wynalezienie perpetuum mobile, czerpiącego napęd od krążenia Ziemskiej Kuli dokoła swej osi. Wstępny plan maszyny Lonia wysłał w zapieczętowanej kopercie do stolicy, do Akademii Nauk. Odpowiedzi, wbrew przyjętym obyczajom, wynalazca nie otrzymał: rutyniarze przeszkodzili szybszemu zbliżeniu się przyszłości. Co im tam bezsenne noce prowincjalnego mistrza! Na wszystkie te przeszkody i niepowodzenia Lonia reagował spokojnie i dręczyło go tylko jedno: żeby przypadkiem Amerykanie nie ukradli perpetuum mobile, co by mogło w następstwie opóźnić nasze zwycięstwo.

— Lonia, wysilasz się na próżno — przekonywał go przy piwie doktor Linde. — W ubiegłym roku własnymi oczami oglądałem przedpotopowego pterodaktylusa, zamieszkującego na Mokrej Górze. Mój opis tego wymarłego rodzaju po dziś dzień leży zarzucony gdzieś w głównej redakcji czasopisma „Pracownik medycyny”. Naukowe odkrycia mało kogo obchodzą. Każdy myśli tylko o tym, żeby wypchać kieszenie. Zasadniczo rzecz ujmując, ludzkość znajduje się jeszcze na bardzo niskim stopniu świadomości.

Wąsy doktora Lindego, siwe od piany, odznaczały się, jak sam zapewniał, słonym smakiem. Oblizywał je jaskrawo różowym językiem, ze smakiem, jak kocur, wypowiadając cyniczne paradoksy w różnych sprawach. Na przykład, utrzymywał, że człowiek to po prostu małpa, pozbawiona ogona.

— Nieprawda — odpowiadał Lonia pewnym głosem. — Człowieka także można udoskonalić.

I zamykał się w sobie. Jeden jedyny kufel piwa, na jaki sobie pozwalał, zawsze pozostawał na stole niedopity.

Zajmowałem w tych rozmowach stanowisko pośrednie. Co do ludzkości, doświadczenie miałem znacznie większe niż doktor Linde. Jednakże podobał mi się upór Loni i znajdowałem, że sytuacja postępu nie jest beznadziejna. Wierzyłem, że w bardzo niedługim już czasie opanujemy kosmos. (*Późniejsze dzieje wykazały mój dar przewidywania*).

Kiedyś nauka zdobędzie się nie na takie rzeczy i będzie na nas czatować na każdym kroku. Kiedyś pierwszy lepszy zwyczajny człowiek naciśnie zwykły guzik i zaopatrzy się we wszystko, o czym w naszej przejściowej epoce można najwyżej marzyć. Przyciśniesz guzik i od razu, tu, w samotnym gabinecie, gdzie siedzisz i podskakujesz na sprężystej kanapie, nie ruszając się z miejsca — zjawia się jak widmo stolik, zastawiony wszelkimi produktami i butelkami z deserowym winem. (*Przypuszczam, że mocne napoje alkoholowe nawet wtedy będą kontrolowane przez państwo*). Zajadasz wszystko po kolei, zajadasz tak, że aż do rozpuku, i spostrzegasz, że jedyne, czego brakuje ci w życiu, czego nie ma na stoliku, to kokosowe orzechy, i tak ci się robi gorzko i samotnie z powodu tego braku uwzględnienia twych potrzeb, że choć powieś się! Więc przyciskasz guzik i oto, bez żadnego ludzkiego udziału, podjeżdża do ciebie na kółkach automatyczny wagonik, zawalony po brzegi kokosowymi owocami wszystkich gatunków. Ale już ci się odechciało i mówisz z grymasem:

— Proszę zabrać tę padlinę, nie potrzebuję waszej łaski!

I znowu naciskasz guzik, żeby zamienić kokosy na coś bardziej interesującego.

W odpowiedzi na reklamację, spod kłapy zamaskowanej w parkietowej podłodze, wyskakuje na zawiasach jasnowłosa dziwa czarującej urody. Przyciskasz guzik i wszystko w porządku. Przyciskasz guzik po raz drugi i znowu wszystko w porządku. Naciskasz ten sam guziczek po raz trzeci... i chociaż wszystko jest w porządku, czujesz na duszy jakiś ciężar i powiadasz:

— Zapyłaj, Luśka, z powrotem pod klapę. Czas mi udać się w podróż jak najdalej od cywilizacji!

Przycisnąłem — Wenecja. Przycisnąłem nieco dalszy guzik — Wenezuela. Przycisnąłem bardzo oddalony — Wenus, Merkuriusz, czy jakiś tam Pluton. A podczas tego jak diabeł nosi cię po świecie z szybkością pozadźwiękową, układasz wiersze i pieśni na cześć zwycięstwa nad Kosmosem, przepuszczone przez twoją siatkówkę mózgową przy pomocy specjalnego aparatu cybernetycznego. Więc krzywisz się i powiadasz:

— No, co, doskakali się? Dosięgli szczytu? Zaczynali od parowozu, a jak się rzecz skończyła? Wolałbym, żeby

mnie wszy zżarły, żebym w prymitywnej postaci huśtał się głową na dół, zaczepiony ogonem o gałąź eukaliptusu. Ciemności chcę! Cienia pragnę! Skrawka cienia, w którym byłbym w stanie ukryć swoje pohańbione oblicze!

A o jakim cieniu może być mowa, skoro wszędzie, ze wszystkich stron — światło?

I zacznie się człowiek zachlewać, ze smutku zachlewać się, na znak protestu. Zacznie kraść kontrolowane przez państwo spirytusy, wódki, napoje różne. Chuliganem się zrobi. Śrubokrętem tastery zacznie wykręcać, przewody ciąć scyzorykiem, lampiony w niebie z procy rozwalać...

Żeby się tak nie zdarzyło, trzeba człowieka przerobić: starą świadomość usunąć i wprowadzić nową. Przerobiony człowiek z własnej woli ruszy drogą prowadzącą ku doskonałości, i za całą naukę będzie wam wdzięczny, a Lonia Tichomirow to wszystko zrozumiał i skalkulował. (*Bardzo źle skalkulował*). Lonia domyślił się, że sama technika burżuazyjna do niczego nie doprowadzi, jeśli jej nie podeprzeć przerobioną od wewnątrz świadomością. (*Źle się domyślał*). Co znaczy, że źle się domyślał, jeśli w ciągu jednego dnia wszystkich potrafił przerobić według swego widzimisię i kto mi tu na podporządku przeszkadza przy pomocy postronnych słów. (*Nie rozprawiajcie za dużo i piszcie jak było*). Co za ważniak taki, żeby mną komenderować? (*Piszcie, piszcie dalej, ja zaraz przyciskam guzik!*).

...No, więc piszę dalej, że Lonia do niej mówi:

— Bardzo mi się podobacie, zostańcie moją towarzyszką życiową!

Serafina Piotrowna spojrzała na niego ironicznie i odpowiada:

— Sama widzę, że się wam podobam, ale wymyślcie coś bardziej oryginalnego...

Po czym leniwym ruchem poprawia uczesanie i tak łokietek odstawia, żeby wyraźniej uwydatnić swoją klatkę piersiową, a od tego ruchu nasz Lonia staje w płomieniach i krzyczy, załamując swoje złote ręce:

— Na rękach będę was nosić! Moimi własnymi rękami zepsuty zegareczek was zreperuję i, jeśli nie macie nic na przeciw, tak przyszłe drzwi w naszym przyszłym szataście urządzę, że same będą otwierać się i zamykać przy zbliżeniu się...

I woła oprócz tego:

— Jestem prosty człowiek, bez wyższego wykształcenia, ale nie sądzicie, Serafino Piotrowna, ja także orientuję się w nauce i technice, tylko że w naszym mieście nie ma na razie instytutu, w którym można by zdobyć oświatę i dyplom inżyniera. Ale na przekór szyderstwu losu ja także jestem w stanie wstawić się jakimś bohaterskim czynem i wtedy, gdy wszyscy dokoła wpadną w zdumienie, pożałujecie, żeście się nie zdecydowali na wzajemność. Jeżeli stanę się sławnym bohaterem, ściany w sypialni wykleją trzyrublowymi banknotami, zamiast zielonej tapety zielone trzyrubłówki, za jeden wasz pocałunek, a jak nie to się powieszę...

— Głupstwa opowiadacie — przerwała mu Serafina Piotrowna, robiąc nieszczerzy grymas. — Co tu ma do rzeczy pocałunek? Pocałunek to rzecz banalna. Trzyrubłówki — tandeta w kiepskim tonie. Już jeżeli chcecie wyklejać mieszkanie takimi śmiesznymi banknotami, to lepiej sturublowymi. A w ogóle proszę przyjąć do wiadomości: bogactwem i pieniędzmi pogardzam, natomiast cenię w człowieku ambicję. „Szaleństwo mężnych — to mądrość życia” jak powiedział Maksym Gorkij. Wszystko zależy od tego, jaki czyn bohaterski macie zamiar popełnić, abym nie musiała się wstydzić, że podałam wam rękę dozgonnej przyjaźni i idę z wami zgodnym krokiem w życiu i w towarzystwie. Proszę wziąć pod uwagę: drobne wyczyny mi nie odpowiadają. Nie zgadzam się z Juliuszem Cezarem, który powiedział: „Lepiej być pierwszym we wsi, niż ostatnim w mieście”. Lepiej od razu być pierwszym w mieście. W każdym razie na początek miasto Lubimow powinno znaleźć się u moich nóg, to znaczy u wspólnych nóg nas obojga.

Cała jej polityka nagle uległa zmianie: na wilgotnych wargach zjawił się intrygujący uśmiech, w oczach upijający narkotyk, zaś toczony, apetyczny noszek zaczął wyrażać jakąś wykwintną, niezrozumiałą aluzję...

— Nie wiem jeszcze, czego bym dokonał — ponuro powiedział Lonia. — W naszym mieście nigdy jeszcze nie było takich wielkich ludzi, o jakich opowiadacie. Ale postaram się!

— Kiedy zbliżycie się do mnie na tarczy, jak Spartak, uwieczony listowiem winnej łoży, wtedy pomówimy ze sobą bardziej detalicznie. Na razie! — przecięła kategori-

nym tonem i znikła, cała w wykrętach, nawet mu ręki na pożegnanie nie podała.

Wylażłem zza szafy, gdzie ukryty czytałem czasopismo „Nowyj Mir”, żeby nie przeszkadzać ich młodzieńczym sprawom (w naszej czytelnicy nie było nikogo więcej), i powiedziałem tonem starszego kolegi:

— Ech, Lonia, Lonia! Nie pchaj się w stosunki z tą uciążliwą babą. Wyssie ona z ciebie wszystek twój talent, wspomnisz moje słowa. Takich jak ona wypróbowałem w życiu może z pięćdziesiąt sztuk. Nie nadzwyczajnego. Nawet gorsze od tych, co żadnego wykształcenia nie posiadają. Lonia, przecież ty masz złote ręce, każda dziewczyna za ciebie chętnie się wyda. Serafina Piotrowna, jak przypuszczam, z dziewiczością nie tego i może nawet dzieci już miała. Starsza od ciebie i do tego Żydówka, choć z tym się kryje, a wiesz Lonia, z Żydówkami rosyjskiemu człowiekowi lepiej nie zadawać się.

A ten dęba stanął i aż się zaślinił ze złości.

— To jest oszczerstwo — oświadcza — oszczerstwo i nieuctwo. Według mnie wszystkie narody są równe. A zresztą nie zauważyłem u Serafiny Piotrowny żadnych żydowskich nawyków. Nazwisko także ma najzwyczajniejsze, rosyjskie — Kozłowa, od zwykłego rosyjskiego słowa „kioziol”. A na przykład wasze nazwisko — Proferansow, posiada cudzoziemski wydźwięk i jeszcze nie powiedziane kto wy za jeden jesteście co do cech narodowych...

Nie, nie obraziłem się na niego.

— Dureń jesteś — powiadam — i nic innego. Proferansowy to w naszym mieście rdzenne nazwisko i, już jeśli chcesz wiedzieć, brzmi w nim ukryta muzyka najczystszej gatunku, starożytna gra. Wsłuchaj się tylko w ten zespół harmonijnych dźwięków: Pro-fe-ran-sow! — to, uważasz, nie nie jakieś tam Czyżykow, ani Kukuszkin, lecz kompletny muzyczny pasjans. Twoja rodzona babcia po kądzieli, jeśli cię to interesuje, miała szczęście nosić w panieństwie to niezwykle rzadkie nazwisko, zaś pochodzi od pewnego uczonego i filantropa, który potem ożenił się z wiejską dziewczyną i po którym — odziedzyczyłeś, być może, kilka kropel kulturalnej krwi. Kto wie, Lonia, może ty i ja wywodzimy się z tego samego pnia, tylko że w tobie nastąpiło naukowe rozgałęzienie, a we mnie skoncentrowała się cała siła artystyczna, główna historyczna genealogia.

— I cóż ja teraz zrobię, Sawielij Kuźmiczu? — pyta mnie Lonia słabym głosem. — Przecież przez jej urodę nawet człowieka byłbym w stanie zarząć. Mam teraz przed sobą tylko jedną drogę — stać się zbrojem i bandytą: albo mnie przed całym światem pochwałą, albo w krzakach rozwałą!

— Ty byś zamiast tego — poradziłem — do czytania książek się zabrał. Popatrz tylko, ile tu okładek. A w każdej okładce słynne umysły ludzkości dzielą się swoim życiowym doświadczeniem. Książka to zupełnie jak butelka koniaku z pięcioma gwiazdami: przeczytałeś jedną — nabierasz chęci na drugą. Całe życie można czytać, nie wiesz co to nuda i sam nie zauważysz, jak czas przemija.

Poczynając od tego dnia, Lonia zamienił się w najbardziej zawziętego czytelnika. Już dawniej to i owo czytywał, żeby ogólny poziom utrzymać. A teraz traktorem byś go od książki nie odciągnął, wszystkie swoje mechanizmy porzucił w pogardzie i nic tylko siedzi w kącie, jak dziki pustelnik, i wargami porusza. A potem nawet wargami przestał poruszać, tylko żenicami obraca z niesamowitą szybkością i zdarzało się, że na jednym posiedzeniu odwalał po pięćset stron pod rząd, co w przerwaniu na inny wymiar oznacza pół litra. Brał też ode mnie literaturę wyłącznie na temat wielkich ludzi: Kopernika, Napoleona, Czapaiewa, Don Kichota... Powieść z rzymskiego życia, „Spartak”, przeczytał trzy razy, aż stopniowo zaczął zagłębiać się w lekturze umysłowej i żądać już utworów o nerwowej psychice i fizyce magnetycznej. Widzę, że przepadł człowiek, przestawił się na skutek wielkiej miłości na przeciwstawną krańcowość, tak że teraz nawet Serafina Piotrowna nie mogła już wyrzucić żadnego wpływu. Przyleci do biblioteki, żeby książkę z przygodami zamienić, a Lonia nawet nosa spod lampy nie wysunie. Zaraz do niego, że niby ciekawi ją, co też czyta w tej książce, zagłada, nachyla się to z jednej, to z drugiej strony, jeszcze milimetr a potrąciłaby go piersiami. Ja za biurkiem kręcę się, znaki mu daję. Że niby — ściśnij palce w pięść — już ptaszek w klatce. Gdzież tam! Siedzi jak żelazny gwóźdź wbity w krzesło, oczyskami po stronie jeździ tam i z powrotem, a na jej umizgi-podrygi palcem nawet nie ruszy. No więc pofruwa dokoła niego, pofruwa, poszczebiocze i wynosi się rozżalona. Nawet mi nieswojo robiło się z jego powodu,

zwłaszcza gdy przypominam jak na swoje namiętne uczucia przysięgał, a teraz taką kobietę zamienił na bezduszną bibułę.

Niepotrzebnie, myślę, poniżyłem ją wtedy w zakresie rasowego zagadnienia. A przecież jeżeli ją poniżałem, to tylko dla uratowania Loni. Bo sam zdaje sobie dobrze sprawę, jaka siła kryje się w żydowskim plemienu, rozprowadzonym po obliczu ziemi, jak rodzynki w cieście, albo pieprz w zupie. Jabym ich porównał jeszcze do soli, ale sól rozpuszcza się, a ci zachowują swoje pierwotne cechy, nadane im przez Boga. Kto wie, może dlatego ich Bóg po świecie porozrzucił, żeby dali świadectwo swej sile i cierpkiemu uporowi, i żebyśmy, jak natrafimy na Żyda w naszej rosyjskiej kaszy, przypominali sobie, że historia zaczęła się nie od dziś i że jeszcze nie wiadomo jak może się skończyć...

Ach, miałem w życiu pewną Żydóweczkę, nigdy tej Żydóweczki nie zapomnę! Czarne włosy, drobnutko kręcące się jakby u jakiegoś diabełka, brwi także czarne, kosmate, jak dwa jedwabniki, płeć śniada, nieco żółtawa, a w dotyku — prawdziwy safian. Po rosyjsku trzepała — nie można poznać, że nie z naszych, a po żydowsku znała tylko jedno słowo „c o r e s”, co w ich mowie znaczy smutek, nieprzyjemność, że niby serce jest c h o r e jakąś tęsknotą, i od tej serdecznej choroby poszło owe słowo „c o r e s”. Tkwiła w niej odrobinka owego coresu, taki rodzynek nie do wydłubania, wprawiony na mur w skład jej duszy. Zdarzało się — śmieje się, przymila się, lecz oczy takie smutne i pustynią od nich wieje arabską, czy też może Saharą, przez którą uciekali kiedyś z dziećmi, ze starymi manatkami na plecach i na wielbłądach, wtedy, gdy całą boleść świata unosili na sobie i na tych wielbłądach z garbatymi nosami, wyniosłych i podobnych do tych samych Żydów o ciężkich okrągłych powiekach.

— Za czym — pytam ją — malutka tęsknisz? Na co się skarżysz?

— Wcale się nie skarzę — odpowiada maleńka — wcale nie tęsknię. Co wam do głowy przyszło? Przecież honorarium i tak otrzymam, niezależnie od tej dychy którą jesteście mi winni z ubiegłego tygodnia.

Tak mówiła, nie pojmując swoim kobiecym mózgiem, że spod jej czarnych rzęs, spod wielbłądzich powiek spogląda szklistym smutkiem wyschnięta pustynia i tak jakby na coś czekała i wzywała nie wiadomo dokąd, że siadaj na

piachu i płacz niepokieszony nad wspomnieniami minionych dziejów.

To nigdy nie zawodzi: wizja pustyni w oczach pozwala zawsze rozpoznać Żyda, i właśnie w twarzy Serafimy Piotrowny tkwił jej przeblask, co ułatwiło mi rozeznanie jej pochodzenia. To dlatego poinformowałem na czas Lonię Tichomirowa, żeby nie uschnął, jak trawka w polu, pod palącym żydowskim spojrzeniem. Ale Lonia miał teraz co innego na uwadze.

Przychodzę kiedyś do czytelni po obiadowej przerwie i widzę go siedzącego na krześle, jak męczy się z ołówkiem w rękę nad utworem Fryderyka Engelsa, „Dialektyka natury”. A na lewo od tej dialektyki spoczywa nieznana książka, przeciętnej objętości, ale w skórzanym przyodziewku tak trwałym z wyglądu, że gdyby skórą z tej książki podzeliwać buty, nie zdarłbyś ich i po dwustu latach. Pytam, skąd ją wziął i jak się ta książka nazywa.

— Księga ta — odpowiada Lonia, przykrywając ją dłonią — spadła na mnie z sufitu w ubiegły piątek. Dobrze, że nie dostałem w skroń.

Odpowiada, jak to w ten ubiegły piątek instalował w sieni umywalkę, a trzeba powiedzieć, że u nich nad sufitem różne starożytne rzeczy zwalone na kupę, żeby w domu było cieplej, więc stare podeszwy, zdarte walonki z obydwu nóg, rozbite garnki, kacabajki, zgniłe chomąta, et cetera, et cetera. Widocznie, deski sufitu także zaczęły gnąć i oto macie wyniki. Jak oświadczyła mamusia Loni, pogrzebawszy w niepewnej pamięci, owa nieznana księga mogła dostać się na strych w spadku po dziaduniu, albo też ojciec Loni, proletariusz z dziada pradziada, zdobył ją w latach walki rewolucyjnej, kiedy to w całym okręgu rujnowano gniazda zmij i niszczone w zarodku feodalne nasienie.

— A przecież ta książka — zauważyłem, stuknąwszy się w głowę — być może, należała do dziedzica Proferansowa, który w dziewiętnastym stuleciu przeprowadzał naukowe doświadczenia i nawet, jak mówią, stracił cały swój majątek, żeby odbyć podróż do Indyj...

I tak gadu-gadu — Lonia przyznał się, że książka nazywa się „Psychiczny magnes” i spisana została ręcznie z hinduskiej mowy kaligraficznym pismem. Zaś mowa w niej o tym, jak zdobyć życiowe wpływy, wykorzystując siłę umysłową, zwaną „magnetyzmem”.

— Aj, Lonia, uważaj — zaniepokoiłem się, usłyszawszy to nierosyjskie słowo. — Uważaj, żebyś ty sam nie dostał się pod wpływ obcej ideologii. Czy też aby w tej książeczce nie ma jakiejś czarnej magii, sprzecznej z prawami natury i naukowymi osiągnięciami?

Ale Lonia natychmiast mi wyperswadował, oświadczając, że u Fryderyka Engelsa w „Dialektyce natury” znajdujemy ważne dowody na ten temat, zaś między innymi napisano, że świadomość stanowi wyższy produkt materii, i w życiu wszystko jest płynne, wszystko się zmienia. Wobec tego, świadomość również powinna się zmieniać i wydawać z siebie jakieś produkty materialne.

— Ano, niby tak — zgodziłem się po namyśle — ale na wszelki wypadek należałoby książeczkę spalić, zanim ktoś nie złożył na nią skargi. Natomiast skórę z okładki można zostawić i zużyć ją na podzelowanie butów, bo to skóra carskiej produkcji i nie zniszczy się ani po dwustu latach.

Po wypowiedzeniu tych słów chciałem pomacać skórę, ale ledwie jej dotknął, prąd elektryczny uderzył mnie w piersi i odrzucił na środek czytelnicy.

— Czemuś mnie nie uprzedził, że książka jest naładowana elektrycznością? — zapytałem, rozgniewany nie na żarty, trzęsąc się i plując.

A Lonia prawie w spodnie robi ze śmiechu i powiada:

— Ależ Sawielij Kuźmiczu, to nie książka, to ja jestem naładowany energią mojej woli i zaraz przeprowadzę z wami doświadczenie naukowe.

I oto widzę, że pokój przewrócił się podłogą do góry i że ja sam stoję na rękach głową na dół, a na mnie lecą z hałasem klucze, miedziaki, zapalniczki, i marynarka obwisła i obciera się o usta. Ale rzecz zadziwiająca — znalazłszy się w takiej pozycji, nie czułem żadnego bólu, ani napływu krwi do głowy, ani nawet strachu z powodu starczej bezszyty, jak gdybym zwykł przez całe życie stać do góry nogami, w charakterze jakiegoś światowego rekordzisty. A jednocześnie w mojej świadomości nic się nie zmieniło: nie spałem, nie marzyłem, towarzyszyła mi dobra pamięć i jasny umysł, i jeszcze doświadczałem w duszy zachwyty wobec tej łatwości z jaką Lonia przestawiał człowieka z góry na dół. Tańcząc na rękach (takie były silne i sprężyste), powiedziałem Loni, że jest zuchem i że już nie potrzebuje namawiać Serafimy Piotrowny, żeby wyszła za niego za męża, ponieważ obecnie mo-

że od niej otrzymać za darmo miłość, jakiej zapragnie. I także, że stosując nacisk swojej woli, może wydostać od dyrektora warsztatu rowerowego podwyżkę pensji.

— Nie, to mi nie wystarcza! — zaprzeczył Tichomirow i zaczął rozwijać ideę, z której wynikało, że spoczywa na nim obowiązek zajęcia się sprawami całej ludzkości.

— Zrozumcie, Sawielij Kuźmiczu, dlaczego nie jest nam dobrze, a raczej — dlaczego nie jest nam dostatecznie dobrze? Bo każdy myśli tylko tym, żeby wypchać kieszenie. Bo, niestety, jeszcze nie znikli w naszym wspaniałym społeczeństwie rutyniarze i biurokraci, złodzieje, chuligani, poligamiści i dekadenci. Ale teraz nawet więzienia nie będą potrzebne, żeby wszystkich poprawić i zamienić naszą ziemię w jeden kwitnący ogród. Każdemu wpoję prawidłowy sposób myślenia, nauczę wszystkich szacunku dla pracy i miłości ojczyzny. Wszystkich nauczę jak bezustannie podnosić swój poziom materialny i kulturalny.

Stałem przed nim nogami do góry, z nastawionymi uszami, i pojękiwałem z zadowolenia. Stanie w tej pozycji i słuchanie jego przemówienia stanowiło prawdziwą rozkosz. Wydawał mi się niezmiernie wysoki, odrzucony gdzieś do tyłu, ku dołowi i w prawy kąt, i tylko jedno niezupełnie było dla mnie zrozumiałe: dlaczego on tak szalenie ryzykuje, balansując na dwóch nogach, skoro o wiele prościej i przyjemniej chodzić na rękach, o wiele lepiej czujących punkt oparcia. Ale na pewno — myślałem — tak trzeba, na pewno ryzykuje swoim życiem dla nas, zwykłych ludzi, więc musi trzymać głowę w górze, żeby patrzeć naprzód i oglądać horyzont... Widocznie jednak, tkwiła we mnie jeszcze jakaś wątpliwość, albo też jego sugestywny aparat nie był jeszcze dostatecznie opracowany, bo oderwałem jedną rękę od podłogi i powiedziałem, grożąc mu jednym palcem według starego zwyczaju:

— Uważaj, Lonia, żebyś z tą magnetyczną książką nie wpadł w idealizm!

— Cóż znowu, Sawielij Kuźmiczu! — zawołał żywo. — Znacznie wcześniej, zanim jeszcze przeczytałem tę książkę, doszedłem do takich samych wniosków, opartych na ścisłych danych naukowych. Teraz chodzi tylko o to, żeby wzmocnić ten magnetyzm przy pomocy kieszonkowego falowego wzmacniacza, który by wysyłał moje myśli i rozkazy na wielkie odległości.

Lonia zaczął rozprawać o współdziałaniu energii, o tym, że w naszej przyrodzie istnieje rytmiczne drganie wszystkich cząsteczek, poczynając od obrotów Kuli Ziemskiej, a kończąc na obracaniu się półkul mózgowych. O tym pisali Darwin, Jules Verne i hrabia Cagliostro. Pozostaje jedynie wszystkie te rytmiczne drgania sprowadzić do jednego mianownika i po skoncentrowaniu swej woli promieniować nią ze znajomością rzeczy na odpowiedniej fali. Nie przypominam już sobie technicznej strony zagadnienia, ale pamiętam, że przykłady, przytoczone przez Lonię, brzmiały bardzo przekonująco.

Nareszcie Tichomirow schował książkę do obdartej walizki i powiedział:

— A teraz, Sawielij Kuźmiczu, powróćcie do zwykłej pozycji pionowej i pobierajcie swoje rzeczy, które wyleciały z kieszeni.

Stałem na nogach, z lekka ogłuszony i zmieszany, ale nawet nie potknąłem się i w pośpiechu pobierałem klucze, miedziaki, zapalki.

— A teraz, stary, zapomnij o wszystkim, coś widział i słyszał, żebyś nie rozgadał przedwcześnie tajemnicy odkrycia!

I rzeczywiście zapomniałem. O książce zapomniałem i o tym, że biegałem na rękach po pokoju, też zapomniałem. Dopiero później, po jakichś dwóch miesiącach, z obrazu, jaki tu namalowałem, zaczęły odnawiać się w pamięci poszczególne kreski i barwy. Zresztą, być może, po dziś dzień nie wszystko się odnowiło, jakże teraz wiedzieć i sprawdzić...! Ale wtedy, w pierwszej chwili wydało mi się, że dopiero co przykuśtykał do czytelnicy po obiadowej przerwie, a Lonia już siedzi na swoim krześle. Prawda, byłem zdziwiony, dlaczego ręce mam brudne i lepkie, a w brzuchu jakaś słabość i nudności. I marynarka wisiała na mnie jakoś krzywo. Ale w mózgu całkowity porządek i pamiętam, że pomyślałem o zbliżającej się starości i że czas umierać.

Sapiąc, zbliżyłem się do Loni i widzę, że siedzi jakiś taki wymięty, zielony i pot z czoła chusteczką do nosa obciera. Widocznie, zakuł się do reszty.

— Co ty, Lonia, czytasz? — powiadam.

— A właśnie — mówi Lonia — czytam „Dialektykę natury” Fryderyka Engelsa.

— A cóż tam — powiadam — Engels mówi w tej swojej „Dialektyce”?

— Mówi — powiada Lonia, tykając palcem Engelsa — że wszystko w życiu płynie, wszystko się zmienia, zaś świadomość, powiada, stanowi wyższy produkt materii.

— Prawidłowo on to mówi — powiadam do Loni. — Dobrze mówi. Ty byś, Lonia, powinien zapamiętać, albo na papierku napisać, że świadomość stanowi wyższy produkt...

I brzdęk — zemdlałem... Oprzytomniałem, patrzę — tenże Lonia pryska na mnie wodą z ust i twarz ma przestraszona. Uważający był na ludzi ten nasz Lonia Tichomirow, ach jaki uważający. (*Wcale nie uważający*). Rozumiał. (*Nic on nie rozumiał*). Tfu, odejdz, przypadnij, znowu ten głos z podziemia. (*A może znad sufitu?*). A może znad sufitu, skądże mam wiedzieć gdzie się ukrywacie i już po raz drugi. (.....). Nie słyszę! Głośniej, głośniej! Coście powiedzieli?

— Mówię, że się z wami znamy, Sawielij Kuźmiczu.

— Zna-my? Przecież nikogo nie widzę, tyle że ręka sama wypisuje na papierze jakieś kulfony...

— Nie pamiętacie jakeśmy rozmawiali w klasztorze podczas poszukiwań archeologicznych? Pamiętacie spotkanie z profesorem?

— To wyście ten profesor?

— Tak.

— Och! Powitać profesora! Jakże tam leci? Nie poznałem... tyle przecież lat... Zaraz, zaraz... wyście już wtedy, w 1926 roku byli starszym panem... Przecież, wybaczcie, od tego czasu wyście dawno byli powinni umrzeć... Jakże to?

— Różne rzeczy zdarzają się, mój panie...

— Panie, zmiłuj się nad grzesznymi! Matko Przenajświętsza! A przekłete pióro skacze jak głupie na papierze, palców oderwać nie można... Przepraszam, profesorze, wy przypadkowo nie z gatunku tych ogoniastych?

— A skądże znowu!

— Tak zapytałem... na wszelki wypadek... Rogów też nie posiadacie?

— Nie, pozwolę sobie zapewnić, że jesteście w błędzie.

— A jak siebie tytułować rozkażecie?

— Nazywajcie mnie po dawnemu — profesorem... Nie warto komplikować rękopisu marginesowymi nazwiskami i

wydarzeniami. I tak jużemy nieco odskoczyli od głównego tematu. *(Po tych słowach poczułem, że pióro jak gdyby szarpnęło się w mojej dłoni, ale utrzymałem je i w dalszym ciągu trzymałem się własnej linii).*

— W takim razie, wicie, profesorze — pokażcie mi się chociaż na chwilkę w naturalnych wymiarach. Żebym nie miał wątpliwości, że to wy, żebym was obejrzał, rozpoznał... Trzeba się przecież zobaczyć...

— To zbytczne.

— A wy mnie widzicie?

— Po cóż mi widzieć, wystarczy, że wami piszę.

— Jaktó piszecie? A ja co robię?

— Ach, Sawielij Kuźmiczu, jacyż wy doprawdy jesteście nieznośni! No, już dobrze, dobrze, piszemy oboje, razem. Warstwicami.

— Warstwicami?!

— A tak, warstwicami. W podejściu do różnych cudów rosyjskiej historii konieczna jest giętkość, wielowarstwowy zapis. Pamiętacie — wtedy w klasztorze, w czasie poszukiwań archeologicznych... jedna warstwa historyczna odkrywa się po drugiej: zelówki z XVIII wieku, potłuczone garnki z XVI-go. Tak samo i tu. Nie można ciągle kopać na tym samym poziomie. Wy sami coraz to stosujecie odsyłacze, dygresje, kopiecie rowy i piwnice, żeby było gdzie chować fakty. Pomogę wam i część opisu chętnie wezmę na siebie. To znaczy, rozumie się, wy będziecie pisać, ale myśli za waszym pośrednictwem popłyną z zupełnie innego źródła. Proszę się nie spierać, już niejednokrotnie musiałem korygować i skierowywać waszą rękę, bo w przeciwnym razie zeszlibyście z drogi, Bóg wie na jakie manowce. Jak wyście, na przykład, przedstawili tego Tichomirowa? W roli jakiegoś mędrca, czarodzieja, podczas gdy w rzeczywistości przypadła mu rola wykonawcy, nie przeczę — zdolnego, ale tylko wykonawcy. Przecież nie swoją własną siłą opanował miasto.

— A czyją?

— Moją.

— No, dalibyście spokój! Nie głupim, żeby uwierzyć! A może w ogóle nie istniejecie? Może od tych wszystkich przeżyć u mnie w głowie rozdwojenie zaczęło się i wcale nie z wami tylko sam z sobą rozmawiam. Akurat jesteście w stanie takim Lonią, rosyjskim Herkulesem, komenderować!

— Dlaczego właśnie komenderować? Czyż nie lepiej — pożycząć? Nam wszystkich udziela siły ktoś wyższy, ważniejszy. Wy na przykład piszecie teraz przy moim współudziale, to i owo indywidualnie, ale zawsze z moją pomocą...

— Nie potrzebuję waszej pomocy! Mogę i bez was! Ścisnę pióro mocniej i zacznę-nę-nę sam syn son, sam-son, Samsonie Samsonowiczu, puście, puść, w japońskiej kapuście, herkulabia, kulebiak, ile kosztuje, za pięć dwunasta powiedziała królowa i samolot z przejmującym rykiem wyleciał zza lasu, spoza lasu, spoza boru, kalinka ty moja malinka, w ogródeczku malinka-jagódka...

— Dość już, Sawielij Kuźmiczu, jesteście starszym człowiekiem... Oto do czego doprowadza ludzka pewność siebie. Lepiej nie kłóćmy się i nie powtarzajmy ryzykownego doświadczenia Loni Tichomirowa. To przecież śmieszne, w waszej sytuacji, gdy miasto Lubimow prawie...

— A ty co za jeden, że wszystkich krytykujesz? Ty co? Anioł? Pan Bóg?

— No, po co to? Gorączkujecie się i sami nie wiecie, co mówicie... Po prostu szkoda mi tego przyjemnego miasta, ja tu przecież także mieszkałem, wiele lat mego życia...

— Tylko jedno lato, profesorze, tylko jedno lato!

— Nie tylko. Już i przedtem bywałem w Lubimowie...

— Jakoś sobie nie przypominam.

— Szanownego pana wówczas jeszcze na świecie nie było. A zresztą, żeby uniknąć zagadek, przedstawię się: moje nazwisko — Proferansow.

— No, nie, tego już zawiele! To m o j e nazwisko Proferansow! No, właśnie, mówiłem przecież, że nie z wami, tylko z samym sobą rozmawiam. Bezczelny impertynent! Nie oddam nazwiska! Wszystko zabrali. I miasto już obce, i Lonia Tichomirow, i piszę nie sam, lecz pod dyktando... Ale nazwisko jest moje! Moje i niczyje więcej! Jeden Proferansow, jeden jedyny w tym mieście... Zaraz, proszę wybaczyć, zupełnie zapomniałem... Może, wy jesteście tym, t y m s a m y m Proferansowym?!

— Tak, właśnie tym samym. Samson Samsonowicz Proferansow.

Zanim pióro wypadło z moich palców, usłyszałem w pobliżu krótki, suchy chichot i napisałem:

— Che, che...

R o z d z i a ł I I I

DZIEŃ ZWYCIĘSTWA

Przychodzę do tego miasta bardzo wcześnie, razem z jutrzenką. Słońce jeszcze nie wzniosło się nad murami klasztoru, nad wszystkim wisi szara warstwa powietrza, mglisty całun i każdy przedmiot wydaje ze siebie resztki nocnego ciepła, jakieś migotanie, które otula jego szorstki, mroczny kościec niby włochaty kokon. Równie włochate domy i płoty, wydaje się, wyrosły prawie trzykrotnie, włochate potoki powietrza ścielą się po ziemi, wszystko staje się duże i dobre, jak w bajce, wszystko porusza się, pełźnie, rozpełza się na oczach, jak gdyby rzeczy nie miały już oparcia ani władzy.

O tej godzinie ludzie śpią mocnym snem, gdyż we śnie wszystkie rzeczy sztywnieją w miarę tego, jak na zewnątrz upływa z nich siła. Z wyciągniętymi bosymi nogami, leżący na plecach i kałdunach, ludzie są nieruchomi, jak nieboszczycy. Ale to tylko wydaje się, że są tacy spokojni. Co dzieje się z nimi wewnątrz, pod łukami nadoczodołów, tam, gdzie ukryli się wcześniej, powstrzymując oddech? Tam teraz święto, bieżanina, tłok, kotłują się namiętności, dzwonią kielichy i byle jaki anemiczny biedak siada okrakiem na córce gubernatora, przeprowadzając nie wiadomo, który raz światową rewolucję.

Oto drgnął we śnie, pozuł w ustach ciastko, które mu się przyśniło, dyszy coraz szybciej, z wytężeniem. Patrząc

na jego bladą, trzęsącą się twarz, na zaognione żyły, przecinające wynędzniałe, suchotnicze czoło, wydaje się, że za chwilę zerwie się z wilgotnego łoża i, nie podnosząc powiek, wyjdzie na ulicę. Nie, nie wyjdzie. Nie poruszą się ze swoich miejsc, te boscie nieboszczyki, które przyssały się do swoich snów. Spójrzcie, jakie blade, jakie anemiczne są ich ciała. Cała krew odpłynęła tam, gdzie obecnie jest święto, wesela, stypy, gdzie grzmią honorowe salwy i córka gubernatora, byleś jej szepnął do uszka tajemne życzenie, sama przy wszystkich gościach podstawi pod ciebie porcelanowe naczynie.

Spijcie z największym pośpiechem! Niewiele macie czasu. Już dachy na dawnej ulicy Szlacheckiej przyjęły groźny metaliczny odblask, już zagrzmiała w oddali pierwsza salwa Aurory i czerwone sztandary dziarsko wypłynęły nad mury klasztoru. Za niewielką godzinkę obudzicie się, nędzni, okradzeni, w samej bieliźnie, i, przetarłszy oczy, zdziwicie się, gdzie się podziały wszystkie bajki, wszystkie rojenia i sny o potędze tego waszego miasta Lubimowa, które nawet w najlepszych czasach nigdy nie osiągnęło rangi stolicy gubernii. Zapadła, powiatowa dziura, głęboka prowincja, miasto zagubione między parowami, karłowatymi lasami, czy w ogóle istniejesz jeszcze na mapie geograficznej, czy też imię twoje dawno wymazali i przerobili, nazwawszy imieniem jakiegoś nieznanego biedaczyny, który wyskoczył z bagien i w łapciach biegł przez całą Rosję, żeby już nigdy w życiu nie wrócić do wsi, gdzie wszyscy kułacy ulegli zniszczeniu, i po zdobyciu uczciwym wysiłkiem stopnia generała dywizji, złożyć swoje bojowe kości gdzieś pod Budapesztem?...

Ale nie, nikt jeszcze stąd nie wyskoczył i może właśnie dlatego takie zazdrosne i wymyślne są sny mieszkańców, przywidujące się przed świtaniem. Może pomyślicie, że Lubimow całkowicie wyczerpał się, zamarł i tak już będzie do końca świata; myślicie, że skoro wynaleźliście zegarki, karabin maszynowy i wyrąbali okno do Europy, to miasto Lubimow do niczego już nie dąży, nie marzy o pokazaniu jakiejś sztuki i zadziwieniu całego świata nadzwyczajną utopią? Gdyby to miasto nieco odżywić, obudzić w nim silną wolę i dać sygnał, a jeszcze namówić i wysunąć na pierwsze miejsce odpowiedniego człowieczka, zobaczylibyście co by się stało... A tak naprawdę — co wówczas się stanie? Czym zadziwi, czym rozraduje to miasto, jeżeli mu powiedzieć:

— Wstawaj, dość tego snu! Oto nastał dzień twojej chwały! Masz siłę, bierz jej tyle, żeby twoje sny spełniły się na jawie. Ukój tęsknotę, masz potężnego i dobrego cara. Dam ci wodza, obdarzonego nieczułą władzą, wodza o jakim śniesz już od trzystu lat...

Na to wezwanie, które wyrwało mi się mimowoli, nikt nie wstał, a ja, gdy tak spoglądałem na ciżbę nieubranych potarganych chałupek, tkwiących w letargicznym napięciu tam w dole, pod moimi nogami — poczułem że od nagłego pomysłu robi mi się zimno. Obywatele spali, nic nie wiedząc o zmianach, jednakże oddechy w płucach stały się gęstsze i nabrały zdrowia, na skroniach wystąpiły krople potu, na policzkach zakwitł tłusty rumieniec. Powietrze chlustało z otwartych ust z rykiem, syczeniem i świstem. Wydawało się, że wszędzie ustawiono wielkie pompy, które przetaczają zapas krwi z obszernych nocnych schronisk na zmaconą, lustrzaną powierzchnię dnia. Ale odbicie było wyrazistsze od oryginału, więc barwy, które tam zanikały, tu zapalały się z dziesięciokrotnie większą siłą. Sny słabły, jak dziewczę w objęciach nieznanego mężczyzny. Traciły swoją godność, nie pojmując co się dzieje, roztopiały się zmieszane zuchwalstwem uwodziciela. A w tym samym czasie, do wtóru rozkwitającym potylicom, policzkom, piętom, wypinały się stwardniałe pagórki poduszek, występy kufrów, aż nagle całe miasto wyplątało się z gałganów i odlatzło na bok, pyszniąc się wybrzuszeniem samowarów, szlachetną łupiną figusów, kłótliwym sporem drzewa i kocich łbów.

Młodzieniec o wychudłym czole wyjrzał przez okienko, uśmiechnął się do swoich niedorzecznych myśli i powiedział ledwie dosłyszalnym, łamiącym się głosem człowieka, nie zupełnie pewnego, czy się obudził:

— Dzień dobry, moja gołębico, moje drogie miasto Lubimow!



Na drugi dzień po przewrocie, dokonany przez Lonię Tichomirowa, wiadomość o katastrofie dotarła do miasta N-ska. (*Stolica okręgu. Znajduje się o sto kilometrów od Lubimowa, na skrzyżowaniu ikstej linii kolejowej z ikstą szosą*). Przyniósł ją jednoręki zbieg, który przed świtem

prawie obudził dyżurnego porucznika, a ten, zaspany, zmarznięty do szpiku kości, zadzwonił na własne ryzyko i odpowiedzialność do mieszkania podpułkownika Ałmazowa i wyraźnym szeptem, jak to jest w zwyczaju, wyjaśnił mu sytuację.

— Mówi porucznik służbowy, „B-osiem łamane przez cztery”. W Lubimowie zaczęła się ruja niedźwiedzi!

— Co zaczęło się? Jaka ruja? — zapytał podpułkownik, zbyt zaspany, aby w pierwszej chwili zrozumieć telefoniczny szyfr, wynaleziony przez niego samego i wprowadzony do użytku służbowego w celu utrzymania warunków największej tajemnicy. (*Na wiosenne tokowisko podpułkownik już dawno się wybierał i znowu nic z tego*).

— Niedźwiedź szczebiocze po kałmucku. Czas przetrząść gardło. Przybył topielec na saniach, konieczny jest zastrzyk... — meldował dyżurny oficer tonem jednocześnie beznamiętnym i tragicznym. Ałmazow zrozumiał.

— Zatrzymajcie topielca. Natychmiast przyjeżdżam i zbadam sprawę osobiście! — krzyknął w słuchawkę. — Sophie, gdzie jest mój skafander? Pardon! — chciałem powiedzieć: gdzie jest mój rewolwer?

W intymnym kółku, w czterech ścianach, wyłożonych dębową boazerią, nastąpiła ściśle poufna kolegialna narada: towarzysz O., towarzysz U., i podpułkownik Ałmazow. Zakurzony Marjamow, jednoreki zbieg, który uszedł z życiem z miasta, zarażonego szaleństwem, plółł zupełną bzdurę. Z jego raportu wynikało że w Lubimowie nastąpiło powstanie, które jednakże wybrało drogę zgodną z prawem i porządkiem. Sam miejski sekretarz, żelazny Tiszczenko, przekazał władzę w ręce jakiegoś obieżyświata. Po otrzymaniu autonomii w powiatowej skali, miasto Lubimow upodobniło się do staro-ruskiego ustroju drobnych ksiąstewek typu „Luksemburg”. Odseparowana prowincja pragnie jedynie i wyłącznie dać przykład w jaki sposób w najszybszym czasie osiągnąć przyszłość, w imię której cały kraj wyłazi ze skóry.

— No, dobrze, a czy były wystąpienia polityczne — coś na temat kaszy i kiełbasy? — wypytywał podpułkownik niefortunnego naocznego świadka.

Marjamow rozłożył ręce.

— Na temat kiełbasy nic nie zauważono. Tichomirow najbardziej przejmuje się sprawą światowego postępu...

Wówczas towarzysz O. (haftowana koszula, łysina aż do karku, uśmiechające się błękitne oczy; bał się go sam pułkownik Ałmazow) powiedział w natchnieniu:

— Koszałki-opałki, według ciebie, szumowiny społeczne z Lubimowa zasłużyły, żeby ich fotografie wystawić na honorowej tablicy. A przywódcę należałoby odznaczyć orderem, koszałki-opałki. A tu leży przede mną odezwa, nadana telegraficznie przez wrogą agenturę i dostarczona mi z 24-rogodzinnym opóźnieniem, bo nasz podpułkownik nie miał czasu zająć się śledztwem, a i święta przy tym nadeszły, polowanie na przepiórki, *speaning*, koszałki-opałki, my także możemy to pojąć, chociaż w dzieciństwie obcego języka nas nie uczono (*Diable! — wykrzyknął w myśli podpułkownik, po usłyszeniu tej aluzji do jego szlacheckich przodków i dobrej znajomości języka francuskiego. — Znowu niewypał! Znowu ten tysy złotych wysforował się przede mną o dwa dublety. A ja już chciałem podciąć go wiadomością o zbrodniczej pobłażliwości Tiszczunki. To przecież jego kreatura, złotwi wychowanek, ten skompromitowany sekretarz! Zrezygnował z upoważnień i wydał klucze od miasta. Tichomirow — Tiszczenko — towarzysz O. — ach, jakież łańcuch spisku! Tu by się w dawnych dobrych czasach zaczęło polowanie na podstawione kaczkę... Hélas!*).

Towarzysz O. rozłożył depezę, przetrzymaną na poczcie, i przeczytał: Do wszystkich. Do wszystkich. Do wszystkich.

Skóra na jego czaszce przesuwała się faliście. Jedna zmarszczka za drugą uciekała od nosa ku ciemieniu, tworząc ciężkie, szerokie zwały.

— Co to znaczy „do wszystkich”? Jeżeli zwracają się do wszystkich, to znaczy, że są im bliscy i drodzy wszyscy obszarnicy i kapitaliści, wszyscy niedobici książęta, baronowie i podpalacze zimnej wojny, włącznie z rzymskim papieżem, który tylko czeka odpowiedniej chwili, aby upić się krwią mas pracujących... Czytajmy dalej: „Wolność obywateli zagwarantowana jest prawem”. Jak to rozumieć — „wolność”? Gdzie, po co i jaka „wolność” w wolnym państwie?! To znaczy, że potrzebna im wolność dla sprzedawania ojczyzny, handlowania ludźmi hurtem i pojedynczo, jak w niewolniczym ustroju, dla zamykania szkół i szpitali i otwierania cerkwi, na rozkaz Waty-

kanu, i palenia na stosach przedstawicieli nauki, jak już kiedyś spalili Giordano Bruno... Nic z tego! Nie pozwolimy! Słyszycie, towarzyszu Marjamow, nie pozwolimy! Zbyt wiele się im zachciało, koszalki-opałki! *(Trzeba będzie Marjamowowi wlepić surową naganę za wykazane gapiostwo — pomyślał podpułkownik Ałmazow. — Sam sobie winien, przeslepił spisek à la guerre comme à la guerre).*

W miarę tego, jak towarzysz O. wnikał w ukryte plany lubimowskich potworów, jego podniecenie wzrastało coraz bardziej. To mu się zwykle zdarzało: zaczyna mówić ospale, wali kłode przez pień, z wysiłkiem przypominając sobie słowa z ostatnio wydanej broszury na międzynarodowy temat, ale gdy tylko te słowa rozlegną się — towarzysz O. podnieca się pod ich wpływem, a niekiedy wpada w taki zapał, że zaczyna bić pięścią, wrzeszczeć i tupać nogami, sam nieświadom z jakiego powodu.

— Jestem człowiekiem szalenie poddającym się sile wymowy — skarżył się nieraz towarzysz O., po takim kryzysie oratorskim. Powiem kilka słów o knowaniach Watykanu albo na temat wszechświatowej walki o pokój, i natychmiast wściekłość mnie opada. Jużbym ich wszystkich na kawałki porozrywał...

Tak i teraz: ledwie mówca zdążył poruszyć zamiar Inkwizycji otwarcia cerkwi w Lubimowie, słuchacze stulili ramiona i opuścili głowy. Nawet towarzysz U., który potwierdzająco kiwał po każdym zdaniu, robił to, nie patrząc mu w twarz. Nikt nie odważył się obserwować jego mimiki. Nie, nie można powiedzieć, żeby to oblicze było okrutne, przeciwnie zachowywało zawsze wyraz przyrodzonej dobroćliwości i tego niewinnego, dziecinnego zadowolenia z samego siebie, tak bardzo właściwego prostakowi, który utył przy biurowej pracy. Ale rzecz w tym, że gdy towarzysz O. przemawiał, jego frontowa strona stopniowo przechodziła na łysinę i, nie znajdując miejsca dla siebie wśród rojowiska zmarszczek, pełzła dalej po czaszce, sadowiąc się brwiami na górnej części potylicy. Niechby się zerwało jakieś ostatnie ścięgno, przytrzymujące na głowie tę powłokę, a natychmiast krwawa masa pomarszczonej tkanki rozpląszczyłaby się u nóg podwładnych towarzysza O. Czekali i lękali się nadejścia tej chwili, bo gdyby mówca szarpnął się nieco silniej, wszystko rozleciałoby się w proch...

Ale i tym razem stan skrajnego napięcia nie doprowadził do fatalnego rozwiązania. Rozładował nastrój jednoręki Marjamow, który siedział ponuro w kącie, podczas gdy towarzyszy O., analizował, sylabę po sylabie, depeszę i wariackie informacje o przywódcy rebelianckiego miasta. Brudny, oberwany, zarośnięty szczciną (pół dnia przesiedział w bagnach, kryjąc się przed pościgiem, a potem bez odpoczynku przebiegł sto kilometrów i już niedaleko N-ska zabrała go ciężarówka), ten nieszczęsny świadek rejonowego przewrotu niespodziewanie zabrał głos:

— Nie zamierza cerkwi otwierać — wymamrotał, korzystając z chwili przerwy w oratorskim przemówieniu. — Co się tyczy kapitalizmu, czy wolności, to już jak wolicie, a co do chrześcijańskiej religii, to nie obawiajcie się, Lonia jej wznawiać nie zamieruje. To już ja wiem na pewniaka — nie zamieruje...

— Co ty pleciesz? Dlaczego nie zamierza? — towarzyszy O. był zdziwiony zuchwalstwem szeregowego pracownika, który ośmielił się przerwać z miejsca i ordynarnie replikować.

Ale w duchu był z tego zadowolony, ponieważ zdążył przywrócić swej twarzy zwykły wyraz i, macając się, pożałował, że poddał się paroksyzmowi wymowy, która ujemnie odbijała się na działalności jego systemu naczyniowego.

— Nie będzie Lonia cerkwi otwierać — powtórzył Marjamow, tępo wpatrując się w podłogę.

— No, mów, nie bój się! Cóż to, według ciebie, ten Lonia Boga nie uznaje?

W oczach okręgowego kierownika przebłysnął zwykły, nieco kpiący, spokojny wyraz. Towarzyszy U. i Ałmazow z ulgą wyprostowali grzbiety.

— Mów-że nareszcie, nie bój się — potwierdził słowa zwierzchnika towarzyszy U. i nawet zażartował: — Dlaczego ten wasz Tichomirow w Boga nie wierzy?

— A dlatego że....

Marjamow wstał, potknął się, wyprostował, i dopiero wtedy spostrzegli, jaki on jest stary, wymęczony i jednoręki.

— A dlatego, że Lonia Tichomirow — czarownik! I Antychryst! Diabli mu pomagają...

Marjamow podniósł swoją jedyną rękę i przeżegnał się szerokim, żarliwym znakiem krzyża.

Gdy go wyprowadzono, podpułkownik powiedział do dyżurnego funkcjonariusza:

— Zamknąć go w izolatorze. Nie dopuszczać nikogo aż do specjalnych rozporządzeń. Stary dostał małego kręčka, ale to minie...

I żebyś jakoś złagodzić brak taktu u swego podwładnego, dodał, zwracając się do wysoko postawionych gości:

— Zgodnie z posiadanymi przeze mnie danymi, Marjadow stracił rękę we wczesnej młodości, w trakcie antyreligijnej kampanii. Być może, ten uraz spowodował obecnie odwrotną reakcję psychiczną. Cóż robić! Nerwy, nerwy! Takie oto są niebezpieczeństwa naszego trudnego zawodu...

Tu Ałmazow pogładził dwoma palcami siwe pasmo włosów, umiejętnie uwydatniające ciemno-aksamitny połysk jego uczesania i niewielkich, muszkieterskich wąsów. Na szczęście, towarzysz O. nie zwrócił na to uwagi. Natomiast towarzysz U., który także mógłby mieć bujną czuprynę i bodaj jeszcze intensywniejsze kontakty z kobietą częścią zaludnienia miasta N-ska, gdyby ze współczucia do towarzysza O. nie golił głowy do samej skóry, westchnął i odwrócił się.

— Koszałki-opałki!

Towarzysz O. zdołał definitywnie przywrócić swemu głosowi spokojną rzeczowość i demokratyczną prostotę.

— Wroga propaganda zaraziła waszych współpracowników. Podpułkownik, będziecie musieli osobiście powąchać tyłek przeciwnika. Pojedziecie z oddziałem do Lubimowa. Garść młodzieży, dziesięciu-dwudziestu, można pożyczyć w milicji. Żeby na zewnątrz żadnych menstruacji. Kulturalnie. Kapelusze, krawaty, jak w restauracji. Spacerek na świeżym powietrzu. Dzieciątkom zachciało się na świeżą trawkę. Pukać z rewolwerów nie potraza, dopóki nie stawią oporu. Ze dwa karabiny maszynowe jednak weźcie, a nuż się przydadzą. Tichomirowa i innych krzykaczy wywieźć bez szumu. Przywrócić więzienie i łączność telefoniczną z N-skiem. Jednak — bez represji. Nie rozrabiać. Praworządność. Pozwalam łapać dziwki za cycki, ale żeby coś więcej — ani mru-mru. I żeby żadnych następstw kultu jednostki. Na całą dezynfekcję daję wam 24 godziny i życzę powodzenia. Towarzyszu U., wasze zdanie?

— Całkowicie z wami zgadzam się, towarzyszu O. Od siebie mógłbym dodać na temat tych, jakeście dowcipnie powiedzieli — che, che — menstruacji. Czy nie byłoby dobrze,

żeby wzięli na drogę plecaki, wędki, szarpane instrumenty, harmonię? Przecież przedsięwzięcie jest czysto cywilne, w sektorze sportowych i kulturalno-masowych rozrywek. Wyjazd na łono natury. Piknik. Pieśni i tany. I żeby żadnych następstw kultu jednostki!

Koło południa ku stacji autobusowej przemaszerowała kompania chłopaków, w czarnych, szczelnie zapiętych, bez względu na pogodę, paltach i w równie czarnych, zmiętych, nasuniętych na oczy kapeluszach. Spod kapeluszy sterczały dobrych rozmiarów chłopskie uszy. Każdy miał w jednym ręku walizę, a w drugim — bałajkę, albo przybory do rybołówstwa. Z boku, chodnikiem, maszerował Ałmazow — w gietrach, z plecakiem, w korkowym hełmie myśliwego.

— Śpie-wać!

Tenor z czerwonymi uszami, idący w pierwszym szeregu zaczął:

Żołnierzyki, dzielne wojowniki,
a gdzie wasze żony?

— Nasze żony — karabiny... — podchwycił chór i nagle urwał.

— Cóż ty, Sołowjow, zapomniałeś o rozkazie? — wycedził przez zęby Ałmazow. — Zaczynaj liryczną!

Zbity nieco z pantafyku Sołowjow zaintonował:

Ach, nie szyj mi, ma-a-a-musiu,
czerwonej su-u-kien-ki-i...

Myląc krok, kompania podeszła do stacji. Z boku już oczekiwały trzy miejskie autobusy.

— Stój! Baczność! Pojedynczo od prawej — do ładowania!

Postukując walizkami, gubiąc kapelusze, śpiewacy powłazili do samochodów i, jak bogowie, rozsiedli się na miękkich fotelach dla pasażerów.

Za rogiem zgraja staruch zwierzała sobie nowiny:

— W walizkach u nich, kobietko, załadowane automaty, rewolwery... Dwa karabiny maszynowe, tak, dwa karabiny maszynowe — wiem najdokładniej! Nie pozwolono im macać bab poniżej pasa... W Lubimowie cudowne zjawisko ukazało się... Biskup Leonid... Nie, to nie biskup — błogosławiony, nawiedzony, Lonia mu na imię... Cerkwie otwiera, tak, cerkwie otwiera! Cerkwie otwiera! Pomóż mu,

Panie Boże! Spuść mu, Panie, zwycięstwo nad wojskiem szatańskim, nad wojskiem Antychrysta!



Tymczasem w Lubimowie trwało święto na cześć Leonida Iwanowicza i jego młodej małżonki. Rankiem wpisali się do małżeńskiego rejestru i małżeństwo ich spadło jak manna z nieba na swobodne miasto, które tylko oczekiwało na sygnał, żeby przedłużyć święto i skonsolidować zwycięstwo radosną ucztę. Żeby prawdę powiedzieć, 1-go i 2-go maja także nikt nie siedział z założonymi rękami i wszyscy starali się, żeby utrwalić piękną rocznicę i początek nowej epoki. Ostatecznie, tyle tych zmian, trudno sprawdzić, a potem — nikt nie policzy! Skoro już Leonid Iwanowicz ustanowił wolność w Lubimowie, jakże jej nie wyróżnić w najlepszy sposób, a po co wolność rosyjskiemu człowiekowi, jeżeli nie wolno mu pohulać, rozweselić się na całego, na pohybel duszy, wrogom na strach, tak, żeby przed śmiercią, która i tak nikogo nie ominie, było co przypominać.

Ludzie rosyjscy nie kochają się w pokątnej drobiazgowości, żeby pojedynczo, chałupniczym sposobem, raz na godzinę łyżeczkę od herbaty. Niech tak piją alkoholicy: Amerykanie w Ameryce, Francuzi we Francji. Piją, żeby się upić — żeby otumanić swoje mózgi. Uchleją się jak świnie i — spać. A my używamy wódki, żeby uintensywnić życie i dusze rozgrzać, zaczynamy żyć dopiero wtedy, gdy wypijemy, i dusza nasza wyrывa się wzwyż i wynosimy się nad nieporuszoną materią, i żeby użyć takiego ruchu, potrzebna nam jest ulica, koślawa, małomiasteczkowa ulica, wyrzuszająca się garbem ku blademu niebu.

Toteż Leonid Iwanowicz i Serafina Piotrowna, po wyjściu z Urzędu Stanu Cywilnego na ulicę, w ogóle jej nie poznali. Wzdłuż alei Wołodarskiego, dokąd okiem sięgnąć, stały stoły, przykryte serwetami i zastawione, czym Bóg obdarzył, chociaż niezbyt obficie. To i owo jednak zebrali: pierogi, kapustę, galaretę, i zwykła szubrawka z kartką też tam była, bo gospodarze z racji takiego wydarzenia wyłożyli żeby ugościć, wszystko co mieli w zanadrzu, idąc za starożytnym prawidłem, wyrażonym w jednym przysłowiu: „jeśli już pijaństwo się zaczęło, kraj ostatni ogórek”.

Nikt jednak nie pił i nie jadł — wszyscy siedzieli, przygotowani, pod otwartym niebem, w czystym powietrzu, wyczekując, kiedyż wreszcie młoda para raczy przeprowadzić rejestrację. Ledwie zjawili się na progu Urzędu Stanu Cywilnego, wyszła im naprzeciw delegacja miejskiego społeczeństwa, ofiarując jako symbol obfitości kołacz na serwetce i dwa rżnięte kieliszki w charakterze zapalników. Złożyli gratulacje, życzyli powodzenia we wspólnej życiowej organizacji. Nie było żadnych niewłaściwych okrzyków, ani trywialnych aluzji co do ich naturalnych, małżeńskich potrzeb, ani głupich facecyj pogańskiego pochodzenia, nie, tego w ogóle nie było. Wszystko, jak zaleca się, zachowywało kulturalne formy: skromnie, z prostotą, ale i z godnością.

Sprawcy tej uroczystości również zachowywali się tak, jak gdyby byli zwyczajnymi ludźmi. Leonid Iwanowicz ograniczył się do włożenia rękawiczek mysiego koloru i papierowej chryzantemy w butonierkę. Serafina Piotrowna nawet nie pofatygowała się by zrealizować w dniu wesela ślubną suknię, oznaczającą dziewictwo, i wykorzystała jasną, wełnianą bluzkę, przy czym dla przyzwoitości wzięła ze sobą wzorzystą parasolkę, która dawała jej wygląd królowej na spacerze. Jak księżniczka, kroczyła pod rękę ze swoim księciem i co chwilę zwracała ku niemu zakochany profil.

— Patrz, Leonidzie, kołacz! A na tacy dwa kielichy. Brawo! Brawo! To tak bardzo po rosyjsku! Powinieneś trącić się ze mną i wypić bruderszaft.

Smakując przyszły pocałunek, Serafina wybuchnęła namiętnym śmiechem. Ale Leonid Iwanowicz ujął kielich dłonią w rękawicze, powąchał, zmarszczył się krytycznie i postawił z powrotem.

— Dzikusy! — powiedział groźnie. — Czego wyście tu nasączyli? Dlaczego nie widzę dokoła owoców obfitości? Wódka i ogórki! Hańba! Co powie Europa? Przysłać tu natchmiast zarządzających magazynem, składem i restauracją!

Ale oni już stali przed nim, wciągnąwszy brzuchy, i zdawali raport w sprawie istniejącego niedoboru. Brakowało alkoholowych napojów. Nie było kaszy, kielbasy, ciastek i konserw, masła i mięsa. Ryb także nie było. Kombinat wyżywienia był na wykończeniu. Bilans żywnościowego trustu wykazywał manko.

Chociaż przeszyty spojrzeniem Leonida Iwanowicza, zarządzający magazynem natychmiast przyznał się we łzach, że

ukrył przed ludem skrzynkę toaletowego mydła i dwa wiadra pralinek „Żołnierz Straży Granicznej na posterunku” — ta jedna kropla rosy i tak nikogo by nie uratowała. Na składzie pozostały nietknięte jedynie zapasy wody mineralnej, charkowskiego wyrobu, i od trzech lat znajdował się nienaruszony pieprz w słoikach, pochodzący z importu, taki czerwonoskóry z wyglądu, że nikt nie ośmielał się brać go gołą gębą. A ponadto były zapałki, pasta do zębów, dziesięć i witamina „C”, bardzo pożyteczna w wypadku anemii.

— Wszystko rozdać ludności! Bezpлатnie, na mój koszt! — rozkazał Leonid Iwanowicz przestraszonym aprowizatorom. — Czemu nie ruszacie się? Lud pragnie obchodzić święto. Lud wyraża potrzebę wypicia na cześć Serafimy Piotrowny, która w dniu dzisiejszym została moją legalną żoną. Prosimy kochać i szanować! Dziś — zapraszam wszystkich! Ja sam nakarmię całe miasto...

Twarz Loni skurczyła się pod wpływem nagłej myśli.

— Podać tu butelkę charkowskiego napoju, zarzuconego na składzie poza uwagę publiczności. Doktorze Linde, proszę przeprowadzić próbkę, aby wszyscy mogli przekonać się jaki jest jego chemiczny smak.

Doktor Linde odseperował się od świty, towarzyszącej Leonidowi Iwanowiczowi, i nakapał na łyżkę charkowską wodę mineralną, która, jak wszystkim wiadomo, rozmiękcza tkanki żołądka, ale nie daje satysfakcji umysłom i sercom. Setki oczu z uwagą śledziły ruchy doktora, który wyciągnął szyję, rozsunął wąsy i przełknął próbną zawartość łyżki. Przełknął, zakrztusił się, oblizał łyżkę, nieco pomyślał i zawołał zmienionym głosem, niedopuszczającym żadnej falsyfikacji:

— To nie jest woda na żołądek... To nie napój mineralny... To najczystszy aptekarski spirytus!

Tak jest! Stał się cud: woda zamieniła się w spirytus. To jest w istocie rzeczy, w samej głębi swego jestestwa, była wodą charkowskiej produkcji i pozostała nią, jeśli chodzi o jej wartość fabryczną. Natomiast zmieniła się jej rola i miejsce w życiu społeczeństwa, jej wpływ na uczucie pijącego człowieka. Pod wpływem Leonida Iwanowicza każdy z pijących doświadczał w duchu palącego wrażenia i wstrząsu w organizmie, więc wstrząśnięty, rozdarty aż do najniższego kręgu pacierzowego, mówił, wydmuchując powietrze:

— Fffu! To ci sztuka kapitana Cooka! Pali niby ogień, a w ustach takie uczucie, jak gdyby rozkwitły róże. Taką wspaniałość po prostu szkoda zagryzać zgniłym ogórkiem. Tu przystoi jesiotr, balyk, pieczone prosię. A jeszcze byłoby słodziej, jeszcze wyraziściej puścić śladem takiej wspaniałości plasterek krakowskiej kiełbasy, przedwojennego wzorca, od której — na samo wspomnienie — ślina klei się jak śmietana, a wewnątrz wszystko się ślizga, że zjadłbyś własny język!

I oto jeszcze nie zdążyły przycichnąć życzenia pracującego ludu, gdy na stołach zjawiła się, jak w bajce, luksusowa zastawa. Nie wiadomo przez kogo spowodowana zmiana potraw nastąpiła tak niespodzianie, że człowiek trzymający ogórek w zębach poczuł nagle wszystkimi fibrami nieprzewyciężony smak kiełbasy i, nie wierząc sobie samemu, wypluwał ogryzek ogórka na serwetę i wrzeszczał, jakby go zarzynali:

— Ojczy rodzony — kiełbasa! Najdrożsi moi — kiełbasa!

Ludzie jedli, płakali, pełnymi ustami głosili chwałę dobroci i hojności Leonida Iwanowicza. Szatkowana kapusta wyglądała jak wieprzowina, kartofle w mundurach niczym nie ustępowały aksamitnym brzoskwiniom. Ale najbardziej pobudzał apetyt czerwonoskóry pieprz, przewyższający kolorem i soczystością pieczoną wołowinę. Ta mięsna nowalijka zjawiła się w takim nadmiarze, że poniektóry hulaka rzucał ją psom pod stoły, ale na próżno pysznił się i marnował gastronomiczny produkt. Na widok czerwonych okrawków miejskie psy odwracały się i kuliły pod siebie ogony — taka ich wilcza natura...

— Jedzcie, przyjaciele, pijcie, i niczego nie bójcie się — coraz to powtarzał Leonid Iwanowicz, szeroko gestykułując dłońią w rękawicze. — Na dziesięć lat prowiant przygotowałem. Każdemu według potrzeb...

Mając przy boku Serafinę Piotrownę, w otoczeniu zafanyh osobistości, Tichomirow poruszał się ceremonialnym krokiem między zastawionymi stołami i wnosił wszędzie dziarski, afirmujący życie nastrój. Tam rzuci na talerz porcję kawioru z bakłażana, tu stworzy warunki do tańca pod dźwięki walczyka, jednego weźmie w cugle, drugiego podciągnie — a wszystko to ledwie dostrzegalnym kiwnięciem głowy, poruszeniem brwi, bez dotykania rękami.

Zeby zarządzać miastem, Lonia nie musiał pilnować porządku, ani dwoić się i troić. Służba łączności przypadła

dzieciom, wyuczonym patrolowania stadkami i pojedynczo w ulicach, co sprawie kontroli przydawało ducha zabawy, budzącej dzieciinną zręczność i ciekawość. Ze dwudziestu młodych wywiadowców, rozproszonych po strychach, śledziło, co dzieje się w miejskich okolicach. Inni, w charakterze gońców, dostarczali faktów, powstałych wskutek tarcia społecznego kołowrotu.

— Wujku Lonia, wujku Lonia, w ogrodzie u Gurjowych jakiś obcy chłop obłapia ciotkę Daszę Golikową! — donosił w biegu szybko nogi pracownik służby łączności.

I natychmiast otrzymywał jako nagrodę cukierek „Żołnierz Straży Granicznej na posterunku”, albo pożywną kulkę witaminy „C”. Zaś w kierunku dalekiego ogrodu Gurjowych bieгло pełne wyrzutu spojrzenie Leonida Iwanowicza i takie błyskawiczne spojrzenie, wysłane na miejsce, wystarczało, żeby skończyć z nieporządkiem. Obcy chłop, który po pijanemu napadł na bezbronną Daszę, wypuszczał ze swoich łapsk jej słabe ciało i mówił, cofając się:

— Przepraszam, *madame*, za moje niewłaściwe zachowanie się. To się nigdy już więcej nie powtórzy, przysięgam na honor!

Dziewczę, wyrwane z paszczy lwa, nie tylko nie robiło awantury, ale skromnie odpowiadało:

— Ależ nic takiego, bardzo proszę... Nawet nie zdążyłam zauważyć... Jeśli sobie życzycie, proszę: oto mój adres i zdjęcie fotograficzne.

I już dojrzewający skandal kończył się na niczym.

— ...Lonia, rozkaż podać staruszce astrachańską rybę, ukleję, dawno już ukleji nie jadłam! — zawołała jakaś staruszka, wyskoczywszy na środek zabawy.

Była pijana i wyglądała bardzo bojowo, w podkasanym sarafanie i w ciężkich, pofałdowanych jak zorana ziemia buciorach, które przytrzymywały staruchę za nogi, nie pozwalając ulecieć w górę, i w tych butach kołysała się, niby drzewko na wietrze, i, kwękając, prosiła o ukleję, bez której i życie jej niemiłe i śmierć niepożądana.

— Dobrze, Matriona, będziesz miała ukleję — obiecał Leonid Iwanowicz i już zamierzał, zamiast ryby, podsunąć jakąś skórkę od chleba.

Ale ukleja u nas to taki rzadki zwierz, że wymaga zastępcy, który by wyróżniał się na ogólnym tle, jak kupcowa

przed kruchtą. Lonia wyciągnął z kieszeni tubkę pasty do zębów.

— A gdzież ta ryba ma głowę i pęcherz? — zdumiała się starucha.

— Głupia, to jest pasta! Mówiąc zwykłym językiem — ciasto z ukleji. Bez ości, bez pęcherza, sam miękisz. Widzisz, napisane: „Pasta do zębów”. Dla bezzębnych. Dla takich jak ty!

Sam odkręcił tubkę, wydusił spiralę gęstej pasty, sam rozsmarował: masz, stara, żryj, ssij, rozkoszuj się i nie zapominaj Leonida Iwanowicza!

W jego oczodołach zaległy żółte cienie zmęczenia. Czoło, po którym spływały strużki potu, połyskiwało jak blacha. Im bardziej hulaszczce stawało się dokoła ludzkie zadowolenie, tym silniej ściągały się brwi władcy miasta i szare, kose oczy wbijały się w tłum, jak nożyczki. (*Pewnie! Z naszego narodu oka spuszczać nie można*). Na tej uczcie on jeden był ponury zupełnie nie na czasie, i wciąż spoglądał na zegarek i popędzał do zabawy, jak gdyby było mu spieszno z zakończeniem wesela przed zapadnięciem zmierzchu.

— Ogłaszam: w ciągu trzydziestu minut rzeką Lubimowką będzie płynąć szampan. Najlepszej marki. „Sowiecki szampan”. Kto nigdy nie próbował — niech rozpyta się u sąsiada o smak i bukiet. Nie lękajcie się, to nowe osiągnięcie techniczne. Przegrodzę koryto rzeki i wino poleje się strumieniem. Pamiętajcie: cała przyjemność będzie trwać dokładnie trzydzieści minut. Od tej chwili zaczyna się! Idźcie i pijcie! Zaraz! Nie całą kupą! Podusicie się nawzajem, bydlęta! Dzieciom pić zabraniam. Inwalidzi poza kolejką. Czerpać wino szklankami. Nogami do rzeczki nie włożyć. Jeszcze który utonie. Sawielij Kuźmiczu, a ty dokąd? Wróć! Natychmiast wróć! Twoje miejsce jest tu, koło mnie, razem z doktorem Linde.

— Leonidzie Iwanowiczu, ja tylko raz jeden chciałem siorbnać, doświadczyć, jakie to szczęście w naszej cuchnącej rzeczce, i zaraz bym przyleciał z powrotem, zgodnie z rozkazem — odpowiedział Sawielij Kuźmicz, który już zamierzał wyrwać za ciemną masą, zapomniawszy o obowiązku i tytule głównego Historiografa.

— Cóż to, jestem gorszy od innych? — mówił dalej, wskazując w kierunku brzegów rzeki, skąd dobiegał już wesoły plusk i rechot, i leciały pod obłoki pomarańczowe

rozbryzgi szampana. Proszę o pozwolenie na dwu minutową nieobecność. Towarzyszu Tichomirow! Łaskawa pani, Serafino Piotrowno! Wszyscy piją, wszyscy są pijani. A ja to co — nie człowiek? (*Łgarstwo! Wcale tak nie było! Sam nie chciałem. A poza tym — dlaczegoż to o mnie ja sam mam mówić, bez cienia szacunku, „on”?* A ja to co — nie człowiek?).

— Człowiek, człowiek... — wymamrotał Leonid Iwanowicz i zamknął powieki. Przez chwilę wydawało mu się, że wszystko się przed nim kręci, jak na karuzeli. Widocznie, pomyślał, pospieszne spicie się tych słabych, naiwnych i ciemnych ludzi zaraziło także i mnie. Albo sam jeden znalazłem się pod własną hipnozą, i wszyscy dokoła są zdrowi i trzeźwi, i tylko mnie, odurzonemu szalonym marzeniem, przywidują się szeregi stołów na miejskim placu, i okrzyki na rzece, i ten poślubny spacer, i łatwe zwycięstwo nad sercem kobiety, tak niedawno najzupełniej obojętnie przyjmującej moje najszczerze zapewnienia...

— Wyglądasz jak nieboszczyk! — przeraziła się Serafina Piotrowna, która nie odrywała czułego spojrzenia od młodego męża. — Napij się czegoś. Musimy wzmocnić się oboje. Własnoręcznie przygotowuję pasteryzowane kanapki..

Podniosła z ławki tubkę z pastą do zębów, której nie dojadła stara Matriona.

— Ani mi się waź! — krzyknął Tichomirow, odzyskując panowanie nad sobą. — Zjemy w domu — powiedziały już spokojniej, obrzucając kosym spojrzeniem przedzoną świtę. — A teraz, towarzysze, przespacerujemy się ku klasztornym ruinom i obejrzymy panoramę miasta z góry. Tu pachnie bardzo nieprzyjemnie... Szampan wydziela opary... Ale nas, kierujących i zaufanych osobistości szampan nie pociąga, my go nie chcemy, myśmy nie powinni chcieć, rozumiano?! Tym bardziej tobie, Proferansow, nie wypada latać po wino i wódkę, jakbyś był pętakiem. Czas już odzwyczaić się. (*Od tamtego czasu pijam wyłącznie piwo*). Twoje zadanie pisarza i miejskiego Historiografa polega na nieustannym studiowaniu rzeczywistości w jej niezmiennym rozwoju i dbaniu o to, by każdy fakt znalazł swoje prawdziwe odbicie. Bądź naszym lustrem, naszym Lwem Tołstojem, którego przecież lud nie na próżno nazwał „zwierciadłem rewolucji”. Rozejrzyj się dokoła siebie, przyjm w siebie ota-

czające życie, a potem daj mu plastyczne odbicie w historycznych pamiątkach...

Miasto leżało pod nami jak kołdra z gałganów, pomięta i rzucona w bacchicznym nieładzie. Czerwone sztandary i serwety, sarafany malinowego koloru, podbite wiatrem, spierały się z zielenią chłopskich ozimin, które wprost z wysokiego nieba wbijały się klinem w parów, rozcinając na dwie części żelazną goliznę zagajnika. A jeśli wziąć ponadto pod uwagę zakręty i odnogi rzeki zielonkawej jak butelka, oblepione tu i ówdzie rojami obywateli, a jeszcze dodać krzywe uliczki, ślepe zaułki, podwórka, załamana na bakier cerkiewkę z zawaloną kopułą i gromadą wron, wyleniały cmentarz, cały w drobnych krzyżykach, i żółty grzyb szpitala w sąsiedztwie z barczystym, ciemnoburym gmachem więzienia, pusty, zaśmiecony plac i bezludny, wyjeżdżony trakt, połyskujący w przestrzeni srebrzystymi żmijkami niewyschniętego błota, plus wieża straży ogniowej przy pastwisku, płoty, psia bieranina, plus bzikująca harmonijka, kudłaty dym z komina, a nad dymem obłoki, rozpedzone jak okrągłogrzywe konie — jeśli — powtarzam, wszystko to złożyć razem i potasować, we właściwy sposób, otrzymamy właśnie taki obraz, jaki ujawnił się oczom naszej zdumionej publiczności.

— Oto obraz godny pędzla artysty-malarza! — oświadczył Proferansow i głęboko odsapnął. — Stało się, wypełniło się odwieczne marzenie ludu. Oto nareszcie kraina mlekiem i miodem płynąca! Oto Królestwo Niebieskie, które zgodnie z nauką prawidłowej będzie nazwać skokiem w promienną przyszłość. Nigdy jeszcze w historii ludzkości nie było takiej troski o żyjącego człowieka. Nigdy jeszcze...

— Dziękuję, to wystarczy — przerwał mu Tichomirow i poklepał po ramieniu. — Styl masz, staruszk, nienajgorszy. Zapisz to wszystko na papierku, potem pokażesz.

Dał znak otoczeniu, żeby oddaliło się na czterdzieści kroków i zostawiło go sam na sam z przepiękną Serafiną Piotrowną.

— Widzisz, kochana, nie chciałbym, żeby Sawielij tak bezpośrednio opowiadał wszystkim moje myśli. Ale to, co tu mówił, pod wpływem narzuconej mu sugestii, jest bliskie prawdy. Pamiętasz, kiedyś obiecałem, że ci złożę w darze — ani wiele, ani mało — miasto Lubimow? O, nie, nie masz prawa wymawiać się od ślubnego podarunku... Patrz

— miasto leży w pokorze u naszych nóg. Pokorne, a jednocześnie — wystaw sobie! — swobodne, wolne miasto, a na dodatek szczęśliwe, ponieważ załatwiam wszystkie jego pomysły i życzenia. Ci ludzie korzystają bezpłatnie z wyjątkowego pożywienia i wina, które przy tym nie wyrządza szkody ich zdrowiu; nie znają uczucia zależności, ani uciemnienia, dowierzają nam i kochają nas dziecinną miłością. Mógłbym ich zmusić, żeby nosili worki na plecach i kopali kanały irygacyjne, ale nie chcę. Ustosunkowuję się pobłaźliwie nawet do słabostek moich współobywateli. Od dziś w naszym mieście nie powinno być głodnych, chorych i smutnych. Ale przede wszystkim powiedz mi — jesteś zadowolona, jesteś zadowolona, jesteś szczęśliwa?

— Tak! — szepnęła Serafina, pochylając wdzięcznie różowioną twarzyczkę ku jego wysoko podnoszącej się piersi. — Mój drogi, jestem taka szczęśliwa i taka wdzięczna, że nareszcie pobraliśmy się i żeś uznał mnie za swoją małżonkę w obecności całego miasta. (*A przecież mógł nie robić tego kroku i otrzymywać od niej darmo jakie by chciał usługi*). Ale po co mi to miasto i cały świat, gdyby ciebie nie było? Jakże ja mogłam — nie rozumiem — zachowywać się kiedyś tak okrutnie i tak długo nie doceniać twego geniuszu, rozumu, dobroci i zewnętrznego powabu?! Ach, Leonidzie, ach, rozpływam się cała...

Usiłowała objąć go za szyję swymi sprężystymi rączkami.

— Zaczekaj! — Leonid Iwanowicz odsunął się gwałtownie. — Patrz: bieżą ci z łączności... Dwóch jednocześnie... Coś się stało! No, co się tam u was znowu wydarzyło — mówcie szybciej!

— Wujku Lonia, wujku Lonia, tam na Diatłowym Polu, niedaleko stąd, obcy człowiek zmarł...

Tichomirow zasępił się.

— Że niby jakto — zmarł? Co to za nowiny? Kto dał pozwolenie? Albo... może ten wasz człowiek chorował nieuleczalnie... stary był?

— Nie, nie stary — meldował rozgorączkowany wyrostek. — Chłopy powiadają, że to z przepicia. Nachlał się spirytusu. Nawet, powiadają, nie rozwadniał, pił jak szło...

Gromadka ciekawych rozstąpiła się, przepuszczając władze. Doktor Linde, który przykląkł na jedno kolano, schował stetoskop do kieszeni i rozłożył ręce.

— Finis — powiedział — finis. Medycyna nic tu już poradzić nie może. Od chłopaka niesie jak od butelki, której degustację przeprowadzałem. Mogę potwierdzić: wystarczająco dwa litry tego nadzwyczajnego płynu, aby nastąpił wzorowy, natychmiastowy finis. Zastawki nie wytrzymują.

— Przestań wygłupiać się — chciał mu powiedzieć Lonia. — Już ja dobrze wiem, ile stopni posiada charkowska woda mineralna. Spirytusu w tym mieście nie dostanie nawet na receptę...

Ale zamiast zaprzeczyć, zapytał:

— Co za jeden? Kto go zna?

Nikt nie znał.

Człowiek leżał na ziemi z rozłożonymi dłońmi jak Jezus Chrystus. Widocznie ktoś usiłował go cucić i tak został, po ułożeniu dla łatwiejszego rozpoznania na wznak, nosem do góry, i wszystko razem — rysy twarzy, które jeszcze nie zdążyły zatrzeć się, a zwłaszcza błękitny trykot piłkarski i porcięta w jodełkowy rzucik (jedna z nogawic poddarła się nieco i widać było tasiemki zwykłych, proletariackich kaleśonów) — sprawiało wrażenie niesprawiedliwego, nędzarskiego równouprawnienia przed obliczem śmierci, tak skorej do działania i po gospodarsku roztropnej. Ale wziąć inicjatywę w swoje ręce i sprawdzić, czy rzeczywiście, jak oświadczył lekarz, od nieboszczyka niesie spirytusem, Lonia z jakichś powodów nie odważył się i wciąż przyglądał się porciętom w jodełkę i płóciennym trzewikom na brudnych nogach.

— Leonidzie Iwanowiczu — przypomniał sobie Proferansow. — Przecież to złodziej, wypuszczony z więzienia. To wyście go wczoraj obdarzyli amnestią, jego i jeszcze trzech innych szkodliwych pasożytów. To nie nasz, nie miejski, a do tutejszego więzienia pewnie dostał się przypadkiem, w drodze na Sybir. Nie trzeba go było wypuszczać! Takich strzelać należy, albo wieszać!

— A więc to ty! — mimowoli zawołał Lonia i aresztant w błękitnym trykocie ożył w jego pamięci.

Na początku ospale splotował i powtarzał to samo: „Naczelniku kochany, daj zakurzyć... Naczelniku, każ żeby wydali święteczny wikt... Należy się drogi naczelniku...”. A potem głośno i wyraźnie, jak gdyby czytał artykuł w gazecie, opowiedział, że w Melitopolu udało mu się podiwanić bufetowej złoty zegarek z bransoletą, czego niezmiernie żałuje i

gotów jest dać zadośćuczynienie i spróbować zmienić swój zatwardziały charakter.

— Bądźcie ludźmi! Nie kradnijcie, nie zabijajcie, nie podrabiacie dokumentów i nie popełniajcie innych przestępstw, które poniżają wysoki poziom waszej ludzkiej godności — przekonywał ich Leonid Iwanowicz u szeroko rozwartej bramy więziennej. — Pamiętajcie: człowiek to brzmi dumnie...

— Ech, dziwaczny z ciebie człowiek — Lonia kontynuował w myśli rozmowę z niefortunnym wychowankiem. — Wypuszczono ciebie z więzienia, darowano życie i wolność, zaproszono do wspólnego stołu, człowieka z ciebie zrobili, a ty zamiast tego wszystkiego nachlałeś się, jak świnia, umarłeś i popsujesz nam wszystkim przyjemny nastrój. Wypada, że lepiej, gdybyś pozostał pod kluczem, na pryczy, gdzie rznąłbyś w karciecia z koleżkami, piłbyś nielegalnie nabytą gorzką wódkę, trzykrotnie przepłacając nieustępliwego dozorcę, i tak by, dziwny człowieku, płynęły twoje dni bez trudu i bez troski. Czy na to wychodzi? To według ciebie tak wypada, że wszystkich należy posadzić za kratami i podglądać przez judasza, czy nie odstawiają jakiegoś nowego numeru? Nie, zaczekaj, nie oponuj... Wolności ci się zachciało? Jakiej jeszcze wolności, skoroś otrzymał jej więcej niż do syta? Wolności od własnego życia, od rozumu i skazanego na zatrąę ludzkiego ciała, które po wypiciu staje się tak lekkie i powietrzne, że, wydaje się, wyskakujesz z samego siebie i unosisz się nad ciałem, niby jakiś duch? No, co? — wyskoczyłeś? Czujesz się teraz wolnym?

Lonia przykucnął, pokonał wstręt i pochylił się nisko ku ku ustom zmarłego. Nie było czuć żadnego zapachu.

— Tak — powiedział w niejakim zamyśleniu. — Tak. Może i masz rację. Widocznie czegoś nie uwzględniłem...

— Leonidzie — rozległo się za nim gruchanie Serafiny Piotrowny — bardzo cię proszę... Tę śmierć ludzie mogą wziąć za złą wróżbę. Koniecznie musisz go wskrzesić...

Tichomirow zerwał się, zgrzytnął zębami, cały czarny, zjeżony...

— Co wyście, oszaleli? Cudotwórcę żeście tu sobie znaleźli...?!

— Dla mnie, dla mego spokoju — nie mógłbyś czegoś uczynić?

Czy mógłby coś dla niej uczynić, nikt się już nie dowiedział. Sygnał bojowego alarmu oznajmił, że stało się nieszczęście, wobec czego wyskok opoja, który dorwał się do życia, został natychmiast zapomniany. Ze wszystkich czterech stron świata wartownicy rozstawieni na strychach rwali uszy mieszkańców miasta donośnymi dźwiękami pionierskich trąbach.

— Alarm? Nareszcie! — zawołał Leonid Iwanowicz, wbiegając na szczyt wzgórza i pożerając spojrzeniem okolicę. — O, zazdrośni rutyniarze! Od dawna oczekiwałem waszej napaści. Dobrze, że nie w nocy. Przynajmniej przeciwnik jest teraz doskonale widoczny.

Drogą, wijącą się wśród pól, powoli posuwały się w stronę Lubimowa podejrzone autobusy. Nie odrywając lornetki od oczu, Tichomirow półgłosem rzucał ludności urywane rozkazy:

— Przerwać zabawę! Żeby wszyscy wytrzeźwieli, podciągnęli się, poprawili na sobie ubrania. Pozabierać z ulic stoły, naczynia, zdjąć chorągwie. Nie wykluczone, że miasto zostanie ostrzelane. Kto ma słabe nerwy, niech kładzie się spać. Wywiadowcy na strychach niech dają baczenie na całą okolicę. Gdyby pojawiły się inne maszyny, piechota, albo kawaleria, meldować mnie osobiście.

Sawielij Kuźmicz Proferansow, coraz to przypadając do powierzchni ziemi, krótkimi skokami dopadł komendanta i schował się za jego plecami.

— Ach, Leonidzie Iwanowiczu — wyszeptał, oddychając z trudem — niepotrzebnie wczoraj kazaliście utopić rewolwery w głębinie rzecznej. Z czego teraz będziemy strzelać? Czym stawimy należyty opór agresorom, którzy ośmielili się wstawić swoje pyski do naszego ogrodu? Mówiłem wam, że zawczasie rozpoczęliście powszechne rozbrowienie. Teraz przekonacie się — przegramy batalię.

Autobusy, jeden za drugim, staczały się do parowu, wymijając pasmo chróśniaka, ciemne jak mokre żelazo. Od miasta dzieliły ich najwyżej trzy kilometry stosunkowo płańskiego traktu. Tichomirow przywarł do lornetki i nie poruszał się. Tylko drgały plecy i w głowie podskakiwały hysteryczne nutki zachwyty:

— Tylko bez paniki, Sawielij, tylko bez paniki! Nie chcemy przelewu krwi. Dość już trupów! Niechaj nagła śmierć spitego darmozjada pozostanie w dziejach naszej

walki jako jedyna ofiara na zawsze przeminionej epoki. Cemu tam podskakujesz, jak pajac, za moimi plecami? Wynos się, stary. Bez nerw! Idź do swego mieszkania! Idźcie wszyscy! Pozamykajcie drzwi, pozakładajcie okna poduszkami i siedźcie. Wyobraźcie sobie, że — dla waszego własnego pożytku — wsadzono was do więzienia. Powiedźcie Serafinie Piotrownie, żeby się położyła i była spokojna. Marsz do domu! Zostawcie mnie samego, pozwólcie skupić się. Nie potrzebuję niczyjej pomocy...

Po zejściu ze wzgórza, Sawielij Kuźnicz odwrócił się. Tichomirow stał, oparty plecami o wyszczerbiony mur klasztorny. Wydawało się, że jego oczy, skierowane w dal, poza miejską granicę, wysyłały w przestrzeń groźne, niebieskawe błyski. Gdyby było ciemniej, pewnie płonęłyby jak ślepia dzikich zwierząt w mroku nocy. Ale słońce, nurzające się w białych obłokach, nie myślało jeszcze o zachodzie i rzucało przerywane promienie na samotną postać Głównodowodzącego.



— Kierowca! Dlaczego stoimy, kierowca? Powiedziano ci rosyjską mową: smaruj całym gazem do samego centrum, zahamujesz przed pocztą, obok klasztoru.

— Motor zgasł, towarzyszu podpułkowniku. Karburator nawala.

Ałmazow zaklął i wyskoczył z autobusu. Do Lubimowa było blisko, choć ręką sięgnąć. Pozostałe samochody także stały i szoferzy, zakasawszy rękawy coś tam majstrowali i postukiwali nakrętkowymi kluczami. Przy drugim autobusie diabeł kierowca nie wiadomo po co zaczął odkręcać przednie koło. Ałmazow pokręcił się, obiecał szoferom po piętnaście dni aresztu i machnął ręką.

— Chłopcy, wylazić! Dowleczemy się na pieczętę. Miejcie na uwadze: jesteśmy na urlopie, przyjechaliliśmy rozerwać się, a przy okazji zapoznać z ojczystą architekturą. Sołowjow, włóż kapelusz, jak należy, i zapnij palto. Nie zapomnijcie o karabinach maszynowych.

Zataczając półkola wśród krzaków, droga skręciła w karłowaty las, błotnisty i, jakby to było w zimie, jeszcze bez listowia. Zeszłoroczna rdzawa trawka, która nie zdążyła zgnieć, chrzęściła i chlupała pod stopami. Wszędzie niby przeciwczołgowe przeszkody, sterczały pnie i sękaty krzywulce.

Czarne drzewa pojawiały się nagle przed samym nosem, podobne do wytrysków błota pod artyleryjskim obstrzałem.

— Stać, diabli! Gdzie jest droga? Dokąd się pchacie? Wracaj na pole!

Oddział zawrócił, ale nie minął nawet kwadrans, gdy podpułkownik zrozumiał, że zabłądzili. Jakże to mogło stać się — w nędznym lasku, prawie na skraju miasta, które dopiero co życzliwie prześwitywało przez chróściane zarośla? Wydawało się — wystarczy zboczyć sto-dwieście kroków i spoza pni wynurzą się dachy, domy, płoty i lubimowski klasztor, sławny niegdyś w całej gubernii. Miasto chowało się tuż-tuż, w wądołach i jarach. Ałmazow wyraźnie słyszał, jak nawołują się koguty w opłotkach i naszczekują psy, albo znowu nozdrzami myśliwego chwycił zapach dymu i za każdym razem, klnąc na czym świat stoi, rzucał się nowym śladem, aż zamęczył do reszty swój oddział, ubrany zbyt ciepło, jak na porę roku, i zbyt elegancko, jak na żołnierzy.

— Towarzyszu podpułkowniku, proszę o pozwolenie zameldowania — sierżant Krawcow przytknął dłoń do runda pilśniowego kapelusza. — Przecież to Losza nas wodzi za nos, towarzyszu podpułkowniku...

— Jaki znowu Losza?

— Losza, Lonia — główny czarownik, kierowniczy tych bagiennych okolic. To on nam oczy zmylił i odwiódł od swego legowiska...

— Nie pleć głupstw, Krawcow... Oddział! — doprowadzić broń do bojowego pogotowia!

Zaledwie wypakowano automaty z walizek i zaczęto montować karabin maszynowy, w gęstwinie coś gruchnęło, zakwiczało, podniosło się z przejmująco rozpaczliwym lamentem i rozsypało drobnym śmiechem po drżących wierzchołkach.

— Stój! Dokąd! Zastrzelę! Wystrzelam jak kurczęta! — krzyczał podpułkownik, nie zdając sobie sprawy, że i on sam pędzi na złamanie karku za przerażonym oddziałem. Rzucając broń, gubiąc kapelusze, bałałajki, wędki, uciekali przez dziki las nie wiadomo dokąd.

Gdyby tak zapytać kóregokolwiek z nich: co zmusiło ich do ucieczki, dlaczego biegli, ryzykując zwalenie się w trzęsawisko, albo wyklucie oka ostrym sękiem? — żaden nie potrafiłby odpowiedzieć, jak to się stało i dlaczego. Chyba że już na starość, po jakichś siedemdziesięciu latach, siedzący

na piecu, jednooki mędrzec wyjaśni wnukom i prawnukom tajemniczą historię, która przydarzyła się ni stąd ni zowąd batalionowi idącemu lasem, i doda, żeby pouczyć durniów, że nie było jeszcze człowieka, który by potrafił zbadać i sprawdzić, w jaki sposób działa nieczysta siła. Dlaczego w zimowe wieczory huczy w kominie, dlaczego chrobocze pod podłogą i jęczy na bagniskach ochrypłym, nieludzkim głosem, choć i bez tego niezmierna żałość na duszy...?

— To wiatr huczy, mysz chrobocze, leśny ptak zamartwia się nad niezwywym piskłciem — powiedzą wnucy i prawnucy, przekonani, że wszystko posiada swoje wyjaśnienie. Czy jednak naprawdę uważacie, kochani wnucy i prawnucy, że stuletni dziad, siedzący na piecu, jest głupszy od was? Czyżby on, który przeżył trzecią i czwartą wojnę światową, a jednak ocalał i przez cały ten czas stracił jedno oko w wojskowej służbie, a i to wyłącznie dlatego, że w biegu natknął się na ostry sęk jedliny, czyżby właśnie on nie wiedział o istnieniu wiatru i myszy? Na myszach zna się dużo lepiej, niż wy na logarytmach, i powiada, rozróżniając precyzyjnie wszelkie odcienie, że owszem, mysz to jest mysz, zaś bągienny ptak nazywa się, jeśli chcecie wiedzieć, czaplą, a jednak bez nieczystej siły nic nie poradzisz. I dlatego chwilami dławi nas niewytłumaczalny strach, a w ogóle to nie strach, tylko diabeł chwycił nas oburącz i rzuca nami po jedlinie i zanosz nie wiadomo gdzie, aż naigra się i naznęca nad nami do syta.

Tak, szanowni panowie! Wasi dziadowie i pradziadowie nie byli tacy naiwni, jak byście mogli sobie życzyć. A jeśli nigdy dotąd nie mieliście okazji doświadczyć leśnego lęku i przerażenia, to tylko dlatego, że z powodu młodzieńczej niefrasobliwości niczego nie zdążyliście w życiu zrozumieć i rozpoznać. Ale już poplątały się za wami wszystkie dróżki i pomyliły ścieżki, już zamiast przyjemnych domków, wszędzie widać szerniałe pnie i krzywulce, i rozłożyste drzewa wyskakują spod ziemi, jak uniesione wybuchem kaskady błota. Po krótkiej chwili ktoś zacznie krzyżeć w mroku nieznanym głosem i zaczniecie biec, nie oglądając się za siebie, i, daj Panie Boże, żebyście wtedy nie trafili do topieli...

Podpułkownik Ałmazow usiadł na pniu zwałonej olchy. Rozbierało go, nawiedzała senność. Od zgniłych pni bił ostry zapach. Ubranie i buty zaprzały, podarte i przepocone. Kropił i podsychał na słońcu drobniutki deszczyk. Podgrza-

ny, „grzybny” deszczyk — powiedziano by w lipcu, albo sierpniu. Ale nie minęła jeszcze pora wiosennego tokowiska i wczesnej miłości głuszców, więc czy to nie dziwne — pomyślał Ałmazow — że w takim pięknym czasie nie słycać ptaszcęgo szczebiotania i gwarnych przelotów? Pomyślał o tym bezwolnie, jakby poza sobą, niemal przez sen, o tej dziwności tutejszego gęstolistnego lasu, a ledwie pomyślał, zaraz zobaczył na gałęzi ptaka o wielkim łbie, brudno-zielonkawej barwy, podobnego do wielkiej, wypasionej ropuchy.

— To ci ptak. Nie ptak, tylko cały krokodyl — powiedział, bez żadnej zresztą myśliwskiej pasji, prawie machinalnie stwierdzając samozjawienie się obok tego ptaka i niejasno domyślając się, że to właśnie od niego pochodził ten krzyk na bagnisku, który na zawsze okrył jego karierę hańbą nie do odrobienia. Jednak nie odczuwał w tej chwili ani wstydu, ani lęku, ani żalu po minionej przeszłości, i trwał w leniwej, błogiej niemocy, obserwując ohydny stwora, który siedział zjeżony, grzał się na słończku i parzył na podpułkownika wężowym spojrzeniem.

— Ciekawe, co by powiedzieli uczeni przyrodnicy, gdybym im przytaszczył to straszdyło? — zastanawiał się Ałmazow, zdając sobie jednocześnie doskonale sprawę z całkowitej abstrakcyjności takich zamiarów. Nie znaczy to, żeby zwątpił w swoją możliwość wstania i udania się w poszukiwaniu zgubionej drogi, lecz po prostu nie miał chęci zdobywać się na wysiłek i wracać za cenę tylu poświęceń ku uciążliwej wolności ludzkiego bytowania. Czyż nie lepiej — myślał — pokornie poddać się woli, ot, choćby tej gadziny, której jadowite spojrzenie wypełnia serce apatią i liże znużony mózg błogosławioną pieśczętą uspokojenia? Pięknie-śmy żyli, dobrze pracowali i zasłużyli na należyty odpoczynek. „Śpij spokojnie, drogi towarzyszu” — jak to przyjęte jest mówić w takich wypadkach.

Bardziej dla rejestracji, z wrodzonej szlacheckiej solidności, niż podniecony próżnością, zaczął, nie spiesząc się, wyliczać w myśli swoje czyny i dokonania, nieco już myślące się w pamięci, wszystkie bandy, gniazda i ośrodki wroga, sekty, spiski, wykryte i zniszczone w ciągu długiego, pracowitego życia. Także przypominał z wdzięcznością liczne i cudowne kobiety, które go kochały, a on także je kochał, szczęśliwie, krótko, burzliwie, nigdy nie obrażając obojętnością ich wdzięków i kaprysów. Nie wiadomo dlaczego, wszystkie one, chy-

ba z wyjątkiem wiejskich prostaczek, tak zawsze skorych do śmiechów-chichów, bez trudu przejmowały szarmanckie zwyczaje Ałmazowa i nazywały go *mon amour*, albo *mon colonel*, nie zawsze, co prawda, dając sobie radę z trudną francuską wymową. Teraz te rajskie, usypiające głosy nie burzyły krwi podpułkownika. Bez potrzeby i zapału, a tylko żeby uczynić zadość pamiętliwej męskiej dumie, pułkownik przywoływał na ostatni przegląd najbardziej interesujące twarze i ciała piękności, które spotykał w życiu, i myśląc się co do budowy anatomicznej, łączył piersi Wawy z warkoczami Ziny, a do tego jeszcze królewskie biodra Zeniczki Łukaszewicz, które w ostatnim roku dość mu się opatrzyły.

Ptak zaczął zdradzać oznaki niecierpliwości. Rozprostował sprężyste skrzydła, obciążone nagą błoną, wyciągnął ciężką głowę na rachitycznej szyi, troszkę przespacerował się po gałęzi, nie spuszczać jednak z Ałmazowa nieruchomego, węzowego spojrzenia. W jego rozwartym dziobie widniał szereg rybich zębów.

— Albo to istnieją zębate ptaki? — zapytał samego siebie podpułkownik, ale nie chciał wyteżać pamięci. Doskonale rozumiał, że zbawienny proszek, zażyty przed godziną, już spokojnie i bezboleśnie wędruje po jego ziębnych żyłach, i, być może, ten ptak, który wzbudzał w Ałmazowie coraz większy szacunek, oczekuje na chwilę, gdy będzie mógł nasycić się jego padliną. Mógłby tego ptaka strącić z drzewa jednym rewolwerowym wystrzałem, ale nie chciało mu się zadawać sobie trudu i szukać w wiszącym na grzbiecie plecaku rewolweru, który dbała Sophie tam włożyła, razem z pachnącym ręcznikiem i srebrną mydelniczką. Ostatecznie, ptak zachowywał się lojalnie i grzecznie czekał na rozstrzygnięcie, nie wpadając w pośpiech wątpliwego gatunku i, kto wie, może nawet czując do podpułkownika niewyraźną sympatię. Nie miał już siły, by poruszać językiem, więc w myśli rozpoczął z ptakiem francuską rozmowę. Obdarzał go intymnymi, pieśczośliwymi nazwami, jakimi niegdyś tak szczerze obsypywał miłe ślicznotki. Wydało mu się, choć ani przez chwilę nie wątpił, że to zaczyna działać usypiający proszek, iż ptak rozumie go i kiwa na gałęzi ciężką głową. Po czym ptak otworzył zębatą paszczę i powiedział głosem nieco ochryłym, ale za to z czysto paryską wymową:

— *Bonne nuit, mon amour. Vous m'avez fait un grand plaisir, mon brave colonel.*

R o z d z i a ł I V

PRZYJMOWANIE INTERESANTÓW

Od tej chwili Lubimow jak gdyby zapadł się pod ziemię. Władze zjawiały się z różnych stron, wielokrotnie penetrowały zarośla, dokładnie wymierzały cyrklem mapę okolic miasta i niczego nie mogły znaleźć. Tylko niedostępne topiele, porośnięte świerkowym lasem, tylko wądoły, wyrwane przez wiosenne roztopy, wypełniały zdziczałe pustkowia, tam gdzie powinno znajdować się kwitnące miasto. „Widocznie, zapadła się podziemna, geologiczna warstwa — zdecydowały po radzie władze — z rozpadliny wystąpiła wilgoć — następstwo lodowcowego okresu — i wciągnęła rejonowy ośrodek z przyległymi posiadłościami i pół tuzinem drobnych, wyludnionych wiosek”. *(Władze nie wiedziały i nie podejrzewały, że w promieniu trzydziestu kilometrów miasto Lubimow jest otoczone siecią elektrycznej sygnalizacji. Wystarczyło, żeby nieproszeni goście przekroczyli granicę, a w sztabie Leonida Iwanowicza zapalały się żarówki i odzywał się dzwonek, po czym Głównodowodzący zaczynał ze swego posterunku promieniować energią wysiłonej woli na określony kwadrat, powodując zboczenie spojrzeń gości z właściwego kierunku. Miasto stawało się niewidoczne. Zanim jednak przeciągnięto na bagnach sygnalizacyjne sznury, dwóch szpiegów zdołało prześliznąć się na teren miasta. Z dwóch różnych stron szpiegdy ci przekradali się do Lubimowa i, nierozpoznani przez nikogo, zaczęli się do czasu...).*

— Ech, żeby tak z roczek pokojowego wytchnienia — mawiał Leonid Iwanowicz, spacerując po gabinecie — to

byśmy według wszystkich paragrafów państwowego budżetu zaćmili Belgię i prześcignęli Holandię. A potem można by stopniowo pomyśleć o powiększeniu terytorium i wpojeniu naszej ideologii w powszechnej skali. Nie przy użyciu przymusu i oszukaństwa, lecz własnym przykładem i oddziaływaniem na umysły postępowej ludzkości Lubimow zdobędzie sympatię i wszechświatowe uznanie. Proferansow, zapisz tę maksymę do protokołu naszej walki i osiągnięć.

Podczas gdy Sawielij Kuźmicz zapisywał w zeszycie historyczne aforyzmy, Tichomirow wybiegał na balkon i obsypywał radami kolumny, maszerujące do kopania odwadniającego kanału:

— Wyżej głowy! Dłuższy krok! Uśmiechać się wesołej! Pamiętajcie: nikt was nie zmusza do pracy! Wy sami pragniecie przekroczyć plan o dwieście procent. Tak, o dwieście, ani procenta mniej! W piersi czujecie entuzjazm, w mięśniach — niez mordowaną siłę. Pożądacie by jak najszybciej wbić w glinę wasze łopaty...

I gdy kopacze prawie biegiem rzucali się do szturmu, zupełnie wyczerpany Lonia rzucał się na fotel i wołał:

— Mimo wszystko, dla mnie najważniejsze — nie wykonanie planu, nie wzrost gospodarczy, lecz troska o człowieka! Nawet ta ciężka praca budzi w nich, dzięki memu kierownictwu, nie przygnębienie, lecz świadomość tytanicznej potęgi i twórczą namiętność do rywalizacji z pracami Herkulesa. Ja jeden dźwigam brzemień troski, niepokoju, zwątpienia i niezaspokojonych potrzeb. A przy tym... w jakim stopniu można oddziaływać na moją psychikę kocią muzyką?

Powyższa słowa dotyczyły gwałtownej gry na fortepianie, organizowanej w zamkniętym salonie przez Serafinę Piotrownę. Chociaż ściany jaśniepańskiej willi prawie nie przepuszczały dźwięków, chwilami dochodziły one do pokoju, w którym rezydował Leonid Iwanowicz, zwłaszcza, jeśli kobieta zaczynała zabawiać się w swym marzycielskim ustroniu ariami z opery „Carmen”.

*Swobodnie miłość świat czaruje,
silniejsza jest od wszystkich praw...*

Serafina Piotrowna wkładała, śpiewając, w głos i klawisze wszystką siłę młodego, niepohamowanego temperamentu.

Miłość? — mi-łoość!

Miłość? — mi-łoość!

Miłość! — miłość, miłość, miłość-mi-łoość!

Uczyła się w taki i inny sposób tej podniecającej melodii, dochodząc do szczytu w chwili, gdy mówi do niestającego kochanka:

*Ty mnie nie kochasz, ja cię Kocham,
a więc się strzeż miłości mej!*

Jeśli Leonid Iwanowicz nie likwidował tej muzyki na czas, wszystko kończyło się kaskadami przeciągającego się śmiechu. Do sztabu dolatywał trzask opadającego wieka, huczenie rozstrojonego instrumentu i nieuzasadniony śmiech kobiety w pustym domu. Stary Proferansow wzdychał i spoglądał na Lonię, a ten marszczył się, odrywał na chwilę od kierowniczych zajęć i przez ścianę przekazywał żonie myśl, zezwalającą, aby weszła i przywitała się. Przychodziła błada, staranna, od samego rana paradująca w kosztownej sukni, i kierując ku swemu władcy oddane, promieniejące spojrzenie, zapytywała:

— Leonidzie, wezwałeś mnie? Przebacz mi, błagam. Zdaje się znowu przeszkodziłam ci w pracy, przerabiając gamy z opery Bizeta. Nie gniewaj się: jestem bardzo szczęśliwa, ale trochę stęskniłam się za tobą... Wybacz, to nie o to chodzi, po prostu — pozwól żebym cię pocałowała...

Więc żeby ją uspokoić, brał Serafinę w objęcia i dawał dowody czułości, chwytając suchymi wargami małeńkie, dziecińcze uszko, trzymał nieco w ustach i wypuszczał... Skąd mi do takich rozkoszy? — myślał znudzony, delikatnie powstrzymując jej natarczywość. Mam na głowie całe miasto, troska o człowieka, pieniądze, reforma, kampania siewna... Każdej nocy, na każdy alarmowy dzwonek zrywaj się, usprawniaj obronną sieć. Tam, być może, leśny puszczyk albo kret zahaczył o przewody, a ja tu pocę się, nie śpię. Ani chwili spokoju. A tu jeszcze mam bąki zbijać z tą malowaną lalą, tracić na nią czas i energię. Mogłaby poczekać. Zakochała się na moje nieszczęście — teraz trzeba cackać się...

Ale nie chciał odejmować Serafinie Piotrownie płomien-nych uczuć, które on sam wywołał napięciem woli, więc, tyl-

ko mówił, odsuwając ostrożnie jej figurkę, jak gdyby była z kryształu!

— A ty byś, Simoczka, poszła rozerwać się jakimiś kobiecymi sprawami. Na przykład, zagadnienia kulturalne, moralne, rodzinne i małżeńskie, znajdujące się pod twoją kurtelą. I żebyś mi nie była smutna. Spotkamy się przy obiedzie. A teraz już idź. Wiesz przecież, że zaraz przyjdą interesanci na audiencję...

Rozweselona Serafina Piotrowna znikła.

(Miejskie panie płonęły ciekawością, starając się wywiedzieć, jak pod względem zmysłowym wygląda współzycie z genialnym człowiekiem.

— *Ach, najdroższa, jaby w takiej sytuacji nie wytrzymała, umarłabym ze strachu od razu, w pierwszej chwili — trąkotła żona dyrektora średniej szkoły, w której Serafina Piotrowna była kiedyś zwykłą nauczycielką. — Genialny mężczyzna wymaga specjalnych względów, a nie każda kobieta jest w stanie na to się zdobyć. Namiętność i kaprysy geniusza — wyobrażam sobie! — to prawie jak w bajce, jak w klatce z tygrysem! Trudno o solidniejszą sytuację, niż moja: mężatka, pięcioro dzieci, wiek, doświadczenie, a jednak — powiadam szczerze — na widok Leonida Iwanowicza wydaje mi się, że serce w piersi pęka. Wyobrażam sobie. Przy jego problematyce, jego poszukującym duchu, droga pani powinna zachowywać się jak baletnica na scenie Wielkiego Teatru... O nic nie zamierzam wypytywać, tylko dam jedną radę: nie dopuszczać do niego młodych dziewcząt. Wielcy ludzie lecą na paniąską urodę. A i któraż dziewczyna byłaby w stanie odmówić naszemu bohaterowi?!*

Zamiast odpowiedzieć, Serafina Piotrowna uśmiechała się tajemniczo).

Interesanci od rana ustawiali się na podwórku w kolejce i Leonid Iwanowicz niejednokrotnie zastanawiał się, czy nie skasować tego starorosyjskiego zwyczaju pchania się z byle głupstwem do samego cara. Ale po pewnym namyśle utrzymywał tradycję, pomnąc, że poręczniej kierować królestwem, gdy ludowe potrzeby i dążenia są na widoku. Zresztą, o potrzebach nie mogło być w ogóle mowy, gdyż Lonia lepiej od samych interesantów wiedział, czego im brakuje do pełni szczęścia. Przywlecze się jakaś wdówka prosić o

słomę na podreperowanie chlewika, a on sadza ją w fotelu niczym jaśnie hrabinę i wyraża oczami najwyższe zdumienie:

— Słoma? Na poszycie chlewika? A któż w XX-tym w. kryje chlewiki słomą? A nie łaska pokryć papą, albo, jeśli taka wola, łupkową dachówką, albo jeszcze lepiej — ocynkowaną blachą? Proszę bardzo, proszę nie krępować się. Czy może źle zrozumiałem, szanowna obywatelko? Dobrze jestem zorientowany? Czy może są jeszcze jakieś inne reklamacje? Żądajcie, zgłaszajcie! Może wam obrzydło utrzymywanie waszej jałówki i dwóch roślących owiec, nienazartych niby szczury, i marzycie o zlikwidowaniu drobnego gospodarstwa, o zdaniu całego inwentarza na społeczne wyżywienie? Może życycie sobie cały czas, wolny już od suszenia siana i sprzątania gnoju, poświęcić studiom technicznym, by przyspieszyć dzień, gdy motory o wewnętrznym napędzie zaczną szorować po naszych równinach, kierowane ręką kobiety wyzwolonej z jarzma? Czym prawidłowo odgadł wasze życzenia, obywatelko? — proszę mówić!

— Nadzwyczaj prawidłowo, w samo sedno trafił, całą moją wewnętrzną mechanikę wyraził — śpiewała wdówka, odmłodzona o jakieś piętnaście lat i cała w konfuzji wobec tyłu otwierających się przed nią perspektyw. — Prosiaka także proszę zabrać i cztery kurki. Do diabła z nimi! Zameczyły mnie. Odbierają mi możliwości kulturalnego rozwoju. Hejże, zostanę kombajnerką, włożę portki, siądę za kierownicą! Gdzie mój traktor?

— Nie palcie się, obywatelko — regulował Lonia nowe zainteresowania, obudzone w zacofanej kobiecie. — Wszystko w swoim czasie. Kurki niech chwilowo zostaną u was. Czymże będziecie karmić wasze sierotki, zanim wymyślimy trójrazowe wydawanie racji każdej osobie? A co do prosiaka, to Sawielij Kuźmiczu, zapisz go do rubryki dobrowolnego kompletowania. Jak się ten prosiaczek nazywa? Borka? No, to świetnie! Podpiszcie tu, żeście zdali prosiaka razem z jałówką. U nas każda śrubka musi być uwzględniona, tym bardziej, że żyjemy w warunkach międzynarodowego okrażenia. *(Tichomirow wtedy nie wiedział, że dwie niewuwzględnione śrubki, czy też — mówiąc dokładniej — dwa przelotne ptaszki spacerują po mieście i wszystko wywąchują. Dziesiątej nocy po pogromie ekspedycji Ałmazowa wkręcili się do Lubimowa z dwóch różnych stron i rozpuścili się w mroku. Jednym z nich był słynny uniwersalny*

detektyw, Witalij Koczetow, którego rozkaz z góry przerzucił do nas z Moskwy. Drugim okazała się osobistość zupełnie innego rodzaju... Ale lepiej, jeżeli on sam wynurzy się na powierzchnię i zjawi się w drzwiach sztabu...).

— Kto następny? Proszę wejść! — zawołał Leonid Iwanowicz i aż przysiadł od niespodzianki. W drzwiach stał, podparty pod boki, typowy cudzoziemski turysta, z rodzaju tych, jakich nigdy nie widzieliśmy w naszej zapadłej dziurze, ale wiele słyszeliśmy o ich metodach i zapędach. Skórzany popręg z błyskawicznymi zatraskami, na kałdunie aparat fotograficzny, żółte obwisłe spodenki, z których bezwstydnie sterczały gołe nogi w sztybletach na gumowej podszwie. Gość patrzył na Lonię i wyszczerzał się sztucznym, amerykańskim uśmiechem.

— Bardzo mnie przejemnie wejszcz w znajomoszcz, herr Tichomirow — oznajmił; świętokradzko kalecząc cudowny język rosyjski. — Ich bin Harry Jackson, przydomek — „Stary Gangster”, korespondent burżuazny gazeta „Perdży intrygan łże och Amerika”. Moja zaoceańska właściciel kce mieć od was małego wywiada.

Z właściwą temu gatunkowi poufałością, rozwalił się w fotelu, niby źrebiec w stajni, zapalił grube cygare, czarne jak zeschnięta koprowina, i zaczął zadawać prowokacyjne pytania. Przede wszystkim z całą niecierpliwością chciał dowiedzieć się, kiedy w Lubimowie ustali się zgniły ustrój magnatów kapitalizmu.

— Kiedy rak na sośnie świśnie! — krótko, ale jasno odpowiedział Leonid Iwanowicz.

Reporter coś tam napomknął o rozdźwiękach, które, według pogłosek, doprowadziły do zbrojnego starcia między centralnym ośrodkiem i separatystyczną prowincją.

Pies szczeka — wiatr niesie! — podciął Tichomirow u korzenia próbę wtrącania się w nasze rodzinne sprawy.

Na pytanie czy wolne miasto, Lubimow, nie zamierza wstąpić do Paktu Atlantyckiego i rozpocząć z Waszyngtonem miłosne figielki, Lonia ze spokojem i godnością pokazał cudzoziemcowi figę. Na skutek tego gestu cała dyplomacja natychmiast wywietrzała z głowy przybysza, który poprowadził sprawę już bez wygłupiania się i nawet zapomniał o kaleczeniu rosyjskiej mowy niecenzuralną wymową.

(W tym samym czasie uniwersalny detektyw Witalij Koczetow, przybyły ze stolicy, w przedrewolucyjnych łapciach i onucach, noszonych u nas obecnie wyłącznie przez oderwanych od życia darmozjadów, szedł sąsiednią ulicą, coraz to utykając na prawą nogę. Hiperboliczna czapka z daszkiem, rzucająca cień na twarz wywiadowcy, zastępowała mu antenę, kulał zaś po to, żeby w miarę rozwoju akcji wybijać piętą i posyłać w eter sekretne doniesienia. Nie podamy znaków rozpoznawczych jego aparatu nadawczego i przedstawimy wszystkie drgania zwyczajnymi literami:

„Nadaje Witalij Koczetow. Według moich danych, dyktator Tichomirow rozporządza najsilniejszą bronią psychicznego modelu. Od siedmiu dni znajduję się na nielegalnej stopie, prawie nie jem, nie śpiam i staram się, zgodnie z otrzymaną radą, jak najmniej myśleć o seksie, żeby nie poddać się otaczającej degradacji ideowej. Mać twoja taka, moja noga! Znowu wybój na środku drogi! To rewizjoniści zdołali zaminować linie komunikacyjne. Bij parchatych, ratuj Rosję! Przepraszam. Znowu potknąłem się prawym łapciem. Kiedy moje doniesienie pójdzie na potwierdzenie do naczelnika, proszę skorygować drobne stylistyczne chropowatości, wybacalne w polowych warunkach. Dodatkowo informuję: miasto posiada właściwość periodycznego znikania z oczu zewnętrznego otoczenia. System maskowania dotychczas nie wyjaśniony. Dokładne położenie można określić przy pomocy lotnictwa. Byłoby celowe wystanie ciężkich bombowców dalekiego zasięgu. Operację proszę odłożyć do mego przybycia. Zapelengujcie mnie. Zapieluszkujcie mnie i poddajcie kuracji, jeżeli wrócę stąd nieco zmieniony. Widzę chłopaka. Nawiązuję kontakt. Kończę nadawanie. Posyłam frontowe pozdrowienie ukochanej żonie Katii i towarzyszkowi w zawodzie, Anatolemu Sofronowowi”.

Następnie Witalij Koczetow wyłączył radiostację i zain-tonował przez nos:

— Choć jeden grosik dla ubogiego wędrowca...

Chłopaczyna w szkolnym wieku, który ciągnął na postronku rzucającego się prosiaka, nie odpowiedział od razu.

— Borka, nie wrzeszcz! Wszystko kwikiem zagłuszasz. Oddam cię na kiełbasy — wtedy będziesz morde dał. Czego, obywatelu? Nie mam żadnego grosika. Cóż to, nie wiecie, że walutę zlikwidowali? Lonia Tichomirow powiedział: „Pieniądze — to zawada. Im szybciej wyrwiemy pie-

niądź z naszej świadomości, tym łatwiej uprzemysłowimy kraj”.

— Nie wiem, syneczku, nie wiem. Wsiowy jestem. Z najdalszej wioski, deskami zabitej. Ocho-cho, pchły żywcem żrą, nie ma na nie sposobu. A powiedz-no, synku, czemu to w waszym mieście rozkopują wszystko, rozwalają? Połowę klasztornego muru rozwalili. Co to, fabrykę jaką będą budować, może coś o strategicznym znaczeniu? Może zenitówki jakieś, przeciwlotniczą baterię będą stawiali?

— Stadion będzie.

— Że co?

— Stadion piłki nożnej. Lonia Tichomirow powiedział: „Każdy człowiek ma prawo do rozwijania swoich mięśni”.

— A gdzie ten cały wasz Tichomirow ukrywa się? Wyjaśnij mi. Ciemny jestem prostak, wioskowy. Tfu, jak ten prosiak nieprzyjemnie wrzeszczy!

— Towarzysz Tichomirow nigdzie się nie ukrywa. Towarzysz Tichomirow pracuje dniami i nocami w tym jasnym gmachu. Górne okna od lewej — to właśnie sztab generalny. Idźcie do niego, ojczulku, oświećcie się. „Każdy obywatel ma prawo do otrzymywania moralnej pomocy oraz rozsądnej porady”.

Kiedy chłopczyna z prosiakiem znikł w sobie wiadomym kierunku, Witalij Koczetow, skradając się, przebiegł opustoszałą ulicę i, starając się nie czynić hałasu łapciami, zaczął wspinać się po rynnie generalnego sztabu. Ani Lonia Tichomirow, ani zagraniczny reporter, ani, tym bardziej, scherlały staruszek Proferansow, który przykucnął w kąciку, nie zauważyli, że poruszyła się gwałtownie ciemna kotara okna).

— Lonia, na rany Chrystusa, sprzedaj mi swój wynalazek — zaczął błagać Amerykanin, nie myśląc już o zagranicznych grymasach. — Dam dwa miliony! Amerykańskie słowo honoru, za taką kupę forsy będziesz mógł wybudować pałac z marmuru, z inkrustacjami ze złota, a wszystkie dojazdy w promieniu trzydziestu kilometrów wyścielić pokładami z kauczuku metrowej grubości, żeby żadne podziemne błoto nie mogło się przedostać na wierzch. Macie tu w Rosji takie drogi, że zanim bocznymi szlakami dostałem się do Lubimowa, dwukrotnie mało co brakowało, żeby mnie nie wciągnęło w topiel, i teraz muszę rozmawiać na państwowe

tematy w samych gatkach, wykazując tym brak szacunku. Dobrze że przynajmniej zabrałem z Nowego Jorku mydło „Biały kiel” i szuwaks „Chata wuja Toma”, dzięki czemu mogłem jako tako doprowadzić się do porządku i przyjść do ciebie na przyjęcie jak dżentelmen do dżentelmena. A nam bez twoich instalacyj technicznych, których bajeczną siłę obserwuję już od tygodnia — nic, tylko śmierć. Łończyk, sam przecież rozumiesz, kryzys to ci nie dobra ciocia, a znowu rosnące bezrobocie też daje po kulach. Jądrzem atomowym wszystkich nie wyprztykasz, większa pewność jeżeli złapiesz człowieka od wewnątrz, za skrzela, jeżeli tego unieszczęśliwionego człowieka uchwycisz za stworzeń duszy i skierujesz przeciw historycznemu postępowi. Więc bierz ode mnie te trzy miliony i stawiaj flachę na stół, opijemy interes na mój koszt!

Za takie ostre słowa, skierowane przeciw postępowi, Lonia chciał przejechać się po wymuskany pysku Amerykanina, ale pomyślał, że w konsekwencji osobistego wybuchu mogłoby dojść do zewnętrznego konfliktu i światowego wstrząsu. Z tych względów zastosował wobec osobistości Harry Jacksona nietykalność, ale za to czego nie nawyrabiał z burżuazyjną psychologią tego zaciekłego turysty! Zdrowego miejsca na niej nie zostawił! Chwycił ją za skrzela, za stworzeń duchowy i tak zakręcił, że zaprzeczyła samej sobie we wszystkich punktach, wykazując niezdolność do rywalizowania z rosyjskim człowiekiem w krytyce czystego rozumu.

W milczeniu, jak gdyby nie brał w tym żadnego udziału, Leonid Iwanowicz patrzył na wysoce wykształconego Amerykanina który, jak papużka, powtarzał wszystko, co mu dyktował niesłyszalny głos. Sawielij Kuźmicz Proferansow zdążył zanotować niektóre tezy tego wykładu, więc obecnie mogą one stanowić pomoc dla osób studiujących prawa historycznego rozwoju.

§ 1. *O roli dróg w historii Rosji*

Niektórzy krytycy od siedmiu boleści potępiają w czambuł nasze drogi, utrzymując, że w Rosji, na wiosnę i w jesieni nawet ciężarowe samochody topią się, jak robactwo, w potokach płynnej magmy. Ale jeżeli przerzucimy stronicę dziejów, przekonamy się, że to kisające błoto na drogach niejednokrotnie ratowało Rosję przed najezdami Francuzów,

Niemców, Polaków i innych cudzoziemskich hord, które grzęzły razem ze swoim Bonapartem w rosyjskiej glebie. I należy założyć, że z czasem ktoś inny także ugrzęźnie.

§ 2. O znaczeniu pieniędzy w ekonomii światowej

Niektórzy pseudo-uczeni zakładają mylnie, że pieniądze stanowią bodziec w rozwoju ekonomii i planowo uzgadniają żarłoczne potrzeby z ludzką umiejętnością zginania karku. Jeśli jednak nauczymy się sami kierować potrzebami, to po co człowiekowi pieniądze? Jedynie zbędna pokusa. Powiedzmy, że zgodnie ze swoją potrzebą, człowiek, na przykład, zapragnął zostać bohaterem pracy, a tu jakaś zagubiona w kieszeni dycha podszeptuje mu: „Nie spiesz się! — przedtem rąbnijemy 150 gramów z przyczepką!”.

Natomiast, gdy pieniężna przeszkoda została zlikwidowana po pierwsze, nie ma okazji do obżarstwa, pijaństwa, złodziejstwa i innych przeżytków przeszłości;

Po drugie, nastąpi powszechna, wszechświatowa szczęśliwość, albowiem wewnętrzne potrzeby będą powstawać i rozwijać się w każdym obywatelu nie w przypadkowy sposób, nie żywiołowo, lecz w ustalonej kolejności, w miarę naszych możliwości natychmiastowego ich zaspokojenia przez wydanie odpowiednich towarów...

— Po trzecie! — już głośno podpowiadał Leonid Iwanowicz, płonąć z niecierpliwości, by jak najszybciej wyrazić swoją myśl.

— Po trzecie — podchwycił Amerykanin skołowaciałym językiem — nikt nie będzie w stanie... po trzecie, sprzedać ojczyznę i kupić wolność za żadne miliony...

— A po czwarte — wypalił Lonia, podnosząc się na cały wzrost — oto co my uczynimy... po czwarte, z zaoszczędzonymi pieniędzmi!

Tichomirow niedbale zatoczył krąg swoją carską dłonią, gestem tym zapraszając Harry Jacksona, aby rozejrzał się dokoła.

— ...Z zaoszczędzonymi pieniędzmi! — dokończył Amerykanin, odwrócił ogłupiały łeb i słabym głosem zawołał — „ach!”. (*Detektyw, Witalij Koczetow, oglądający tę scenę zza kotary przez tajny otwór, również zawołał „Ach!”*).

Cały lokal sztabowy był wyklejony storublowymi banknotami, w charakterze kolorowych wycinanek. Z daleka wy-

glądało to jak wesolutkie tapety, utrzymane w przyjemnym, wielobarwnym kolorycie. Ale po przyjrzeniu się, łatwo było zorientować się, że każda barwna plama tej kolekcji miała wartość dokładnie stu rubli. Jedyne w rejonie pieca, z braku bankowych banknotów identycznej wartości, cena ulegała niższe i wyglancowane dwudziestki piątki, wyglądające tak, jakby zostały wygrane przed chwilą, były poprzedzielane wytartymi trzyrubłówkami i zasmarowanymi piątkami. Ogólna suma tych obić była olbrzymia i zysk wzrastał bez przerwy, ponieważ proces stopniowego przechodzenia na tory bezwalutowej polityki nie uległ jeszcze zakończeniu.

— Nie próbujcie wydlubywać, przyklejone na mur-beton — uprzedził Leonid Iwanowicz zamorskiego gościa, który na widok tych skarbów już zabierał się, by wejść na ścianę.

Następnie pohańbionemu Harry Jacksonowi dano do zrozumienia, że wizyta jest skończona, i bez żadnych przeszkód i zwłoki może człapać do swojej Ameryki, rezygnując raz na zawsze z penetrowania cudzych tajemnic.

— Proszę przekazać ode mnie pozdrowienie miłującym pokój narodom Zachodniej półkuli i powiedzieć, że w razie czego mogą liczyć na naszą pomoc! — dodał na pożegnanie Lonia Tichomirow i polecił Sawieliju Kuźmiczowi, żeby, po odprowadzeniu cudzoziemca, krzyknął do czekających na podwórku, że audyencja następnych interesantów zostaje odłożona do czwartku.

Po przeprowadzonej dyskusji Lonia miał ochotę pozostać w spokoju z własnymi myślami, które, jak mrówki w poruszonym mrowisku, roily się w jego mózgu i wznosiły wielopiętrowe budowle. Chwilami wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy rządy największych mocarstw złożą broń, otworzą granice, i wdzięczne narody, z własnej woli, bez żadnego przymusu, rzucą się w jego, Loni Tichomirowa, objęcia. Albo znowu marzył i męczył się w rozterce, jaką nową nazwę dać miastu Lubimowowi, gdy zostanie ogłoszone stolicą Ziemi, i wahał się, nie mogąc wybrać między „Miastem Słońca” i „Tichomirgrodem”. Ale natychmiast sobie uświadomił, że na razie wysiłek jego woli nie przekracza zasięgiem trzydziestu kilometrów, i zagadnienie uniwersalnego elektrycznego wzmacniacza coraz to zjawiało się na horyzoncie jego badawczego umysłu.

W jaki sposób zdobyć się na taką potęgę promienionowania siłą woli — rozmyślał Leonid Iwanowicz gryząc wargi — żeby bezpośrednio z tego miejsca, siedząc za pulpitem, ruszyć całą ludzkość z martwego punktu, a potem stopniowo zająć się podbojem Antarktydy i przemysłową obróbką innych planet?! Przedstawiał sobie ludzkość w postaci olbrzyma, ze wspaniale rozwiniętym torsem zapaśnika, a na torsie jak jakaś rzeźba, dumna, zwrócona profilem głowa myśliciela — czy to nie jego, Tichomirowa, ministerialna głowa? — więc zrobiło mu się przykro, kiedy, uniósłszy podbródek, ujrzał obok siebie słabowitą staruchę z dobrze znaną brodawką na spłaszczonej, pierwotnej twarzyczce.

— Loniuszka! — westchnęła stara. I objęta radosnym łękiem, zaczęła mrugać i mamrotać: — Loniuszka, przyniosłam ci twarożku ze śmietaną. Wygłodziłeś się pewnie... Prześroczysty taki jesteś, chudziutki... Cały szerniałeś...

Nie starczyło jej odwagi, żeby go objąć, więc tylko ślizgała się po nim rozczulonym, biegającym spojrzeniem, jak gdyby w pośpiechu, po omacku badała jego chudość.

— Sama się wdarła kuchennymi schodami — zrzędził Sawielij Kuźmicz tonem winowajcy. — Niosę, powiada, wałówkę dla rodzonego syna. Wałówkę! Cóż tu, kazamata jakaś czy co, żeby wałówki nosić? Och, te matki!

Och, te matki, zawsze tylko o jednym myślą: jakby tu podkarmić, poczęstować rodzone dziecię! To dziecię, może, w międzyczasie ministrem zostało, władcą wszechświata?! Co ją to obchodzi? Pakuje się w podartych kaloszach do carskiego pałacu i podaje węzełek z nędzarskim podarunkiem, jakbyś był nie carem, nie wielkim myślicielem, lecz jakimś zaszczytnym, bezdomnym zwierzątkiem....

— Niechże mamusia się rozgości. Jakież tam u mamy życzenie czy potrzeba?

Lonia podsunął staruszce wspaniały, pański fotel, na którym zwykle sadzał zakłopotanych interesantów. Ale na żaden temat nie mógł z nią dojść do ładu. Same głupstwka na języku u niej się kręca, jakieś domowe kłopoty: a to żebyś pojadł twarożku ze śmietaną, a to że umywalka w sieni znowu oderwała się i nie ma komu przymocować. Czyżby dobrzy ludzie jej nie opowiedzieli, jaką rolę teraz jej syn odgrywa we współczesnej polityce? Coś widocznie słyszała i rozumiała po swojemu, skoro niechcący przemówiła się w rozmowie z synem:

— Loniuszka, dlaczego klasztor naruszasz? Tyś go nie budował — nie tobie go niszczyć...

Nawet go to rozśmieszyło.

— Mamusiu, wasz jedyny syn niedługo niebieskimi ciałami zacznie kierować, a wy tu o Bogu wspominiacie. Żeby na takie bajeczki natykać się właśnie u ciebie — to i śmiesznie i przykro. Bądź co bądź jesteście moją rodzoną matką, a nie obcą osobą, i powinna mamusia o tym pamiętać, szanować moje wysokie służbowe stanowisko, i też nieco iść z postępem i dążyć do oświaty.

Oczy staruszki, malutkie jak pajęczki, natychmiast pochowały się w ciemnej sieci zmarszczek i brodawek. Siedziała godna litości, zgrzybiała, i nie wiedząc jak zaprzeczyć, tylko wzdychała podczas gdy Lonia wyjaśniał w sposób przystępny urządzenie ciał niebieskich, opowiadał o grzmocie i błyskawicy, którą dzicy przodkowie przypisywali prorokowi Eliaszowi, gdy w rzeczywistości w chmurach grzmi najwyczejniejsza elektryczność. (*— Co ty wyprawiasz? — przeleciało przez jego umysł pytanie tak drżące i oddalone, jak cicha błyskawica na horyzoncie. Błysnęło i zgasło. Leonid Iwanowicz przespacerował się po mierzchnącym gabinecie, bijąc się z myślami. — Nie! — powiedział sobie z takim zdecydowaniem, jakby prowadził z kimś dyskusję. — Precz z wątpliwościami! Ratując ludzkość, wyprostowując jej skrzywioną psychikę, nie mogę, nie mam prawa nie zwrócić uwagi na moją samotną matkę, która znalazła się w kleszczach zabobonów. Pewnie, to niełatwa rzecz! Trudno, towarzysze. Ale jak już łamać, to łamać! Jak ratować — to ratować!*).

— Zrozum: Boga — nie ma! — wyszeptał w myśli, starając się jednak nieco złagodzić siłę uderzenia płynną, nieuchwytną formą przekazania magnetycznej sugestii. Nie nadawał pod jej adresem rozkazu, ani groźnego dekretu, nie wbijał go w jej zaśmieconą świadomość, lecz tylko powiał leciutkim, jak letnie powietrze, dostępnym dla każdego dzieciaka zrozumieniem prawdy...

Starucha zaczęła wilgotnieć. Zrzuciła chustkę z głowy i otarła rześisty pot.

— Nie, tylko nie to! Bez łez! Nie męcz swego osłabionego serca! — Lonia otaczał ją bezdźwięcznym, bezbolesnym szeptem. — Czujesz się doskonale. Doświadczasz słodkiej, nieznaney ci przedtem lekkości. Jesteś wolna od mrocz-

nych przerażeń, jakimi oplatali cię od dzieciństwa, biedna moja mamusiu! Nie lękaj się, nie bój się niczego. Boga nie ma! Ty sama, ty sama, swoimi starczymi ustami wypowiesz zaraz tę błogą, wyzwalającą wiadomość: Boga — nie ma!

— Boga nie ma — wymówiła staruszka, wytrzeszczając oczy i wymawiając słowa tak, że każda przerwa wyglądała na czkawkę. — Boga nie ma. Proroka Eliasza zastrzelili. Elektryczność. Grom grzmi elektrycznością. Loniuszka, zjadł-byś tego twarożku ze śmietaną. Taki jesteś chudziutki, przezroczysty... Boga nie ma. Aniołów niebiańskich także ani. Cherubinów. Pojedź, syneczku, wzmocnij swoje siły. Wychudłeś, Loniuszka, szcerniałeś... Boga nie ma. Ty byś twarożku, twarożku ze śmietaną...

W tym błagalnym namawianiu, żeby sobie pojadł, było tyle natarczywości, taka litość nad jego kościstym chuderlactwem, że nagle wydało mu się — niechby skazał mamusię na powolną, męczącą śmierć, nawet w ostatniej chwili nie zapomniaby powiedzieć: „Twarożek, Loniuszka, bardzo proszę, pojedź twarożku...”. A gdy na ziemi zgaśnie ostatnia wiara w Boga i my wszyscy całym kahałem dostaniemy się pod władzę Szatana, to macierzyńskie, sprzeczne z naturą zakłęcie, ono jedno, pozostanie w pamięci, byśmy nie ztratili w pamięci gorzkiej świadomości naszego bankructwa. Zaraz! — połapał się Lonia — jakie bankructwo? skąd bankructwo? co to za głupie myśli pchają się do łba?! Co to znaczy „całym kahałem”, jaki tam znowu „Szatan”, co za twarożek ze śmietaną?

— Boga nie ma — kumkała staruszka zdrętwiałymi wargami, monotonnie, przygnębiająco, jak gdyby wymawiała słowa modlitwy. — Boga nie ma. Boga nie ma...

Leonid Iwanowicz zostawił ją w spokoju i zajął się niespodziewanym wydarzeniem w jego własnym systemie myślowym, który, jak mu się wydało, natrafił na jakąś przeszkodę, tak że wszystkie myśli wyleciały z orbity, a staruszka w dalszym ciągu puszczała tę samą płytę, jak nakręcona.

— Dziwne, bardzo dziwne — mamrotał Leonid Iwanowicz, potrząsając głową. — Nadzwyczaj dziwne...

— Towarzyszu Tichomirow — wybełkotał Sawielij Kuźmicz, wynurzając się z półmroku — proszę o pozwolenie, wyjdę zapalić, podczas gdy wy tu ze swoją mamusią rozprawiacie na ideologiczne tematy. Wytrzymać nie mogę: dziesiąta godzina, palić się chce...

Istotnie, w pokoju zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Tichomirow nachylił się nad matką i pomógł jej wrócić do przytomności. Starucha wycierała nos, wzdychała, wymieniała wszystkich świętych i szurała kaloszami, powracając do swego normalnego, pierwotnego stanu. Całą naukowość jakby kto rękę jej odjął. Lonia czynił wrażenie kontuzjowanego, w zmieszonym nastroju, w pospiesznych słowach dawał instrukcje Proferansowowi: odprowadzić mamusię do domu, w sieni umocować umywalkę, po drodze — nie służbowo, lecz z przyjaźni — zorganizować dla staruszki dwa wiadra wody ze studni i na pełnych żaglach szorować z powrotem do sztabu, ponieważ Leonid Iwanowicz pragnął tej nocy pracować. Tichomirow podkreślał konieczność terminowego wykonania planu, śpieszył, wypychał ich, odprowadzał do drzwi, mylił wyrazy w najwyższym roztargnieniu i w ogóle czuł się nieswojo.

— A może by tak na jakieś półgodzinki małżonkę do was dołączyć? — zapytał Proferansow, nie chcąc opuszczać dowódcy w tak zagmatwanym stanie duchowym.

Tichomirow stanowczo wymówił się od kobiecego towarzystwa. Wydał polecenie, żeby zawiadomić Serafinę Piotrownę, że nawet obiadu zjeść z nią nie zamierza: jakż tam obiad w takiej sytuacji!

Zapadał zmierzch. Letni dzień odchodził bez pośpiechu, przewalając się z boku na bok, co chwilę opamiętywał się, powracał i na nowo zbierał swoje manatki, potykając się o meble, gubiąc zawiniątka. Kłębki nici, kawałki zmarnotrawionych tkanin gęsto ulatują w mieszkaniu, rodząc podejrzenie, że powietrze, nieuchwytnie w godzinach dziennych, o zmierzchu zaludnia się niewyraźną fauną. Właśnie coś obwisło na dół, zamerdało ogonkiem i, powoli rosnąc do rozmiarów grubej infuzorii, defiluje z kąta w kąt...

U ludzi o wątłych nerwach fluidy tego rodzaju wywołują przewlekłe dzwonienie w uszach, podobne do dźwięku lutni, palce czują ukłucia i przy zetknięciu się z przezroczystą, przemijającą materią wydają mżące światło. Ale czy wolno to migotanie brać za rozrywki żyjących istot i utraciwszy do reszty równowagę, wyobrażać sobie, że w skłębionym zmierzchu odbijają się nikłe kopie astralnych organizmów, znanych wśród laików pod nazwą widziadeł? Nie, tego rodzaju bzdury są sprzeczne z doświadczeniem dojrzałego obserwatora. Mamy przed sobą nie widziadła, lecz jedy-

nie wieczorne refleksy zwyczajnych myśli, jakie wszystkie przedmioty wymieniają między sobą, wypełniając pokój melancholijnym drzeniem.

Och, te medytacje i pojękiwania przedmiotów, rozlegające się w przestrzeni! Ileż razy przynosiła nam pocieszenie wasza melodia! Jakże często z życiowych burz i niepokojów zaprowadzałyście nas niepostrzeżenie do bezpiecznego portu. Rozlewne strumienie myśli, które każdy przedmiot wydaje w niepowtarzalnej muzycznej tonacji, jemu tylko właściwej, pozwalają nam bez żadnego wysiłku, z czarodziejskiego natchnienia, pojmować jego przeznaczenie i miejsce w przyrodzie.

Gdyby tak nie było, jakże byśmy mogli domyślać się sensu otaczających naszą świadomość niezliczonych zjawisk? Przecież zaplątalibyśmy się i zbili z pantałyku, nie zdążywszy nawet przejść przez próg. Pomyliliibyśmy fotel, koślawo sterczący na środku pokoju, z kupą kamieni i gruzu, z resztkami baszt i chińskich pagod, zarysowujących się w okiennych ramach fioletową sylwetką i wabiących nasze spojrzenie ku tamtej stronie.

Ale fotel, obity mocno sfatygowanym aksamitem, w głębi swej duszy nie jest pozbawiony delikatnych uczuć. Całym swoim jestestwem, od oparcia do wygiętych nóżek, marmocze — „jestem fotel” — i pomrukuje, żebyśmy przylgnęli do jego miękkich kolan i zakosztowali spokoju, zapominając o wszelkich kataklizmach dziejowych. I oto podfruwamy i siadamy na fotelu, jak motylek na kwiatku...

Natomiast klasztorne ruiny, przeciwnie, rozpalają się okrutnym urojeniem i z ponurą nieugiętością gotowe są znosić nowe okaleczenia. Już z daleka do nas kiwają, wołając na cały głos: „Wędrowcze, zatrzymaj się przy nas i zastanów się nad tajemnicami wszechświata!”. I oto prosto z fotela przelatujemy ku ruinom...

Jakże w obliczu tego wszystkiego niewidomy człowiek odważa się naruszać harmonię bytu swym nieprzemyślanym hałasem? Jak śmie zmieniać łożyska wielkich potoków i niszczyć odwieczne drzewa, wyhodowane dla wyższych przeznaczeń? Proszę, zmieniajcie sobie na zdrowie własną waszą świadomość, zamieniajcie się całym kahałem w śrubki i kółeczka. Ale drzewa! — ale kamienie! — ale stare wasze ubogie matki! — słyszycie? — matki! — od nich wara, precz z rękami!

— Jest tu kto? — zapytał Tichomirow, oglądając się podejrzliwie na wszystkie strony. (*Witalij Koczetow, który siedział na zwiadach, natychmiast po usłyszeniu tego okrzyku zatkał usta czapką, żeby niezamierzoną odpowiedzią nie zdradzić swego schronu. Po jakiejś chwili jednak wyjrzał zza kotary i ze zdumieniem stwierdził, że Tichomirow mający w oddali, jak gdyby był fantomem, i starannie, jak ślepiec, przebiera rękami w powietrzu, gdzie płynęła najwyczajniejsza wieczorna mgła...*).

— Jest tu kto? — powtórzył dobitnie i wyraźnie, starając się nastawić nawalające struny głosowe na ton spokojnej, rzeczowej surowości.

Nad sztabem wisiała cmentarna cisza, stwierdzając obecność autorytatywnego interesanta, niezależnie od tego, że, być może, był on pozbawiony jakiegokolwiek kształtu i w ogóle nie zamierzał objawiać się w cielesnej postaci.

— Kto tu się tłucze? Kto tu zwraca mi głowę? Rozkazuje, natychmiast odpowiedzieć!

Więc odezwałem się półgłosem, żeby nie doprowadzać jego histerycznego stanu do skrajnej wściekłości:

— Szanowny pan zechce wybaczyć to moje najście. Już od dość dawna przyglądam się pańskiej karierze i muszę stwierdzić, że nadużywa pan władzy, której każdej chwili mogę pana pozbawić, równie nagle, jak ją pan otrzymał. Z zasady nie przeszkadzam osobnikowi opętanemu pozytywnymi czy szkodliwymi ideami, jednakże, panie szanowny, ponoszę odpowiedzialność za pańskie wybryki, ponieważ tak zwaną siłą magnetyczną rozporządza pan na podstawie chwilowej pożyczki. Nazywam się Proferansow, Samson Proferansow... To i owo pan wie o mnie od osobnika, noszącego identyczne nazwisko, który nie wiadomo czemu uważa się za mego dalekiego krewniaka, chociaż nie istnieje ku temu absolutnie żadna podstawa. Na pewno naopowiadał panu mnóstwo niebywałych rzeczy, ale w tych bujadach ważna jest nie faktyczna osnowa, przejęta przez naszego historiografa z rozmaitych anegdotek, lecz obejmująca to wszystko atmosfera mojej sympatii dla ziemi, na której my wszyscy urodziliśmy się i w której nas grzebią. Bardzo proszę, niech pan mnie nie miesza z jakimiś wampirami, upiorami, opętańcami i w ogóle jakimiś innymi konsekwencjami nieczystego sumienia. Ja...

— Ręce do góry! — zakomenderował Tichomirow ostrym, świszczącym szeptem i na wprost, orientując się według mego głosu, wysłał po najkrótszej linii cały ładunek napiętej woli, na jaki było go stać. — Ręce do góry! Złożyć broń! Zrezygnować z oporu! Przyznaj się: jesteś szpiegiem? Jesteś szpiclem, który przedostał się tu na rozkaz centralnego ośrodka, w specjalnym skafandrze? Zdjąć skafander, natychmiast zdjęć pokrywę, chroniącą przed wzrokiem!

Jakże śmieszna była ta jego wojskowa czujność! Kręcił się przede mną, ten wychudzony, kosoooki szczeniak, pchający się na cesarski tron, i, usiłując odgadnąć w mroku coś, co nie poddawało się żadnym optycznym wymiarom, rozpaczliwie udawał odważnego. Kusilo mnie, żeby go pociągnąć za nos, albo dla śmiechu przycisnąć plecami do sufitu, ale ja już dawno zrezygnowałem z tych, prawdę powiedziawszy, dość niesmacznych kawałów. Więc tylko poradziłem biednemu Loni, żeby wystrzegał się takich szpiegów i detektywów, którzy penetrują duszę i wypełniają jej milczenie bezwstydnym podszczuwaniem do grzechu. A tacy szpicle, którzy zwyczajnie włóczą się po jego śladach, albo, ukryci za jakąś bzdurną kotarą, podsłuchują rozmowę ze spóźnionym gościem, tacy skromni statyści w światowym przedstawieniu, mogą jedynie nieco złagodzić pikantność sytuacji, w jakiej znalazł się człowiek, ale nie są w stanie zasypać przepaści walących się na niego przeciwności losu. Co powiedziawszy, lekko potrząsnąłem kotarą zasłaniającą otwarte okno, dając tym do zrozumienia naszemu spokorniałemu łapsowi, że jego rola w całej tej historii także została zauważona. *(Detektyw, Witalij Koczetow, tak się przestraszył, że nie był w stanie odróżnić, kto z kim kłóci się w głębi apartamentu, i w pierwszej chwili wydało mu się, że to Tichomirow rozmawia sam ze sobą różnymi głosami. Było tak, jak gdyby detektyw wróżył z mieszanek mrocznego powietrza, ostatnich odblasków zachodu i wczesnego szronu księżycy, snującego się tu i ówdzie po podłodze gabinetu, potęgując niejasność tych zagmatwanych okoliczności. Pstrokaczka banknotów, oblepiająca ściany, poszła w radosny ruch. Postacie chińskich bogdychanów wystawiły do przodu przebiegłe pyszczki, typiąc do siebie oczami po łobuzersku i z aprobatą szeleszcząc zababranymi bródkami — widocznie, na znak solidarności z kosoookim gospodarzem, który krążył coraz szybciej i szalał, podniecając się głośnym wykrzyki-*

waniem. Łatwo sobie wyobrazić przerażenie wywiadowcy, gdy, wyciągając słuch, pochwycił słowa dotyczące jego schowka w tym tłumie rozjuszonego draństwa, a jeszcze, gdy poderwana podmuchem wiatru kotara zaplątała mu się we włosach...!

— Zgiń! Zgiń! Przepadnij! — rozległ się zdławiony, dochodzący jak gdyby z zaświatów okrzyk Tichomirowa, i, nieświadomie wykonywując jego polecenie detektyw, Witalij Koczetow, stoczył się po rynnie na łeb na szyję).

— Zgiń! Zgiń! Przepadnij! — wypowiedział Leonid Iwanowicz w najwyższej duchowej egzaltacji, i gdy ktoś z trzaskiem wyleciał przez okno, z bijącym sercem rzucił się na fotel.

Zerwana kotara obsunęła się na podłogę, niczym zdobyty, poszarzały sztandar. Szeroko rozwalony księżyc rozjaśniał całą scenę samotnym światłem. W miarę tego, jak ustalał się w znajomych ramach domowego okna, popłoch zamieniał się w wybaczalny wynik bezsenności, rozmagnetyzowanych nerwów i przelotnego wietrzyka, który trzaska okienicami i wydyma firanki. Ale Lonię gniołła w dołku świadomość, że zapanować nad konfuzją pomogło mu dziecinne, zabobonne powiedzenie, które zerwało się z języka mimo woli. Też mi zmartwienie! Czyż nie lepiej pozdrowić z uśmiechem ten rodzinny bałagan w twojej głowie, który pozwolił ci uchylić się od zbliżenia do niebezpieczeństwa, niepotrzebnie wzywano go przez ciebie, żeby przyszło?...

Czyżby miasto Lubimow miało stać się kołyską Smoka? Czyżby rosyjskim mózgom, nakręconym jak sprężyna, sądzone było w uroczną godzinę urwać się z trzpienia i posłać w świńskie diabły całą tę pozłacaną kulę? Czy też pomoże nam czarodziejskie ziele, na dziewięćdziesiąt procent przeżerające ducha narodu? Albo też uratuje nas od wrogich zamysłów głupkowate porzekadło, wypowiedziane znieacka? Czy też ja, który jestem twoim przychylnym geniuszem, porzucę to miasto skazane na zaturę i odejdę jak najdalej od pokusy, po cichu, bez reklamy, jak odchodzi mierzchnący dzień, pozostawiając ci na pożegnanie pewność, że nic nie jest stracone i jutro zbierzesz nowe siły i wszystko odrobisz?

— Tchórze nie powinni grać w karty — wymamrotał ni przypiął ni przyłatał Leonid Iwanowicz i, z lekka zata-

czając się, wygramolił się na balkon. Dokoła, chociaż dzień już tracił ostatnie siły, było jasno i pusto. Na widnokręgu rozwiewała się różowa mgiełka zachodu. Przyćmiewało ją czyste, niczym nie skażone światło wieczornej gwiazdy, promieniejącej o tej porze najbardziej intensywnie. Bolały oczy. Głos wiatru był jak równomierny syk syfonu. Białawy, kosmiczny pył obłoków otaczał księżyc, który wydawał się wydętym balonem, pędzącym swoją orbitą z góry przewidzianą szybkością.

Podobnie niesie się w przyszłość nasza połączana kula — odezwało się w pamięci Loni spóźnione echo i natychmiast zabrzmiały do wtóru dźwięki fortepianu. To jego piękna żona, opadając na siłach od nadmiaru światła, grała przed udaniem się na spoczynek pożegnalną uwerturę. Tym razem nikt jej nie przeszkadzał w muzycznym treningu. Gdy Sawielij Kuźmicz wrócił, zastał Głównodowodzącego w stanie promieniejącej prostracji.

— Może zapalić błyskawicę resztkami nafty? Albo też dla podniesienia poziomu entuzjazmu włączę żarówkę Lolina...

Tichomirow zmilczał, a bez jego wskazówek stary nie śmiał zużywać akumulatora, zaopatrującego sieć alarmową na pograniczu miasta, zanim zmajstrowano słabowity zresztą szyber. (*W owym czasie jeszcze nie umieliśmy otrzymywać nafty ze słonecznikowego oleju*).

— Ciekawe byłoby, Leonidzie Iwanowiczu, dowiedzieć się, czy gdzieś w przestrzeni, na tamtym końcu konstelacji już osiągnięto przyszłość, do której wciąż jeszcze zbliża się nasza wojująca planeta...

Naczelnik nie reagował. Oparty całym osłabłym ciałem o futrynę drzwi od balkonu, jak przykuty, obserwował lot księżycowego dysku w koronie ze światła. Gdyby nie bicie niebieskich żyłek na szczupłej skroni, można by było pomyśleć, że dusza już rozstała się z Leonidem Iwanowiczem.

Proferansow pociągnął go ostrożnie za rękaw.

— Towarzyszu naczelniku! Nie wydalibyście mi rozkazu, żebym szedł spać?

Lonia zwrócił się do sekretarza, jakby nigdy nic:

— A, Sawielij, to ty? Ciągłe pragnę i ciągle zapominam zapytać cię — wiesz o kogo? — o twego imiennika. Pamiętam — wśród swoich dalekich krewnych wymieniałeś

jakiegoś uczonego dziedzica... Wybacz, jestem teraz zbyt roztargniony, żeby pracować. I we łbie trochę huczy. Żwawo przygotuj pościel, przynieś pierzynę, poduszki... Zano-cujemy razem. I proszę cię, Sawielij, opowiedz mi wszystko, co wiesz o tym uczoneym dziedzicu. Kto wie, może twoje anegdoty pomogą mi na bezsenność...

Na woskowej twarzy Tichomirowa ukazał się uśmiech. Nigdy jeszcze Lonia nie uśmiechał się tak blade i kwaśno. Ale czy w ogóle kiedykolwiek uśmiechał się? Tego Sawielij Kuźmicz nie mógł sobie ani rusz przypomnieć.

— Dlaczego anegdoty? Biografię Samsona Samsonowicza znam wiarygodnie ze sprawdzonych faktów. Jeśli zajdzie potrzeba, jestem w stanie cały życiorys z nich ułożyć. Tylko że wy, Leonidzie Iwanowiczu, i tak mi nie uwierzycie...

Stary ledwie trzymał się na nogach ze zmęczenia. Ale już nie mógł się doczekać, żeby wystąpić tej nocy w roli historiografa, ostatnio odsuniętej na drugi plan przez pracę sekretarza, ordynansa, adiutanta i chłopaka na posyłki. Rozłożyli pierzynę na lśniącym parkiecie, na pierzynie Tichomirow w ubraniu, z jednym okiem wycelowanym w okno, w którym płomień księżycy świecił o ileż mocniej niż żarówka, drugie oko wlepione w Sawielija Kuźmicza. Ten rozsiadł się w samej bieliźnie na poduszce, niczym jakiś wezyr, i przygotowując się do opowiadania, zaciągał się dymem papierosa. (*Zazwyczaj Leonid Iwanowicz nie pozwalał mi palić w swojej obecności*). Melodyjne dźwięki fortepianu przepląwały w nocnej ciszy, stwarzając nastrojowy akompaniament.

— Tylko bardzo proszę, żebyście nie przerywali — uprzedził Sawielij Kuźmicz i odkaszlnął kilka razy.

— Nie powiem ani słowa — oświadczył Leonid Iwanowicz z niezrozumiałą jak na niego, ustępliwością. Łżyj, ile chcesz: muszę dowiedzieć się prawdy.

R o z d z i a ł V

DOCZESNE I POZAGROBOWE ŻYCIE SAMSONA SAMSONOWICZA PROFERANSOWA

Bardzo już dawno, w dziewiętnastym stuleciu, zamieszkiwał w swojej rodowej posesji dziedzic znakomitej prozacji — Samson Samsonowicz Proferansow. Był wielkim filantropem, teozofem, myślicielem i do pewnego stopnia bibliofilem. Przeprowadzał doświadczenie naukowe z kamieniem filozoficznym, z pomocą którego durnie chcą zdobyć złoto, zaś mędrzy — dobrać się do ukrytego sensu istnienia. W wolnych chwilach Samson Samsonowicz, siedząc w fotelu krytym aksamitem, czytywał powieści Turgieniewa i Gonczarowa w oryginale, pracował nad zgryźliwym traktatem pod tytułem „O przeznaczeniu dwunożnych”, prowadził dziennik i wymieniał intymną korespondencję z chemikiem Lavoisière, który również był straszliwym filantropem i wielkim oryginałem, choć w mniejszym stopniu niż nasz bohater ponieważ wykazywał starczy pociąg do cyganek i knajp.

Nasz uczony dziedzic nie znosił hałasu i mieszkał w wiejskiej samotności, z gospodynią Niemką i miłą rosyjską niańką, Ariną Rodjonowną. W starszym już wieku Samson Samsonowicz chciał żenić się z córką gubernatora i nawet z początku miał nadzieję, ale później światowa ślicznotka, zawróciwszy głowę wielbicielowi, uciekła sprzed samego ołtarza z pięknym huzarem. Od tego czasu Proferansow poświęcił się bez żadnych przeszkód nauce. Zdarzało się, że przyjeżdżają do jego majątku różne ciekawskie szlachetki, a

ten wyłazi na światło, jak niedźwiedź z legowiska, nieogolony, w rozlatujących się walonkach, w podartej kacabaji, i zaraz rękę do każdego gościa wyciąga, żeby przywitać się, a ręka aż po łokieć wywalana jakąś paskudną substancją. Goście, naturalnie, nie bardzo tym zachwyceni, ale odmówić nie ośmielają się, patrzysz — już ich batysty i koronki w strzępach wiszą. A znowu wizytujące paniusie obłapia tam gdzie nie trzeba, tymi samymi haczykowatymi palcami, którymi przed chwilą, być może, tasiemca obmacywał. Paniusie w krzyk uciekają przed nim po całym pałacu, a ten przydepnie walonkiem tren od sukni i suknię diabli wzięli. Tym sposobem stopniowo gości od siebie odstręczał.

Albo za przykładem Lwa Tołstoja, z którym nasz Proferansow także utrzymywał przyjacielską korespondencję, brał do siebie zwyczajną pańszczyźnianą dziewczkę, uczył ją w międzyczasie odrobiny przestankowania, a potem spławił w charakterze siostrzenicy do Petersburga i za mąż tam wydawał, tworząc w ten sposób kadry ówczesnej inteligencji. Ale wszystkie te wolnomyślicielstwa uchodziły mu płazem, ponieważ Samson Samsonowicz cieszył się szacunkiem u samego Cesarza. Car Mikołaj Pawłowicz niejednokrotnie usiłował go zaagitować do stałego osiedlenia się w naszej Palmirze Północy, obiecując dobrze płatne stanowisko nadwornego astrologa. Takim to szachowym ruchem oprawca dekabrystów rachował na opóźnienie narastającego w kraju odwetu, na co nieprzekupny uczony odpowiadał w takich słowach:

— Nie, Wasza Cesarska Mość, ta karta lewej nie weźmie. Już jutro wraz z pomyślnym wiatrem odpływam ku moim Penatom. Tak już mam napisane, że umrę na prowincji, w pobliżu zapomnianego przez samego Pana Boga, miasta Lubimowa, które — przekonacie się z czasem — jeszcze siebie pokaże. A Wasza Cesarska Mość, i wy wszyscy, panowie komisarze, senatorzy i gubernatorzy z waszymi ponętymi córkami — wszyscy wy źle skończycie.

Przy tym Samson Samsonowicz dźwięcznie przytykał palcami, naśladowując trzask spuszczanego kurka. Tamci myśleli, że żartuje, uśmiechali się z przymusem i dziwili się, że znakomity filantrop takie rebusy zadaje. Toteż można sobie wyobrazić, jak staremu połechtano ambicję, gdy pewnego cudownego dnia 1917 roku przeczytał w gazecie, że całe to hurra-towarzystwo stanęło przed trybunałem.

— Jakże to! Na miłość Boską, braciszku! Jaktó przeczytał w gazecie? Jakież tam gazety, kiedy twego dziedzica, na pewno, na świecie już nie było?!

— Ach, towarzyszu Tichomirow, przecież obiecaliście! Czy ja sam nie widzę, nie biorę pod uwagę pewnych anomalii w życiorysie Samsona Samsonowicza? Przecież ja... przecież on... No, proszę, straciłem wątek i już zapomniałem o czym mówiłem...

— Dobra, Sawielij — już ani pary! Pleć dalej. Mówiłeś o tym, jak po bolszewicku wykazał się Proferansow w sporze z carem Mikołajem...

— Wcale się nie wykazał. To wyście wykazali. Samson Samsonowicz prowadził życie niewinne, jak Robinson Cruzo na swojej odludnej wyspie. Barykad nie budował, w bębny nie bił, a tylko bębnił palcami po szybie, spoglądając z zainteresowaniem na zasypane śniegiem krzaki i gałęzie. Okna wychodziły w jego dworze wprost na ogród, zaś szyby były zamówione w Dalmacji z wenecjańskiego kryształu. Więc oglądał oprawione w okienne ramy fikcje stworzenia, aż gospodyni Niemka westchnie raz i drugi za dębowymi drzwiami i powie:

— Jaśnie Panie, obiad podany. Proszę do stołu.

A on — zupełnie jak wy ostatnio nie znaleźliście jednej wolnej chwili na pokrzepienie — odpowiada jej z goryczą:

— Ech — odpowiada — żebyś wiedziała, Głasza, nam nie obiad w głowie! Jak przywrócić ziemi utraconą miłość? To jest tajemnica, nad którą łeb sobie łamię, a ty mi tu pchasz się z makaronem. Dokąd uciekać?

Zje obiad i znów pogrąża się w męczących rozmyślniach. Ile tam czasu bębnił i muzykę odstawiał na szybach z wenecjańskiego kryształu, tyle bębnił, dość że nagle powiada do swojej Niemki:

— Słuchaj, Frosia...

— Przecież na imię jej — Głasza!

— Widocznie, w ciągu tego czasu zdążył zmienić gospodynię. Czego się czepiacie? A więc: — Słuchaj, Frosia. Na jutro przygotuj mi sakwojaż z ciepłą bielizną. Z pierwszym pomyslnym wiatrem udaję się do Indyj.

Jak powiedział, tak zrobił. Porozrzucawszy po morskich falach swoje dochody, Samson Samsonowicz Proferansow odpłynął do Indyj na pokładzie rosyjskiej fregaty, „Witez”.

...Indie! Jakichże trzeba słów i barw, żeby odmalować twój obraz, nęcący spojrzenia podróżnika? Czy to weźmiemy naszą nieśmiało pączkującą wiosnę, czy wybierzemy przepyszne południe w pełni lata, czy zwrócimy się ku złotogłowiom jesieni, rywalizującej z paletą Tycjana i Lewitana — i tak nie potrafimy, nie ośmielimy się wyobrazić sobie całej wspaniałości Indyj. Prawdziwe pojęcie o cudach tego kraju może dać jedynie rosyjska zima, jej mrozy, okrutne jak tropikalna spieka, jej liany wijące się na szybach, jej koziorożce na lodzie i czarodziejska kryształografia każdej śnieżnej gwiazdki, fruwającej niby ptaszek, miniaturowy ptaszek kolibri. Pod palmami, na bezwietrznym zimnie, w głębokich zaspach gnieżdżą się słonie, połyskują bizona, tapiry i wyniosłe żyrafy wyciągają wśród gałęzi swoje oszroniałe szyje. Przejedźcie się przez zimowy las na nartach, a otworzycie gębę i nie będziecie wiedzieli, gdzieście się znaleźli — w Indiach, czy w Rosji? To znaczy, Panie Boże, że jednak lubisz naszą nędzarską ziemię, jeśliś ją przyodział, przystroił tak wielką urodą? Po czterech latach Samson Samsonowicz przybił do ojczyznostrzeżnego brzegu.

— Żyjesz jeszcze, moja starowinko? I ja także. I pozdrawiam ciebie! — zwrócił się łaskawie do niańki, Ariny Rodjonownej, która z zafrasowanym obliczem siedziała przed bramą, trzymając feldjegra w zaciśniętych ramionach.

— Zbudź się, Micheicz. Wygląda na to, że dziedzic się zwałił — powiedziała niańka, zatknęła upitego wąsala w zaspie śniegu i poszła, świecąc po drodze blaszaną latarnią na kiju.

Przez cały miesiąc Proferansow nie wychodził z ciemnego pokoju: przepisywał manuskrypt, otrzymany w Indiach od tamtejszych atamanów. Potem zachorował na malarię i już więcej nie podnosił się, tyle, że bez ustanku powtarzał wargami spierzchniętymi od wiatru:

— Zawiadomcie Lavoisiera'a, poinformujcie Lwa Tołstoja, żeśmy się poważnie pomylili w naszych obliczeniach. Sens istnienia polega nie na tym, żeby... tylko na tym, że...

Tu zamilkł, nie będąc w stanie dopowiedzieć najważniejszej rzeczy.

Zawsze tak się dzieje. Żyje człowiek, pielęgnuje różne plany, sam do siebie wewnętrznie robi oko po szpiegowsku: — Trzymaj się, Włodeczku, już bardzo niewiele zostało! A gdy przyjdzie czas na wyjaśnienie, gdzie jest ten główny

sekret — obdziera sobie skórę z pleców o wystające z materaca druty, a słów na wypowiedzenie zabrakło. Przybijaj wieko!

Pięknie, przybili, pochowali według wszelkich przepisów — a on zaczął się ukazywać. Czy że duch nieustającego tropiciela zbyt stęsknił się za ojczyzną, czy nie potrafił oprzeć się prawu ciężenia, czy też tak go przypiliło, żeby zaokrąglić napotkane myśli — sam dobrze nie wiem, w jaki sposób wyjaśnić ten niepojęty przypadek. Ledwie przychodzi wieczór i wszyscy siadają do kolacji, Samson Samsonowicz natychmiast zjawia się i zrzędzi i wałęsa się po galerijce w niematerialnym stanie, a później coś pisze w zamkniętym gabinecie. Cała rodzina tak bardzo już przyzwyczaiła się do jego zjawiania się, że nawet strach ich brał, jeśli dziedzic z jakichś tam powodów spóźniał się, bo go uważali za zwiastuna dobrych nowin i opiekuna rodzinnych tradycji, bezpowrotnie zatraczonych w naszych nikczemnych czasach.

Możecie, rzecz prosta, zapytać — skąd się wzięła rodzina? Przewiduję zdumione pytanie i spieszę usunąć wątpliwości. Po pierwsze, istnieje legenda jakoby olśniewająca córka gubernatora podrzuciła jednak narzeczonemu, w sposób anonimowy, niedonoszonego bękartą, zaś Proferansow rycersko osłonił kobietą hańbę. Po drugie, jestem autorem uzupełniającej hipotezy, według której Samson Samsonowicz zdążył przed zgonem ożenić się z rodzoną kucharką i starą przyjaciółką dzieciństwa — Ariną Rodjonowną. Wynika więc z tej hipotezy, jak to już wam wyjaśniałem, że ja i wy, Leonidzie Iwanowiczu, mamy wielkie dane, aby zaliczać się do starożytnego drzewa genealogicznego Rosyjskiej Mądrości. Ale wróćmy do naszych Penatów.

Po iluś tam latach tata i mama siedzą sobie w starożytnym domu, a dziadzio w ogóle się nie zjawia. Żeby czas płynął szybciej, rozmawiają o tym i owym, ale strach już ich bierze, przypominają minione dni, kiedy to córka Taniusza przyjechała na wakacje i ciągle bała się, że widmo ją pożre.

— Taniusza, zdążyłaś zapomnieć? Przecież to nasz dziadzio, nasze dobre widmo, i byłby to zły znak, gdyby się rozgniewało i przestało ochraniać dziedziczne gniazdo...

Rozmawiają w ten sposób dzień i drugi, żałują przeszłości, a wciąż nasłuchują, czy nie zaskrzypią deski na galerijce, na którą poza dziadkiem nikt już nie ośmielał się wchodzić. Albo schodząc z pół pięterka, spoglądają w nadziei, że w

pustym gabinecie płonie nigdy nie spalająca się świeca. Ale nie, wszędzie ciemno, wszędzie cisza. Tylko dochodzi trwożny szum potężnych dębów w parku.

Jeden wieczór, drugi, trzeci... Nadaremnie! Nie wytrzymały rodzicielskie serca: widocznie, z Taniuszą jakieś nieszczęście! Wyrwali do Moskwy, do córki, która zdążyła już ukończyć konserwatorium, zrobiła dobrą partię, miała dzieci. Też opowiadanie! W Moskwie spokój, dzieci zdrowe, Taniusza w dobrym humorze, utyla i stosunki z mężem także wydają się normalne. Zięć zęby szczerzy, kpiny sobie urządza:

— Widocznie dziadzio Indie postanowił odwiedzić...

Ale po upływie dwudziestu czterech godzin przycwałował pociągiem rządca majątku, cały osmalony, i zawiadomił, że tegoż samego wieczora, gdy tatuś i mamusia wyjechali, rodowa posesja zajęła się płomieniem, niczym pochodnia, i gdyby ktoś nocował w opustoszałym domu, niechybnie padłby pastwą pożaru, tylko cud was uratował.

Zaczynała się rewolucja. Nad największym w powiecie majątkiem wiatr rozpędzał dymy pogorzeli.

— Macie najlepszy dowód! — mówiła mamusia, pakując walizki na wyjazd do Francji. — Tak właśnie myślałam. Nie wierzyliście w dziadka, a on właśnie dlatego nie zjawił się przez trzy wieczory pod rząd, że przeczuł nieszczęście i dawał nam rodzinne znaki, uprzedzając, iż w majątku coś nie w porządku i śmierdzi naftą. Dzięki staremu przyjacielowi za uprzedzenie. Cóż, spalona nasza przystań, wykurzono gospodarza, żegnaj wypędzone widmo, żegnaj na zawsze!

Emigranci pomylili się. Posiadłość ich spłonęła w całości, to prawda, ale Samson Samsonowicz pozostał z nami i nawet rozszerzył teren swoich wypadów.

Pewien starszy czekista opowiadał mi po większym pijaństwie, że kiedyś na początku NEP-u wstąpił z gromadą czerwonych żołnierzy do herbaciarni, zagrać się ździebłko, a przy okazji zredagować papierek o konfiskacie wężownicy. Nagle w uchu czekisty coś zapiszczało, zatrajkotało, zabębniło w przepoń, jak gdyby ktoś w słuchawkę dmuchnął i powiedział:

— Hallo, hallo, proszę zatelefonować do Lavoisiera i zapytać Trockiego — kto przywróci sercu utraconą miłość? — kto obejmie wzrokiem fikcje stworzenia?

Patrzę — nieco dalej, przy grzejniku do gotowania wody, starzec z inteligentną twarzą, nie mówiąc ani słowa, siorbie herbatę i czyta dziennik. Zanim zorientowali się, że należy zapytać go o papiery, stary wstał, zaplął wszystkie guziki, nasunął mocniej czapkę, wypuścił strugę białej pary i zniknął wśród śwedu i buczenia grzejników. Rzucili się do miejsca, z którego wystartował, a tam pięciokopiejkowy miedzak, przewrócony dwugłowym orłem ku górze i zmoczona gazeta, „Izwestia”, świeży numer, wieczorne wydanie. A nad nimi, na suficie wilgotne ślady walonek, idące w kierunku hałasującego wentylatora i przedziwny głos łączy się z hukami węzownic:

— Znowu pomyliliśmy się w naszych obliczeniach. Ale miasto Lubimow jeszcze się wykaże!

Za drzwiami — ani żywej duszy, cisza, śnieg iskrzy się pod księżycem, gdzieś na drugim końcu Rosji poskrzypują płozy — „czekisto, prześpij się, przyśnij się...”. Ależ mróz!

A nawiasem mówiąc, ten sam czekista którejś zimy należał do warty, ochraniającej willę Lenina w Gorkach. Obok wartowni, za ścianą z okrągłych bierwion, Włodzimierz Iljicz leczył się i układał po nocach plan pierwszej pięciolatki. Pisze Włodzimierz Iljicz jakiś czas, na liczydłach trzaska, a o drugiej godzinie, wyslizguje się na paluszkach przewietrzyć się troszkę. W zwykłej marynarce, bez czapki, rączki w kieszonkach. Na dworze, na skrzypiącym śniegu, przestępuje z nogi na nogę, spoziera na strony, czy nie ma kogo w pobliżu, a potem zarzuca do tyłu łysawą głowę i — zaczyna...

A wył Lenin do księżyca wnikliwie i metodycznie, wył nasz Iljicz przed śmiercią, każdej księżycowej nocy. Wyje jakiś czas, potem posłucha, czy w dalszym ciągu cisza, i znowu zanosi się wyciem i tak długo to odstawia, aż zmarznie, i wtedy — zielone jego ślepie! — wyrывa z wszystkich sił z powrotem — znowu na liczydłach trzaskać i pisać w dalszym ciągu, jak mamy poruszać się po wytyczonej drodze. Długo, bardzo długo pali się w pokoju leninowska lampka...

Zapytajcie — jakiś jest wewnętrzny związek między tymi faktami? Nie ma absolutnie żadnego wewnętrznego związku. Ale pragnąłbym podkreślić, że jeżeli nawet u Lenina, u Włodzimierza Iljicza, zdarzały się tego rodzaju nastroje, to dlaczego nie miałby ich mieć zacny rosyjski pan, który nikomu nie zaszkodził i na pozaziemskie wyżyny do-

stał się o wiele pewniejszą drogą. To naprawdę wyjątkowe, że ludzie, zawsze gotowi uwierzyć w każdą bzdurę, nie chcą zrozumieć poważnych rzeczy. Ot, chociażby wy, Leonidzie Iwanowiczu... Przecież w waszym życiorysie także nie wszystko jest w porządku. Tego wieczora też was ku księżycowi pociągnęło, tak że nawet pomyślałem — ten zaraz zacznie jak Lenin. Jesteście świętym człowiekiem, wybitnym wodzem, jakiego nie znała... Co to — wygląda, żeście usnęli do wtóru mojej piosenki? Masz ci los! A nawet do połowy jeszcze nie dojechałem... Przeklęty, śpi jak zabity. Znużył go generalski postereunek. Widzisz go, jak bielkami wywraca, ty, diable, kosooki, Panie Boże, zlituj się nad nami!

Ech, Lonia, Lonia, koprowinę masz we łbie! Cóż ty myślisz, że jakieś otrzymał w spadku rękopis Proferansowa, wyuczyłeś się jaśniepańskiego abecadła, to już wszystko w porządku aż po dzień dzisiejszy? Nie, bratku, nie uda ci się! Słabnie twój wpływ coraz bardziej. Sam po sobie widzę. Jeszcze nie wiadomo, w którą stronę obróci się koło Fortuny. Czego wzdychasz? Śpij, zdrowie umacniaj. Jak twoja mamusia odbędzie pielgrzymkę do popa Ignaca, kto wie, może Bóg da, poprawisz się, wyjdzie z ciebie szaleństwo. Bo to wszystko nieczysta sprawa i nic więcej. Bo już zaczynają mówić o tobie, że czarnoksięstwem się zajmujesz. Niedługo zaczną mówić, wszyscy zaczną: „Co się mamy z nim związywać, z Kosookim? Przyjdzie do czego, trzeba będzie stawać za jego sprawki przed wojskowym trybunałem!”

Posunąłbyś się, stary byku. Nawet i we śnie się rozpycha. Dobrze. Położę się w nogach. Możesz nie denerwować się. Nie zdradzę. Woźnym dla ciebie jestem i doradcą i niańką. Arina Rodjonowna. „Rusłan i Ludmiła”. Indie. Jeszcze miałbym chęć twój życiorys skomponować. Tylko wciąż czasu brakuje. Grzejniki. Wężownice. Samson Samsonowicz. Włodzimierz Iljicz. Rosja. Śpij!

R o z d z i a ł V I

NA OSTRZU NOŻA

Gołąb wzbił się na wysokość, opisał koło i, wiele nie myśląc, wziął kierunek na Moskwę. Nie potrzebował układać planu tego lotu. Lecił bez zastanowienia, po linii prostej, powodowany zewem krwi. Ojczysty gołębnik przyciągał go do siebie, podobnie, jak finał nieukończony powieści, zjawiając się nagle przed wzrokiem autora, wyciąga w kształt struny potargany kłębek akcji. Niech szaleją bohaterzy i ciskają się po życiowej scenie w nadaremnych usiłowaniach przedłużenia trudnego żywota. Natchniony Mistrz zna już dobrze rozstrzygnięcie, zaciera dłonie, smakując z góry zakończenie pracy, i mknie do celu, jak gołąb wypuszczony z koszyka.

Czemu więc w piersi lecącego odezwał się nagle głos rozsądku? Czemu, przelękniony, przekreślił główkę przez ramię, spogląda za siebie i niepewnie chwieje się w powietrzu, jakby dopiero teraz miał na nowo wybierać kierunek i szybkość? Nie wybieraj! Nie zastanawiaj się nad wykreśloną marszrutą! Nie licz kilometrów. Wyłącz budzik i odłóż kalendarz. Leć prosto przed siebie, zgodnie z natchnieniem... dokądże? Opamiętaj się! Przecież nie jesteś człowiekiem — jesteś gołębiem! O, jakże często skazujemy siebie na zgubę, przez brak zaufania do własnego mistrzostwa...

Jedna chwila zwątpienia, walka trwająca jedno мгновение — i ptak, zapomniawszy o obowiązku, zawrócił ze zdwojoną gorliwością poruszając ociężałymi skrzydłami. Ale u

ptaków zdrada wrodzonych zasad zawsze kończy się źle. Wydawało się, że pohańbione stworzenie utraciło swoją powietrzną statyczność i, zniżywszy lot, tłukło się zygzakami, jak zając wśród ulic obcego mu miasta. Dzwonicę jakoś na pół biedy jeszcze udało się gołębiowi wyminąć. W dwóch susach przeskoczył sieć przewodów nad dachem, ale oszklone drzwi od balkonu oślepiły zdrajcę. Nie dostrzegając dłoni, wyciągniętych ku niemu wyczekująco, skrzydlaty skoczek trzasnął z rozpędu o ścianę i potoczył się skrwawionym kłębkim do stóp Leonida Iwanowicza.

— Co, gołąbeczku, uciekać się zachciało? — Po raz drugi tego nie zrobisz! — powiedział Tichomirow, chyląc się nad trupem repatrianta. — Zaraz-żem rozeznał twoją manierę, i rzeczywiście — pocztowy gołąb. Zobaczmy jakie to wiadomości wysyłają zagranicę wrogowie wewnętrzni...

Ostrożnie, żeby się nie powalać. Lonia odwiązał od nóżki ptaka mosiężną tulejkę i wyciągnął mocno skręcony papierek, przewiązany nitką. Po jednej stronie był adres wypisany wersalikami: MOSKWA. SKRZYŃKA POCZTOWA NR. 100001. ANATOL SOFRONOW. Z jakichś względów autor listu zrezygnował z konspiracji, więc Tichomirow bez trudności odczytał wyraźny maczek pisma.

Kochany Tolku!

Pisz do ciebie z miasta Lubimowa twój serdeczny przyjaciel i kolega pracy, Witalij Koczetow. Czy pamiętasz, Tołeczku, jakeśmy spacerowali po ucichłej Moskwie i, omawiając przeczytane książki, dzieliliśmy się nowymi osiągnięciami w dziedzinie bezpieczeństwa? Niecierpliwe żółtodzioby, niewieleśmy wtedy rozumieli! Uważam, że to był jeden cudowny sen. A jednak, Tolku, żyjemy w takich czasach, kiedy sny i marzenia realizują się. Jak małe dzieci marzyliśmy wtedy o aparacie umysłowej obsługi, który by fotografował myśli w ludzkich głowach. Otóż mogę podzielić się z tobą radosną wiadomością, że taki aparat istnieje i nawet na wyższym technicznym poziomie, niż w samej utopii. Zamiast zapisywać cudze myśli na taśmie, lepiej od razu skierowywać je na właściwą drogę. Prawda, Tołeczku? Po przeprowadzeniu śledztwa przekonałem się, że Tichomirow został oskałowany przez zazdrośników i dogmatyków-rutyniarzy i trzeba by jeszcze zbadać, czy to nie jakaś intryga zagranicznego wy-

wiadu. Widziałem na własne oczy, jak Tichomirow rozprawa się z amerykańskimi szpiegami, z widziadłami w skafandrach i z innymi przeżytkami przeszłości, i postanowiłem zatrzymać się w Lubimowie. Kiedy w niepewności wyskakiwałem z okna Generalnego Sztabu, jeszcze nie całkowicie panując nad nową ideologią, wówczas, Tołeczku, załamały się moje racje. Obecnie zdałem sobie sprawę z wszystkiego i proszę, abyś zameldował naczelnikowi o istocie sprawy. Pysyłam z tą depeszą służbowego gołąbka. Jestem pewny co do jego powodzenia. Zdarzało mu się przelatywać nawet nad łańcuchami wysokich gór. A co do samolotów, powiedz naczelnikowi, że nie należy ich wysyłać przeciw temu miastu. Co do tego, przyznaję, że popełniłem błąd. Zadanie obecnej politycznej chwili polega nie na prowadzeniu wojny z Tichomirowym, lecz na twórczym przyjęciu jego nowatorskiej inicjatywy i powszechnym zastosowaniu jego metod wychowania. Tołeczku! Ty przecież mnie znasz i będziesz mógł wyjaśnić u góry, że jestem swój chłop, a nie jakiś tam abstrakcjonista. Zawiadam moją żonę, Katię, że ją wkrótce sprowadzę do Lubimowa. A co do Żydów, Tołeczku, tośmy w owym czasie zawinili brakiem właściwej oceny. Żydzi także są ludźmi. Do zobaczenia Tolku. Kiedy wszystko się ureguluje, liczę, że ty również przyjedziesz do miasta Lubimowa i jeszcze wypijemy toast za wszechświatowy pokój.

Twój Witek

Po przeczytaniu tej szczerzej spowiedzi, Tichomirowa zdjął żal, że zgotował taki los biednemu pocztynionowi. Gdyby gołąb był dotarł do stolicznych wyżyn, może by słowa naocznego świadka, który przejrzał, odniosły skutek i przyspieszyłyby uznanie Loni w postępowych kołach. Z innej jednak strony ten minus miał plus, a mianowicie Lonia obecnie wiedział, że w mieście znajduje się prawdziwy, wierny przyjaciel, jakiego tak bardzo mu ostatnio brakowało. Czujny wywiadowca zrozumiał, kto ma rację, zaledwie ogarnęła go zdrowa atmosfera miasta.

— Gdzie jesteś, gdzie zabłądziłeś, mój nieznany bracie? Nie ukrywaj się! Usłysz ten głos, rozlegający się w samotnej tęsknocie i zbliż się ku mnie. Witeczku, przyjdź!

I oto jak gdyby na to wezwanie, wysłane na całe miasto, z nieba doleciało oddalone mechaniczne brzęczenie.

Wkrótce zamieniło się w ohydny stalowy zgrzyt, który powodował, że jęczała ziemia, dźwięczały drzewa i krzywe domki, rozsypane na zboczu, trzęsły się jak w nagłym paroksyzmie. Na dwa kroki od targowiska Tichomirow, nie dobiegłszy, upadł ogłuszony na plecy i tak pozostał na ulicznych kocich łbach...

Samolot z okropnym rykiem wyskoczył zza lasu. Powiedzmy otwarcie, nie był to żaden cud najnowszego raketowego wykonania, lecz po prostu najzwyczajniejszy, średniego kalibru bombowiec, który doczekał się naszych czasów od bitwy pod Stalingradem. Rozpłaszczony jak kot, z pyskiem nastawionym na cel i ze stulonymi uszami, pędził przez powietrze, kręcąc całym ciałem, cały opływowy, kapryśny, niepowstrzymany w swoich zamiarach. Taki urodziwy, dobrze zaopatrzony w bomby samolot starczyłby na spróchniałe deski Lubimowa na kilka razy. A tu za dowódcą grzmiała na pełnym locie cała eskadra. Widocznie, uchwalono rezolucję, żeby po mieście Lubimowie pozostała jedynie mokra plama.

Lonia leżał, patrząc, jak pikuje, celując mu w twarz, nieprzyjacielski samolot. Cóż tu robić? Twarz Loni, rozciągnięta na bruku, na całą szerokość targowego placu, stanowiła doskonały cel i lotnik wiedział, że wykończyć leżącego na plecach człowieka jest równie łatwo, jak rozwalić bombą leśną polanę. Wiedział mianowicie, wiedział i widział, że zapadnięte policzki Leonida Iwanowicza można spalić równie łatwo, jak zbocza wąwozu, porośnięte suchym wilczomleczem. Wiedział, że jego wargi podziobane wzgórkami bagiennej wysypki, nie mają siły, by odwrócić zamieszony nad nim cios. I że oczy... Proszę zaczekać jedną chwilę! Z czym mamy bez zwłoki porównać ludzkie oczy, nie posiadające żadnej innej broni, oprócz rozpaczliwego spojrzenia, skierowanego wzwyż, ku stalowemu olbrzymowi, spadającemu coraz niżej z każdą chwilą, nie, z każdą tysięczną chwilą?

Być może, powiecie, że nie czas na jakieś porównania i po co tu pleść androny, kiedy sprawa jest jasna i nie warto osłaniać nieporadną, staroświecką metaforą powalonego bohatera. Czy nie właściwiej byłoby przedstawić wszystko spokojnym cywilizowanym tonem, jak u Feuchtwangera albo Hemingwaya: „Lotnik nacisnął dźwonek. Kropka. Mózg wy-ciekł. Kropka. Zapinając rozporek, słuchał jak w sedesie szumi woda...”.

Nie zgadzamy się! Gdybyśmy mieli chociaż jedną baterię, choćby nawet jakiś nędzny karabinek, nie wstrząsalibyśmy niebieskiego stropu ordynarnymi wrzaskami. Ale gdzie sprawiedliwość?! U nich — samoloty, dzienniki, czasopisma, radio, domy dla wariatów, telefony, a u nas — nic, rozumiecie, nic o co by ręce zaczepić. Tylko naga wyobraźnia. Ale czyż nie stać nas, przyduszonych do ziemi i oczekujących godziny śmierci, czyż nie stać, aby rzucić się na spotkanie samolotu i rąbnąć go w warczącą mordę pierwszą, jaka przyjdzie na myśl, potworną, krwawiącą hiperbolą?!

A więc zacniemy od początku i spróbujemy odtworzyć scenę bitwy w jej naturalnym wyglądzie, biorąc pod uwagę, że jednakże nasz Lonia także miał głowę na karku i to z niebyle jakim nadzieniem.

Najpierw wyobraźcie sobie — wysoko, wysoko na niebie — pikujący bombowiec... (*...a tu, na dole, powalonego, leżącego na plecach człowieka*).

Wyobraźcie sobie bombowiec pikujący z przerażającą szybkością... (*...w dół, prosto w twarz, która nie spuszcza spojrzenia z mordercy*). Pikuje ten morderca i nagle zauważa ze zdumieniem... (*...że pod nim rozkładają się nie miejskie budynki o obliczach zniekształconych przerażeniem, lecz głucho leśne miejscowości, tu i ówdzie przepocone plamami bagien i wąwozów. To Lonia w przedśmiertnej rozpaczysprężynami źrenic uderzył...*) ...w pysk zwierzęcia już szykującego pazury, je wbić... (*...w ślepią, które podniosły się jak pnie olbrzymich modrzewi...*) ...godząc w niebo dzidami zaostrzonych szczytów.

Wydawało się, że... (*...sama ziemia najeżona ostrymi kołami, zatrzęsła się i poszła na spotkanie, na łeb na szyję, w rozjuszeniu i wściekłości... naprzeciw...*) ...ryczącego samolotu... (*...krzycząc mu z dołu...*) ...w górę...

— Uciekaj, kurwo! Uciekaj, suko! Nadziejesz się!

Kiedy samolot uniósł się w zenit, a następnie, posłusznie zataczając wiraże, oddalił się poza teren miasta, pociągając swym przykładem resztę tej jazzowej bandy, Loni wydało się, że mu na czole pękła rozgałęziona żyła. Zdobył się na wysiłek, podniósł się na łokciu i posłał uciekającym wrogom solidne napomnienie. Żaden z nich nie odwrócił się. O jakieś siedem kilometrów od miasta lotnicy odkuli się do syta, zrzucając cały ładunek bomb do bagna, uważając, widocznie, że zgniłe kępki to budzący podejrzenie kamuflaż i

że właśnie tu znajduje się główny arsenał Lubimowa. Zaś sterty zleżającego suszu wzięli z tej wysokości za klasztorne bastiony.

Leonid Iwanowicz z najwyższą radością rozproszyłby to przeklęte stado ich własnymi bombami, ale kalkulacja strategiczna zapanowała nad pożądaniem zemsty, więc ledwie echo przebrzmiało po lasach, Lonia utrwał w lotnikach przyjemne przekonanie, że miasto Lubimow, jak sami widzicie, zostało zmieszane z błotem, podczas gdy łuna pożarów, przesłaniając obraz, tańczy nad zwęglonymi ciałami rewizjonistów. W powstałej sytuacji było pożyteczniej chwilowo udawać, żeśmy zginęli, i zbierać siły dla wymierzenia druzgocącego ciosu.

— Towarzyszu Głównodowodzący — niezbyt głośny tenor zadzwijał nad Leonidem Iwanowiczem — proszę o pozwolenie przejścia pod Waszą komendę...

Głównodowodzący przemógł łamanie w krzyżu i przekreślił się na drugi bok. Pierwsze, co ujrzał, to były nogi w łapciach i onucach, okręconych zresztą zręczną spiralą, na wzór żołnierskich owijaczy. Łapcie także były rozstawione po wojskowemu: pięty razem, końce osobno.

— Jestem uniwersalny detektyw w stanie spoczynku. Witalij Koczetow. Proszę mnie aresztować. Przeciwnik otrzymał nasze koordynaty z winy mojej przenośnej radiostacji. Jestem politycznie odpowiedzialny za ten nalot...

Młody oberwaniec stał wyprężony na bacność. Ciężkie dłonie o wielkich paluchach świadczyły o starym zamiłowaniu do ślusarskiego warsztatu. Z fizjonomii ozdobionej kartoflanym nosem spoglądały na dowódcę szczerze, uczciwe oczy. Właśnie tak Leonid Iwanowicz wyobrażał sobie jego tajemniczy wygląd.

— Jak się masz, Witeczku! — powiedział, podnosząc się z ziemi. — Cieszę się, że ciebie poznałem. Zanim ludzie zaczną wyłazić ze wszystkich dziur, musimy ze sobą pomóc. Chcę ci powierzyć pewne zlecenie: musisz mi pomóc w zbudowaniu aparatu wzmacniającego fale nadawcze, który by na duże odległości..

— Przepraszam, naczelniku — przerwał młodzieniec ugrzecznonym tenorkiem. — Uważam, że najpierw należy mnie ukarać. Powinienem ponieść odpowiedzialność za popełnione błędy.

— Tak! — zawołał Lonia, coraz bardziej ciesząc się niecodziennym spotkaniem. — Weźmiesz na siebie odpowiedzialność. Od tej chwili, Witeczku, jesteś moim przyjacielem i pierwszym zastępcą.

Tichomirow podszedł do neofity i pocałował go w mocne, wydęte jak u chłopaczka wargi.



Już drugi tydzień paliły się lasy na bagnach, na skutek rzucenia bomb zapalających. Ugaszenie pożaru na bagnie to nie taka prosta sprawa. Zagaśnie w jednym miejscu, minie dzień, dwa, i już gdzie indziej zaczyna dymić, chociaż, wydaje się, że nie powinno: woda i zgnilizna, a właśnie ta zgnilizna dymi. Bóg jeden wie, w jaki sposób ognista żmija rozszerza się po lesie. Czy pod ziemią przesącza się z miejsca na miejsce, czy jak, bo przecież prawdziwego płomienia nie widać, żebyś nie wiem jak patrzył, a jednak ziemia kurzy się, zaś drzewa postoją trochę w tym dymie, postoją i niepostrzeżenie zamieniają się w opalone głownie.

Wielkiej szkody ludziom takie pożary nie przynoszą. Są zbyt powolne i przewlekłe. Doświadczeni ludzie powiadają: „Niechta se tleje, do zimy samo wygaśnie”. Ale jednak powietrze w mieście zaprawione jest dymkiem i jeśli wciągniesz go w nozdrza, zaraz ci się na duszy robi jakoś niespokojnie i słodko, jak gdybyś czegoś oczekiwał. A na co nam właściwie czekać?

Przewody sygnałowej sieci też psuły się zbyt często i zaczynały nawalać. Każdego poranka Leonid Iwanowicz wypędzał drużyny pracujących do dalekich leśnych rejonów — tam do gaszenia, tu do reperowania, a gdzie indziej do sprawdzenia, czy w nocy nie spalił się jeszcze jeden kabel. Raz zdarzyło się, że dwóch staruchów nie wróciło z bojowej wyprawy: uciekli zagranicę, do swoich krewnych i tam pozostali...

W czerwcu zaczęły się deszcze i spalenizna zmniejszyła się w powietrzu. Spalenizna zmniejszyła się, ale podziemny wróg kontynuował cichcem, jak kret, swoją działalność podpalacza. Ledwie powieje wiaterek, znowu dolatuje do Lubimowa gorzki, natrętny zapach, a niekiedy płyty sadzy. Na domiar złego, tego roku urodzaj zboża zapowiadał się kiepsko z powodu nadmiaru wilgoci.

Częste burze i nawałnice utrudniały podniesienie poziomu rolnictwa i hodowli bydła. W Kołdobińskim kołchozie piorun zabił byka. U jednej z dziewczyn odgłos grzmotu spowodował poronienie: samiec wielkości kociaka, ale, nawiasem mówiąc, z dobrze rozwiniętym członkiem, zaś oblicze ozdobione brodą i wąsami. W porządku — zdechł przy urodzeniu, zakopali go. Do miasta zaczęli przychodzić rozczochrani delegaci ze wsi.

— Czego potrzebujecie? Jeżeli sobie życzycie, zbudujemy w waszej wsi metalowy piorunochron... — Tichomirow proponował chłopom osiągnięcia techniczne. Ale chytre wieśniaki, zgromadziwszy się na podwórku za domem, huczeli, że takie głupstwo to oni sami zbudują, a ty byś, bratku, lepiej deszczyk wyczarował, żeby tego, opady atmosferyczne, panie dzieju, przychodziły według rozkładu. A kiedy Lonia zwracał uwagę, że przodujące podejście naukowe już dawno przekreśliło czary i wróżby, delegaci, jakby się zmówili, zaczęli mówić o popie Ignacu. Że niby, wedle posiadanych wiadomości, zamieszkuje ten wyjątkowy pop za Mokłą Górą, od tela na jakieś wiorst siedemdziesiąt, a jak już mszę uroczystą odprawi, zara na tym głuchym odludziu, co tylko w życzeniu, jakbyś zamówił — czy to słońca, czy piękna pogoda. Któregoś dnia, delegaci, drapiąc się pod pachami, dali do zrozumienia, że jak już Tichomirow cudów więcej wywoływać nie potrafi, to po kiego diabła im potrzebny z całym swoim czarnoksięstwem! A ten i ów nawet roześmiał się...

Lonia z miejsca dławiał bezideowe wystąpienia, ale, podciągając umysły, dostrzegał, że w jego państwie zarysowała się jakaś szczelina, a dlaczego zarysowała się, trudno się zorientować. Być może, w walce z nieprzyjacielem Lonia naderwał sobie kichy, a może jeszcze wcześniej siła jego woli zaczęła nawalać.

Kto jest w stanie stwierdzić, gdzie kryje się przyczyna upadku wielkich dynastii? Kiedy rozpoczął się schyłek Europy, dekadencja Rzymu? Nie wykluczone, że w samo południe, w największym nasileniu chwały, jakiś przewidujący geniusz odbija niedostrzegalnie od uprzykrzonych brzegów. Niewykluczone, że ledwie jakieś historyczne mocarstwo zjawiało się na świat i nie zdążyło jeszcze ani rozwinąć przemysłu ani zbudować sobie na ziemi architektonicznych pomników, a w tajemniczej księdze zapisano już wyrok, zgodnie z którym po iluś tam godzinach zostanie ono zmiecione przez inne

historyczne mocarstwo, zanim i to ulegnie kolejnemu zmniejszeniu. Oto siedzimy tu wspólnie, bzdury sobie różne opowiadamy i drapiemy się po nogach, a tuż za oknem, być może, wykańcza się jakiś starożytny Rzym, albo, co gorsze, przychodzi koniec całego świata i czas, jak mawiał Siergiej Jesienin, zbierać manatki...

Leonid Iwanowicz całymi dniami znajdował się na gospodarczym froncie. Albo też osobiście pilnował spokoju w mieście i ponury, samotny, wycieńczony, z opuchłymi żyłami oplatającymi czoło niby wiązką niebieskich błyskawic, obchodził ulice. Przyszwycał się teraz zjawiać się w publicznie uczęszczanych miejscach pod tajemniczym przebraniem, które zmieniało go nie do poznania. Przybierał postać zwykłego księgowego, albo kołchoźnego brygadiera, nie budzącego żadnych podejrzeń, i zaglądał do piwiarni, gdzie lud obtłukiwał kąty i otrzymywał na kartki codzienną rację wódki. Po godnym ubolewania epizodzie z pijacką śmiercią owego aresztanta wprowadzono surowe ograniczenie: 150 gramów na każdego. Żeby całkowicie znieść popijanie, nie, na takie przedsięwzięcie nawet Tichomirow nie mógł się odważyć: spróbuj tylko, zabroń w Rosji wódki — rewolucja wybuchnie...

— Powiedz-no, bracie, co myślisz o naszej polityce zagranicznej? — Leonid Iwanowicz przysiadł się do wojennego inwalidy bez nogi, który już zdążył wypróżnić należną mu szklaneczkę i teraz zabierał się do drugiej, zdobytej zapewne nielegalnie, na ukradzioną kartkę.

— A cóż tam, chłopie, o niej myśleć! Polityka u nas uczciwa, sprawiedliwa. Pokojowa, można powiedzieć, polityka... Na twoje zdrowie!

Rąbnął drugą szklaneczkę i wyraził całą gębą smaczne zadowolenie.

— Tylko wódzia u nas, sam dobrze wiesz — podrabiana...

— Jakto podrabiana, dlaczego?! — zdziwił się Lonia po usłyszeniu tych bezczelnych słów. Po wypiciu podwójnej porcji nikczemnik poczerwieniał, rozgrzał się, oczy zrobiły się błędne, język zaczął się plątać — wykończony gość! Ale nawet płacząc się, nie przestawał utrzymywać, że mimo wszystko wódzia jest podrabiana, że się ją otrzymuje ze zwykłej wody — przy pomocy hipnozy...

— A ty skąd to wzięłeś? Przecież jesteś w tej chwili pijany, jesteś pijany, czy nie? Czujesz we wnętrzu fizyczną rozkosz?

— W tej chwili czuję — odpowiedział inwalida i obliżał się. — Ale sam powiedz: pijesz i pijesz tę faszystkę, a głowa z przepicia wszystko jedno nie boli. To nazywa się wódzia?

Kaleka zaszlochał. Nieudane, pijane łyzy gradem poleciały na zatłuszczony drelich. Nadaremnie Leonid Iwanowicz starał się dodać mu otuchy.

— Czemu, braciszku, płaczesz? — czemu się denerwujesz?

— Jakże, bracie, nie płakać? — wyjęczał bohater wojenny i zaczął mówić szeptem: — Przecież nasz car — czarownik... A caryca — Żydówka...

Tegoż wieczora między małżonkami doszło do wymiany zdań. Przed udaniem się na spoczynek Lonia wpadł na chwilę do żony, by ucałować jej rączki, i przy okazji zadał pytanie o charakterze narodowym:

— Simoczka, bardzo cię proszę, odłóż te pieszczoty na później. Doprawdy, masz w sobie coś hiszpańskiego...

— Jestem z matki Rosjanki i narodowość mam w paszporcie rosyjską — z niezmienną gotowością wyjaśniła Serafina Piotrowna. — Za to tatuś — pół Grek, pół Żyd.

— Żyd?! Nie może być! Przecież twoje nazwisko — Kozłowa!

— Panieńskie nazwisko — Fiszer, Kozłowa to od niedawna, po zawarciu pierwszego małżeństwa...

— Masz ci los! Byłaś *zameżna*? A ja dlaczego o tym nie wiedziałem? To może także miałaś *dzieci*?

— Dlaczego — miałaś? Mam dziecko w Leningradzie, wychowuje się w rodzinie męża, z którym rozwiodłam się już dawno. Dziewczynka... Leonid, błagam cię, nie patrz tak przerażająco! Nigdyś mnie o nic nie pytał. Wierzaj mi, nie ukrywałam...

Ale Lonia już nie wierzył. Złudzenia rozleciały się, jak szpilki zrzucone z gotowalni razem z serwetką. Trzasnęło szkło flakonu. Sypialnię wypełniły opary rozlanych perfum. Zbierając szczątki i porządkując swe gospodarstwo, kobieta odszczeknęła:

— Sam jesteś winien... Jeszcze mąż się nazywa... Wieleś mi dał przez ten miodowy miesiąc!

Spod porcelanowej otoczki wychyliła się na jedno mgnienie dawna Serafina Piotrowna, zmierzyla Leonida Iwanowicza żywym, niszczącym spojrzeniem i natychmiast wycofała się. Rzęsy podniosły się i opadły. Zgasł rumieniec zalewający policzki. Usta, już gotowe do uśmiechu, przyjęły kształt serduszka.

— Wybacz, kochany, wybacz! Kocham cię do szaleństwa. Wyznaję moją szaloną, tragiczną winę — powiedziała jakimś przeciągłym, nieco sennym głosem. — Nie podobna wyrazić w słowach moich uczuć do ciebie...

Lonia trzasnęła drzwiami i zostawił tę malowaną lalę — niech sama grzebie się w swoich uczuciach! Gdy znalazł się u siebie, w lokalu sztabu, zmienił ubranie i w pośpiechu oblał się wodą. Prześladował go gryzący zapach plugawych kobiecych perfum.

Od tego dnia Serafina Piotrowna nie mogła już skarżyć się, że mąż poświęca jej za mało czasu. Całymi godzinami chodził koło jej kanapy, jak wilk w klatce, podczas gdy Serafina z podciągniętymi nóżkami, marszcząc czołko, starym przypominała sobie przeszłość.

— Również obracał się w moim widnokregu dyrektor klubu. Twój imiennik, Leonid Grigorjewicz. Bardzo oryginalna i wykształcona osoba. Z dużym poczuciem humoru. We dwójkę bardzo przejmowaliśmy się Händlem. Na pożegnanie podarował mi książkę japońskiej liryki z napisem: „Ty nie jesteś Serafina, tylko — Hiroshima; wszystko u ciebie miałem i wszystko wraz z tobą straciłem”. Widzisz: wszystko stracił. Później w ciągu pół roku włóczył się za mną Tewosjan. Ormianin. Zazdrośnik. Bardziej zazdrośny niż ty. Dusza i ciało marynarza. Kiedyś przypadkowo spotkał mnie z Izią pod ręką i chciał go zarąbać tasakiem. Ale Izia nie liczy się. Prawie podłotek. Jaskrawo semicki typ. Słabowita roślina. Błado błękitny kwiatek Nowalisa. Ale gdybyś mógł sobie wyobrazić jaką żywotność posiadają te słabowite ździebelfka! Nawet nie wiem, czy ci o nim opowiedzieć. A nuż znowu poczujesz się urażony, chociaż...

— Opowiadaj! Wszystko opowiadaj! Wszystkie tajniki wykładaj! — burczał Leonid Iwanowicz i, groźnie przytupując, biegał koło kanapy, na której Serafina Piotrowna, niczego nie ukrywając, z dokładnością automatu, odtwarzała dzieje swych przygód sercowych.

— Zdarzyło się, żeśmy spędzili trzy doby na lotnisku w Ozierkach i nawet ani razu nie wstaliśmy, żeby zachwyć się przyrodą. Izia osobiście podawał do rozkładanego łóżka biszkopty i mocny rosół. Tego rodzaju delikatność u mężczyzny spotkałam tylko raz jeszcze, u podpułkownika Ałmazowa. Poznałam go w pociągu, w osobnym przedziale, w drodze do Lubimowa. Stary już, ale bardzo jeszcze żwawy. Mówiłam do niego *mon colonel*, chociaż między nami prawie nic nie było. To był niemal platoniczny romans, jeszcze bardziej przelotny, niż z doktorem Linde. Wyobraź sobie, kochany Leonidzie, że zanim nasze losy spotkały się ze sobą, z nudów trochę zakreśliłam w głowie naszemu doktorowi. Ale popełniłam to głupstwo zaledwie dwa razy i...

— Milcz! Zapomnij! — wykrzykiwał Lonia, nie będąc w stanie wytrzymać tej tortury. — Zapomnij o wszystkich! Słyszysz? Nie miałaś żadnego męża oprócz mnie! Żyjąc ze mną, masz pogrzebać na zawsze twoją drobno-mieszczańską przeszłość...

Ale nazajutrz, gdy Serafina Piotrowna o wszystkim już zapomniała, oczyszczona z grzesznej przeszłości i niewinna jak sześćioletnia dziewczynka, Lonia znowu żądał, żeby sobie to i owo przypomniła, uzupełniła i uzgodniła.

— Z kimeś się puszczała przed poznaniem Dżyngis-chana?

— Jakiego Dżyngis-chana?

— No, tego Ormianina, który o mało co nie zarznął... I powiedz konkretnie: sypiałaś z tym Händlem, czy nie sypiałaś? Znowu coś ukrywasz? Odpowiadaj! sypiałaś czy nie? Czego się śmiejesz? Śmiech śmiechem, a ty mi pokaz całą podszewkę! Ja ci się pośmięję!

Nie, Serafina Piotrowna nie była taką rozpustnicą, jak to wydawało się Loni. Z całą uczciwością, byle by zaspokoić jego życzenie, rewidowała samą siebie i nitka po nitce zbierała wszystko, co zdarzyło się w jej życiu i mogło zaświadczyć o jej całkowitej szczerości. I co tu udawać! Któż kobieta, zwłaszcza jeśli znajduje się w samym centrum postępu, wykształcona, interesująca, nie potrafi, rzucając spojrzeniem na swoją przeszłość, sklecić z tego całkiem przyzwoitej całości? Wszyscy pragniemy, mając do czynienia z babami, żeby zawsze były niewinne i bezgrzeszne, no, ale to im nie konieczne wychodzi...

Tichomirow dobrze jednak wiedział, że bawi się z ogniem, że rozpalając zazdrość mężczyzny, wycieńcza siły społecznego działacza i głowy państwa. I mimo to z uporem geologa w dalszym ciągu badał serce nieszczęsnej Serafiny Piotrowny. Bowiem bezgraniczna jest zuchwałość, usiłująca przeniknąć zarówno tajemnice białka, jak sekrety atomowe i głębokie kopalnie spragnionej miłości duszy kobiecej. Człowiek tak już jest skonstruowany, że nie może zatrzymać się na drodze naukowego poznania i powstrzymać zapędów zazdrosnego umysłu, któremu nigdy nie dość paliwa, choćbyś nie wiem ile go podrzucał...

Naukowa praca tak bardzo porwała Lonię, że nawet robił próby, zawieszając blokadę, żeby móc obserwować rozwój kobiety w naturalnych warunkach. Powstrzymując oddech, z przerażeniem i zachwytem patrzył, jak w porcelanowym ciele lalki odradza się postać dawnej, niedostępnej Serafiny Piotrowny. Ruchy jej stawały się nagle kanciaste. Przystawała dbać o swój wygląd i wałęsała się rozmamłana, rozrzucając po pokojach toaletowe drobiazgi. Rozrzucała przedmioty, niby żołnierz na postoju, ubliżała i pokrzykiwała, jakby nie on, nie Leonid Iwanowicz, lecz ona tu była gospodynią:

— Podaj mi pończochy! Wiszą tam na fortepianie. Na fortepianie — powiedziała! Ogluchłeś, czy co?

Po czym pchała się do polityki.

Swego czasu, pragnąc uwolnić się od jej narzucania się z pieśzcotami, Lonia zaproponował Serafinie Piotrownie objęcie kierownictwa ministerstwa kultury, Obecnie złapała się za publiczną oświatę. Natychmiast zażądała rozszerzenia szkolnego programu i wyznaczyła dla starszych klas lekturę dwóch powieści, Feuchtwangera i Hemingwaya — „Fiesta”, „Żyd Süß” i „Szkardna księżna”. (*Książki te, choć we właściwym czasie wycofane z użytku, przez niedopatrzzenie zarzuciły się pod szafą w bibliotece publicznej*).

W tym wypadku Lonia nie stosował nacisku woli, a tylko przy pomocy zwykłej logiki i przykładów życiowych starał się jej wytłumaczyć, dlaczego nie możemy włączyć do szkolnych programów ani Feuchtwangera z Hemingwayem, ani Hemingwaya z Feuchtwangerem. Wypadnie pokojowe współistnienie dwóch różnych ideologii. Co powie Mao Tse-tung, co pomyśli Palmiro Togliatti, jeśli ich zawiadomią, że

w średniej szkole miasta Lubimowa Feuchtwanger współ-
istnieje razem z Hemingwayem i jeden nie wypiera drugie-
go?

— Co ty tam wiesz o kulturze Zachodu?! — odpie-
rała Serafina Piotrowna rozsądne wywody męża. — A zre-
szta — podarowałeś mi w dniu wesela miasto Lubimow,
czy nie podarowałeś? Czyje to posiadłości? Kto tutaj jest
carycą?

Ach, jakże Lonia ją kochał w tych rozstrzygających
chwilach! Jakże pragnął wzajemnej miłości, współczucia i
pochwał tej pysznej piękności, właśnie tej, a nie tamtej, co
w innym stanie prześladowała go pokornym, wiernym jak
pies spojrzeniem. Ale żeby ją podkreślić i wytrącić z równo-
wagi, wciąż z nadzieją, że dojdzie mimo wszystko, do zespo-
lenia *tej i tamtej*, Lonia zwracał uwagę, że jakaż to caryca,
jeśli wystarczy mu poruszyć brwiami, a zacznie czołgać się po
parkiecie jak najgorsze ścierwo. Więc raz po raz spinał ostro-
gami młodą wyścigówkę, drażniąc ją i podbechtując, aż roz-
wścieczona stawiała dęba i w rozjuszeniu, jeszcze urodziw-
sza, rzucała się ku niemu, grożąc i miotając obelgi. I prze-
czekawszy, właśnie wtedy włączał fałę, i kobieta, zasko-
czona zniecka, zaczynała kręcić się jak bąk na środku
salonu, waliła się na podłogę, jęczała w nagłych, upokarza-
jących napadach namiętności i jak bydlę czołgała się, wijąc
się po podłodze, i błagała o pocałunki, a on trwał, nieruchomy
jak posąg, i nie dopuszczał jej do siebie.

Niekiedy jednak zdarzały się niespodzianki, a im dłużej
trwały doświadczenia, tym częściej te niespodzianki powta-
rzały się. Zwalwszy się na podłogę, Serafina Piotrowna, za-
miast wykonywać wyznaczony jej program, zaczynała rzucać
się i zawodzić, wywnętrzając się w bezmyślnym babskim
opętaniu.

— Ajajaj, ty diable kosooki popieść kosooki diable zli-
tuj się zamordujesz pali się jak słodko rodzić szczenięta z
kłami w pysku Feuchtwanger nie mogą rozduścić portki czołgi
idą wyciągnę torbiel czołgi idą odgryźć chcą czubaty uciekaj-
my do Leningradu...!

I choćby Leonid Iwanowicz raz po raz włączał i wyłą-
czał fałę, nie był już w stanie zmienić samopoczucia Serafiny
Piotrowny. Widocznie, ktoś inny włączał się w tym sa-
mym czasie do eksperymentu i warcholił na podłodze, opa-

nowując rozchwiany system nerwowy Serafiny. Wówczas Lonia, aby kobieta ostatecznie nie dostała bzika, wtrącał ją w senność. Sposób ten jak na razie działał nieomylnie. A po paru dniach w mieszkaniu znowu zapanowywało to ciche, rodzinne piekielko, które już weszło im w zwyczaj.

Leonid Iwanowicz miał jedno pewne schronienie — u wiernego przyjaciela i pomocnika, Witka Koczetowa. W piwnicy sztabu urządzono mu coś w rodzaju klasztornej celi, czy komórki, taki podręczny warsztat pracy. On sam powyrzucał stamtąd wszystkie graty i przysposobił lokal pod względem technicznym. Ledwie zejdziesz do piwnicy, aż serce raduje się, czego tam nie ma! Na ławach, na eleganckich półkach, na gwoździach wszystko co potrzeba: obręcze, świdry, młotki najrozmaitszego rodzaju, plastyczne wyroby, słoidki z chlorowodorem, galwaniczne wanienki, aparaty do lutowania. A z boczków umiejscowiły się gabarytowe imadła i spoiste kowadło. Ledwie spojrzysz na te imadła, jużbyś chętnie przejechał się raszplą. Popatrzysz na kowadło, zaraz byś rąbnął kowalskim młotem albo fugownikiem.

Kiedykolwiek byś nie przyszedł, żeby odwiedzić, w świetle kaganka garbi się postać przyjaciela. Rozmowy nie zaczyna, pytań nie zadaje, tyle że chwilami poświstuje melodię walczyka z filmu „Młodość Maksyma”. Mówisz do przyjaciela:

— Witeczku, śruba!

— Leci śruba! — odpowiada Witek i bez zwłoki jednym ruchem obcęgow przywołuje do porządku anarchistkę, która nie chce trzymać się swego gniazdka.

— Witeczku, dłuto!

— Leci dłuto!

Schwycił, podrzucił, zakręcił wichajstrem i już bez nerw: tak ci zawinie i przykatrupi — mucha nie siądzie.

— Witeczku, tulejka!

Chwyta za dryl i szoruje w tulejkę, aż przez otwór zacznie przechodzić świadome swej odpowiedzialności powietrze. I tak oto, zabawiając się, sami nie wiedząc jak i kiedy, przyjaciele odstawili rower na sto dwa.

Gdy chodziło o transmisyjne mechanizmy, przy sprzęganiu zębatych kół, Lonia, sięgnąwszy do tradycyjnych sposobów, pokazał najwyższą klasę. Witek miał inne przyzwyczajenia: znał się na elektryczności i orientował w ciepło-

technice. Z jego inicjatywy zreperowano miejski szyber. Również odważnie dał początek eksperymentom z płynnym paliwem, które by zastąpiły benzynę. Bez paliwa, jakbyś nie mądrował, napędu nie wykombinujesz. Cóż robić? Nauczyli się pędzić paliwo z tłuszczów roślinnych.

Jeśli jednak chodzi o konstrukcję magnetycznego wzmacniacza wysyłanych fal, niestety, tempo pozostawało w tyle za wymogami życia. Trzeba było budować bez niczego, z braku wszelkich arytmometrów i kondensatorów. A ile kłopotów z różnymi oporami: intrygi wrogów, zdrada przyjaciół...

Któregoś dnia, podczas gdy Leonid Iwanowicz na swoim mocnym rowerze począł polną drogę w sprawie organizacji żniwnej, do pracowni weszła szefowa.

— Dziękuję, już zjadłem — odpowiedział grzecznie Witek na zaproszenie na wspólne śniadanie. Z zakłopotaną miną wmontował czym prędzej w imadło nieodrobioną sztabę i zaczął ją szturczać pilnikiem. Ze niby proszę wybaczyć ale niecierpiąca zwłoki wytwórczość trzyma mnie w oddaleniu od apetytu szanownej obywatelki. Nie miał siły podnieść oczu, by spojrzeć na Serafinę Piotrownę. Oślepiła go spojrzeniem, które mówiło zawsze to samo: „Choćbyś był nawet Garibaldim, to i tak, chłopczyku, przede mną nigdzie się nie schowasz”.

— Prawda, Witeczku — Serafina Piotrowna poprawiła uczesanie takim idealnym ruchem, że u każdego mężczyzny wszystko musiałoby wewnątrz zastygnąć — prawda, Witeczku, że braliście udział w rozbrojeniu bandy Berii? Proszę opowiedzieć... ach, nie! nie opowiadajcie! zupełnie zapomniałam jakie ciężkie kary spadają na niedyskretnych wywiadowców... Wiecie, ja sama kiedyś marzyłam, żeby dostać się do wywiadu. To takie interesujące! Niebezpieczne związki... Tajemnicze spotkania... Tragedia kobiety, która ryzykując życiem, zmuszona jest do picia szampana z pierwszym lepszym dyplomatą, chociaż jako człowiek niczym jej nie imponuje, ale jeśli trzeba, to trzeba, i oto, nieszczęśliwa, zanosząc się śmiechem, rozkłada mu młode ciało na szafocie...

— Nie bardzo mi się widzi, szefowa, kogo macie na myśli — z zażenowaniem odpowiadał Witek. — Przecież wiecie dobrze, że rzuciłem tę przekłętą pracę.

Nie odchodząc od warsztatu, zerknął spode łba na jej

kolano, wysuwające się spod szlafrocza całkiem przyzwoicie, ale jakoś przesadnie wypukłe, że patrzeć na nie nie podobna.

— Witeczku, proszę rzucić hebel! Dość już tego maskowania się! Nie wydaję was. Zrozumcie nareszcie — jestem także w niewoli, nie jestem żoną tego despoty. Jakież z niego mąż? Nawet nie należałam do niego ani razu... Uciekajmy stąd we dwoje! Pomogę wam wykraść z kasy ogniotrwałej jego papiery. Wojskowe wykresy. Po ich stracie tyran utraci nad nami wszelką władzę. Już ją utracił. Jestem w waszych rękach... Witeczku, słyszycie? Cała jestem w waszych rękach!

Strumyki potu łączyły się na brzuchu, oplątując jak gdyby pasem atletyczne ciało. Żelazo paliło skórę. Rozżarzony pilnik śpiewał i płakał w dłoniach jak skrzypce. Ale nie mógł zagłuszyć słów uwodzicielki — nacięcia na pilniku były zbyt drobne.

— ...Według tych wykresów skonstruujemy w Leningradzie rozruchowy silnik. Podniemiemy nowy sztandar... Poprowadzimy wojska na Lubimow... Urodzę wam syna. Będziecie księciem małżonkiem. Wice-królem. Faworytem. Zapewniam was, Mao Tse-tung wyciągnie do nas dłoń przyjaźni. W najgorszym razie poświęcimy na jakiś czas Środkową Azję. Oddamy Kaukaz. Przerzucimy pożar do Europy. Witeczku, proszę ze mną nie żartować! Nie mam na widoku jakiegoś tam rejonowego ośrodka. Obiecuję, że...

Czego jeszcze, jakich marcepanów nie potrafi naobiecować zbzikowana baba, która utraciła panowanie nad sobą? No, cóż dobrego może zaproponować naszej ojczyźnie? Anarchię. Wyłącznie anarchię. I powszechną wojnę domową. Zasadzki na drogach, wykolejone pociągi. Pod czarnymi sztandarami. W różowym szlafrocze. *Pociągi z obnażonymi kolanami staczają się z nasypów.* Kolanko. Zębate kółka. U tej zarazy bufory sterczą pod ubraniem. Najpierw koronki, po nich bufory. *Pociągi, zgrzytając buforami, walą się z nasypów.* Byle by imadła nie skreć. Patrz, jak się rozżarzyło, Pożar. Szastał portkami. Kaukazu nie oddam. Ech, zostać faworytem i pohulać po Europach! Obróć się do mnie Europą, szczebiotko, a ja do ciebie przodem. Poświęcić? Rosję poświęcić? Znowu anarchia. W koronkach, w *pociągach, które zlatują...* Dokąd? — ty, przeklętnico!

Trzymając pilnik jak bagnet, Witek rozprostował ramiona i zagroził drogę wargami, nieugiętymi jak obcęgi.

— Nie podchodź bliżej, szefowa. Skrzywdzić cię mogę. Za Rosję, za miasto Lubimow, za serdecznego przyjaciela Lonię, życia nie pożałuję...

Po tej scenie Witek dłuższy czas poświęcał melodię walczyka i zastanawiał się, czy ma powiedzieć naczelnikowi, że mu się żona skurwiła. Postanowił na razie nic nie mówić, żeby Leonida Iwanowicza nie wyprowadzać z równowagi. I tak nie brakowało mu powodów do zdenerwowania.

Co prawda, to prawda. Nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę nasz Lonia tracił swoją bohaterską siłę i coraz rzadziej używał magnetyzmu, stosując najczęściej sposoby czystego entuzjazmu. Powołując się na mój starczy wiek, złożyłem na jego ręce oświadczenie o odejściu z państwowej służby, a on nawet nie zaoponował, tylko zapytał z wyrzutem:

— Cóż to i ty, Sawielij Kuźmiczu, uciekasz jak szczur z tonącego okrętu? Inni na wszystkie strony zerkają i ty także w tym kierunku?

— Nie, wcale nie tam — powiadam i podchodzę do pulpitu, przy którym siedział Lonia, studiując mapę okolic miasta. — Rzecz w tym, że już czas, żebym w ciszy własnego domu zabrał się do pamiętników i opisanie twoich bohaterskich czynów, bo tu w sztabie, przy żarówkach sygnalizacyjnych wiele nie skomponujesz. A jednocześnie trzeba by o grządki się zatroszczyć, marchewka pielenie lubi, a i w narodzie jakoś złodziejstwo zaczęło się rozpowszechniać, wczoraj podkaraulili gąsiątko, na którego jednoosobowe posiadanie ty sam dałeś mi pozwolenie. Więc teraz przystępuje z bliska do napisania kroniki, o czym już od dawna rozmyślam, spacerując, zgodnie z twoim własnym rozkazem...

— A ty, widzę, fasonu sobie dodajesz — Lonia obejrzał mnie zaczepnie. — Proszę co za koszula, krawacik, spiniki, zupełnie jak jakiś *stilaga*. Przypadkiem nie zamierujesz zagranicę się urwać? Toś się spóźnił: ubiegłej nocy cała partia zdrajców uciekła z miasta...

— Mówię wam, że chcę zabrać się do pisania. Jakże uciekać od artystycznego obiektu? Wybyście mi, Leonidzie Iwanowiczu, rację żywnościową powinni wyznaczyć według wyższej kategorii, skoro odtąd jestem twórczym pracownikiem i działaczem artystycznym.

Zasmucił się mocno i zaturbował, widocznie na myśl o przydziałach, obrachunkowych dniówkach i trudnościach żniwnych, i zainteresował się w roztargnieniu, w jakich to mianowicie słowach mam zamiar opisać nasze cudowne życie. Wobec tego wyciągnąłem zza pleców bukiet, przygotowany właśnie na tę okoliczność — na uroczyste pożegnanie z Leonidem Iwanowiczem. Ustawiłem bukiet na widocznym miejscu, poprawiłem krawat, wysunąłem spinki i, zonglując zeszytem z konspektem wygłosiłem następujący monolog:

— Jakiż to piękny bukiet! Jaki świeży! Jak oddycha wszystkimi kolorami i woniami przyrody, ten wspaniały bukiet polnych kwiatów, rosnących w nadmiarze na naszym wilgotnym gruncie! Proszę tylko spojrzeć, ile tu wytwornego kunsztu i przyjemnej pstrokacizny. Oto szczuplutka kaszka efektownie podkreśla i uwydatnia mięsistą soczystość malwy, zaś figlarny jaskier całuje czołko nieśmiałej margarytki. Niechże i w naszej opowieści słowa, jak kwiaty w bukiecie, gaworzą i rozprawiają na wszystkie sposoby. Niech jedno słowo stanie się roześmianym bławatkim, zaś drugie dumnym bordowym pomponem chełpliwej koniczyny, a inne jeszcze niech będzie wyszukanie blade i marząco aromatyczne, na podobieństwo girlandy rozkwitłego jaśminu. Niechaj słowa rosną i wyginają się na cieniutkich nóżkach, niech rzucają się w oczy i zabawiają się w przyjacielskim korowodzie, rywalizując co do struktury, piękna i wykończenia płatków, dzwoneczków, festynów i grzebyczków. Albowiem taka jaskrawość i pompatyczność stylu odpowiada naszym przyrodzonym potrzebom i wyraża rozkwit miasta Lubimowa z jego malowniczą biografią i świetnym kierownictwem...

— Dobrze, dobrze... — powiada Lonia i nawet pod wrażeniem tego przemówienia wysmarkał się w chustkę. — Piszesz bardzo kwieciście. Ale nie widzę w tobie, Profesorsow, ideowej jasności i serdecznej prostoty. A przy tym twoje słowa — zwróć uwagę na tę artystyczną wadę — jakies takie podstępne, z grymasami i w ogóle z siebie pokrecony i zdradziecki futurysta. Błazna może udajesz? Głupkowatego opętańca odstawiasz? Czy też jakaś niewyżyta, chytra obłuda w tobie siedzi?

Taką krytykę rozprowadził pod adresem mojej sztuki, że już nie chciałem z nim rozprawać, gdzie mianowicie i dlaczego siedzi we mnie ta zgnilizna i natrząsanie się nad czo-

wiekem. Ale że i wstyd i sumienie posiadam w dużej ilości, to wykazałem mu bardzo przejrzyście.

— A ja właśnie jestem jak ta niewinna dziewczica, która nie życzy sobie cnotki postradać! — oświadczyłem i nie wiadomo po co wystawiłem do przodu jedną nogę. Stojąc w takiej pozycji, przedstawiłem mu ze wszystkimi szczegółami, jak nasze dziewice ratowały się przed faszystowskimi ciemiężcami. Żeby odebrać Niemcom apetyt na swoje białe ciała, smarowały się dziegiem i krowim łajnem, hodowały na sobie robactwo, śliniły się przy każdym słowie, i tak odstawiały brudasów i kretyнки, wyczekując aż powrócą zwycięscy narzeczeni, cali w czerwonych gwiazdach. Czy to mało przykładów...? U nas w Rosji z dawien dawna uważa się mądrych ludzi za durni, a uczciwych za oszustów, co wywodzi się nie z czego innego, tylko z naszego rosyjskiego sumienia, które podpowiada, że nie należy wystawiać na pokaz wstydlivej duszy, jeśli się jej uprzednio nie popłami jakimś paskudztwem. Niekiedy zaklniesz nieprzyzwoicie, ukradniesz to i owo, skłamiesz, albo na sianie uczynisz nieodpowiedzialny krok w stosunku do żony sąsiada, a wszystko w tym wyłącznym celu, żeby uchronić nienaruszoną duszę, jak pod pancierzem, duszę, która, jak najdroższy klejnot szkatułki, wymaga solidnych zamków...

— Powiedz-no, Sawielij Kuźmiczu — przerwał mi Tichomirow, zajęty własnymi troskami — nie trafiłeś przypadkiem na księgę, która znajdowała się w naszej kasie ogniотrwalej? Ta sama... starożytna, oprawna w grubą skórę...

Wyszło na jaw, że chował ją, opieczętowaną, w swoim gabinecie, w żelaznej skrzynce, tekstu nauczył się na pamięć, nigdy więcej tam nie zaglądał, zaś klucz nosił na sznurku zawieszonym na szyi, niby krzyżyk, całkowicie spokojny i pewny siebie. Niedawno zapragnął odświeżyć w pamięci jeden urywek o promieniowaniu psychicznej siły, chwytając za skrzynkę, a tam pustka, chociaż zamek nie rozbity i pieczęcie nienaruszone. Wtedy i mnie olśniła myśl, że poza Samsonem Samsonowiczem nikt nie byłby w stanie przeprowadzić takiej rekwizycji. Nieboszczyk dziedzic podrzucił nam podręcznik i, gdy przyszły terminy, zabrał swoją własność.

— Znowu z tymi bajkami! — wymigał się Lonia znużonym tonem i, przeczekawszy chwilę, zapytał, czy nie pa-

miętam dokładniej, w którym mianowicie miejscu naszej płytkiej rzeczki utopiliśmy wiosną amunicję milicjantów. Ażem zmartwił: no, braciszku, doczekaliśmy się — przyszła kryśka na nasz umysłowy interes. Ale powiedziałem głośno, żeby po raz ostatni pocieszyć dowódcę:

— Uszy do góry, kochany naczelniku! Nie wszystko utopiliśmy. Jeśli poszukać po chałupach, to tuzin, albo dwa fuzyjek jeszcze nabierasz... Spójrz-no, na niebie przejaśnia się. Da Bóg, ustali się pogoda, zwieziemy żyto. Poprawi się wszystko, zbierzemy siły, dociągniemy do jesieni. Wtedy żaden nieprzyjaciel przez nasze lasy nie przelezie. Lonia, nam żeby tylko do jesieni dociągnąć...

A we wnętrzu, pod pancierzem, dusza we mnie aż skomli: nie dociągniemy, nie dociągniemy...

Po rozstaniu się z Leonidem Iwanowiczem, Proferansow szedł tak zamyślony, że nie dostrzegł kiedy wyminął szlabany, opłotki, ogrody i znalazł się przy ostatniej chałupie, przykucniętej w wierzbowym gaiku, na bagnistym brzegu wąskiej rzeczki Lubimowki. Ciepławe słońeczko pohuściwało się na ciężkiej, ciemnej wodzie, zbliżała się szósta godzina. Popiskiwały komary. Od lasu zanosił kwaskowaty dym. Od dziobatej młódki, płuczącej w rzeczce bieliznę, Sawielij Kuźmicz otrzymał wiadomość o jej współlokatorze. Daleko od hałasu, wolny od wszelkich państwowych ciężarów, odpoczywał tu niby jakiś letnik, poświęcając się łowieniu ryb. Młódka przesłoniła twarz dłonią w mydlinach i zawołała piskliwie w barbarzyńskim dialekcie:

— Semion! Siomka! Kajżeś, psiajucho, odknajał? Tutaj jakichści jenteligent za tobą szuka...

— E-he-hej, myśmy tu! — doleciał głos od brzegu, z niedalekiego sitowia.

— Jak tam zdrówko, Siemionie Gawriłowiczu? — Proferansow skłonił się wędkarzowi i usiadł obok, na wiaderku, postawionym do góry dnem.

— Jak się masz — odezwał się, nie patrząc, Siemion Gawriłowicz Tiszczenko, całkowicie pochłonięty wpatrywaniem się w pływak.

Milczeli jakiś czas. Potem zapalili. Częstując samosiejką, Sawielij Kuźmicz wyraził swoje współczucie:

— Pomyśleć tylko, towarzyszu Tiszczenko, do jakiej dziury was odchyleńcy zesłali!

— Nikt mnie nie zsyłał, sam przeniosłem się — odparł były władca i miejski sekretarz. — Tu łatwiej na ryby chodzić i powietrze lepsze dla zdrowia. Co cię tu przyniosło?

— A co? Pierwszy przychodzę...? Weźcie pod uwagę, Siemionie Gawriłowiczu, że najpierwszy w mieście — stary podskoczył na wiaderku — przybyłem, żeby zdeklarować lojalność w stosunku do linii generalnej i oświadczyć, że nie zamierzamy tolerować...

— Powiedzmy — nie najpierwszy... Niedawno doktora Linde także tu przyniosło... że niby padł ofiarą carskiego reżymu... I co mu do łba strzeliło?

Sawielij Kuźmicz roześmiał się i opowiedział świeżą historyjkę, w którą wpakowała się nasza nadworna medycyna. Kiedy wyszły na jaw zeszlóroczne konszachty doktora z Serafiną Piotrowną, został on zdegradowany z naczelnego lekarza na felczera. Linde trzymał swoją tajemnicę w takim sekrecie, że Proferansow dowiedział się o wszystkim dopiero teraz, choć przecież taki przyjaciel i zawsze doskonale poinformowany o miłosnych projektach doktora. A ponadto udało mu się wywąchać, że niedawno w nocy w mieszkaniu Lindego zjawiała się sama caryca i namawiała go do wspólnej ucieczki. A ten nawet przez drzwi jej nie puścił. Wyszedł przez lufcik swoją wąsatą mordę i szepcze:

— Spływajcie, obywatelko. Jesteście niespełna rozumu. Jakiego tu, u diabła, kochanka szukacie? Nic absolutnie między nami nie było...

Tiszchenko smutnie westchnął i splunął do wody.

— A przecież w dechę była kobitka...

— Cóż znowu, Siemionie Gawriłowiczu — sama skóra i kości, wstrętnie na nią popatrzeć... Mnie osobiście tłusciutki bardziej odpowiadają... No, więc proszę, nie zapomnijcie... Ja także ucierpiałem, ze względu na przekonania. Tichomirow z posady mnie wyrzucił. Kiedy powrócicie z tego wygnania i staniecie u steru...

Przez flegmatyczne oblicze wodza w niełasce przeleciał cień niezadowolenia.

— Jaki tam znowu ster? Doskonale się tutaj czuję. Wyjdę na emeryturę, usiądę sobie na brzeżku... Wiesz co, przyjacielu, zaraz ryba zacznie brać. Weź zapasową wędkę, albo nie przeszkadzaj.

Proferansow posłuchał. Wziął drugie wędzisko i usadowił się w pobliżu. Ryba brała raz po raz. Powolna rzeka

toczyła zamulone fale. Cięły komary. Przygrzewało słońce, pociągał wiaterek. W Lubimowie ustalała się zwykła pogoda.



Nigdy nie udało się stwierdzić, z kim uciekła z miasta Serafina Piotrowna. Tego dnia zniknęło ponad dwadzieścia osób, w tej liczbie dyrektor szkoły, który zwiął na szkolnej bryczce zaprzężonej w państwowego konia. W sztabie Leonid Iwanowicz wykrył również straty: tapety z banknotów były popsute przy pomocy żelazka, brzytwy i szpilek. W ostatecznym wyniku uciekinierka zdołała wydłubać z tapet jakieś pięć tysięcy. Pytanie tylko, jak i gdzie uda się jej spławić te strzępy.

Tichomirow nikogo nie ścigał. Z obojętnością pogorzelnca obchodził rodzinne dzielnice, wszędzie rozpoznając ślady niezrealizowanych poczynań. W tym oto miejscu zaczęto budowę sportowego stadionu: zdążono wykopać rów i zburzyć do połowy klasztorny mur. A tam zaprojektowano Pałac Ślubów z fontanną Miłości, wszystko na cześć aktualnej zdrajczynie i złodziejki państwowych funduszy. Jeszcze dalej, we mgle nadchodzącej przyszłości widniały projekty Pałaców Pracy, Nauki, Pionierów, Sztuki Realistycznej i wreszcie całkiem niewielki Pałacyk Montażu i Remontu Rowerowych Mechanizmów...

Wśród niedokończonych pomników, nieposadzonych kwietników, na żwirze, w wapiennym kurzu bawiły się dzieci. Ponure chłopisko z całym spokojem, bez żenady, na oczach u wszystkich, odlewał się do wykopu, w którym nie dokończono betonowego fundamentu. Nikt nie pomyślał, żeby na niego krzyknąć i nawet sam Głównodowodzący jedynie skrzywił się z obrzydzeniem i przeszedł obok, nie zwróciwszy mu uwagi.

Tu i ówdzie, wzdłuż rozkopanej, zabałaganionej alei leżeli pijani. Niestety, doprowadzili oni siebie do takiego moralnego rozkładu nie pod hipnozą, lecz pod wpływem nielegalnej siwuchy, którą zaczęto pędzić ze zgniłych kartofli. Nikt ich nie podnosił i nie zabierał z drogi Leonida Iwanowicza. Próżnujący lud skupiał się na ulicach w gromadki, hałasował, śmiał się, zaczepiał dziewczyny, rznął w oczko i w

orła i reszkę, zgrywał się w karty i znikał w podwórkach przy zbliżaniu się Głównodowodzącego. Lękano się go. Przy rozwalonym płocie Lonia dosłyszał, jak jakaś wiedźma przemawiała do rozumu łobuzowi:

— Jeżeli nie przestaniesz zachowywać się, jak chuligan, to cię oddamy Kosookiemu na mięsne konserwy...

Co im uczynił? W czym zawiódł ich nadzieje? Dla nich poświęcił życie, poderwał zdrowie, a wystarczyło, że wyczerpała się energia, i ordynarne dzikusy natrzęsają się nad bezsilnym dowódcą. Za własną zgodą i dla własnego pożytku ci ludzie przyzwyczajali się do dyscypliny, leczyli się z wad, hartowali się w pracy, brali udział w robieniu zapasów, przeprowadzanym tak łagodnie, że pomimo państwowych perspektyw, mieszkańcy mogli zatrzymać w rezerwie takie czy inne bydełko. Przecież ta sama diablica, która w tej chwili wzbudza w swoim diableciu nieufność do kierownictwa, błagała Leonida Iwanowicza, żeby jej odebrał kurczęta. Czuła się szczęśliwą na myśl o kulturalnym postępie i technicznym rozwoju, rwała się do stanowiska kombajnerki, chociaż taka czarownica zamiast siedzieć przy kierownicy agregatu, powinna jeździć na oklep na miotle...

Obrócił się nagle, słysząc paniczne gdakanie. Jakaś kura wyrwała ze wszystkich sił Aleją Wołodarskiego. Jej śladem pędziła na oklep na miotle ta sama, nie pierwszej już młodości, obywatelka. Niezdarny przyrząd nie przeszkadzał wdowie w pracy nogami tak intensywnej, że, wydawało się, za chwilę uleci w powietrze. Czyżby potrafiła wzlecieć? — pomyślał trwożnie Tichomirow i natychmiast amazonka, która w międzyczasie dogoniła naczelnika, odbiła się miotłą od ziemi i wzbijała się na wysokość jakichś sześciu metrów. Błysnęły bosa pięty, bezwstydne pośladki i z rekordowej wysokości baba grzmotnęła o strzechę drewnutni, schwytała oddech i wybuchnęła potokiem najwstrętniejszych przekleństw pod adresem kury.

— Co ona, zwariowała? Taki skandal — tylko patrzeć, zbiegowisko się zrobi! — powiedział w myśli Lonia. Ledwie sobie wyobraził taką możliwość, że wszystkich stron zaczęli biegnąć gapie. — Cóż to za nieporządek! — oburzył się na widok podnieconego tłumu, ciągle jeszcze nie domyślając się, że rozpoczynająca się epidemia zależy w całości od jego skaczących myśli.

Tak jest, u zmierzchu władzy i sławy miniona siła sugestii powróciła do niego w ustokrotnionym stopniu. Nigdy jeszcze Tichomirow nie rozporządzał takimi możliwościami kierowania masami i obdzielania ich tak niesłychanymi zapasami energii. Tylko własnych pomysłów nie potrafił już kontrolować i najmniejsze myślątko, niedostrzegalny zwój mózgowy, byle jakie głupstwo, które mu strzeliło do głowy, pobudzały otoczenie do natychmiastowego wykonania.

Czyż człowiek jest w stanie kontrolować własną duszę, czy może zdać sobie sprawę ze wszystkich zachcianek fantazji, buszujących w jego umyśle? Rozkazuje ludności: „Towarzysze, bez paniki!” — a jednocześnie na widok olbrzymiego parobka przychodzi mu na myślunek — „Ale byk!” Natychmiast dryblas zaczyna ryc ziemię podkówkami pudowych buciaków, ściąga brwi, ryczy jak byk i bodzie przechodniów, którzy ze spokojem wytrzymują jego uderzenia (przecież powiedziano, żeby bez paniki!), co jeszcze bardziej utrudnia i komplikuje sytuację.

Jeśli chodzi o rzeczowe podejście, czy to w brygadowych zespołach, czy według osobistych umiejętności, wszyscy uczciwie wykonywali polecenia Leonida Iwanowicza, a w ich liczbie nawet tacy, których istnienia w ogóle nie podejrzewał. Jedni z nich, w większości kobiety, obnażali się w nieumiarkowany sposób. Inni, w zasadzie mężczyźni, łączyli się w niewielkie gromadki, rozpoczynając bójki, podobne do zgodnej, kolektywnej pracy: bez krzyków, bez niepotrzebnych jęków. Jeszcze inni, przede wszystkim nierozumne dzieciaczki, stawali się na obraz i podobieństwo domowych zwierząt, które również, nie tracąc swego własnego wyglądu, nie zostawały w tyle poza ludźmi, przyłączyły się do zgromadzenia i wzięły udział w tym sojuszu najwyższej władzy i ludowej wolności. —

Kury piałły po koguciemu. Kozy usiłowały szczekać. Krowa przesadziła płot z głośnym miauczeniem. Olbrzym, który wyobraził sobie, że jest bykiem, podniósł się na duchu i rzucił się ku krowie.

— Ażebyś zdechł, przeklętniku! — Leonid Iwanowicz chciał powstrzymać pozbytego wstydu lubieżnika i troszeczkę przesadził: parobek ryknął rozdzierająco, osmalił swego niszczyciela niewidzącymi oczami i runął na łokcie, powalony udarem serca.

Nazbyt gwałtownych i konsekwentnych Lonia starał się rzucić na ziemię za pośrednictwem lekkiego zemdlenia. Ale coraz częściej, pomimo woli, zamiast pomyśleć — „zaśnij” — pozwalał, że mu się wyrывało — „umrzyj, umrzyj!”. Wówczas spacyfikowani już się nie budzili ze snu.

W pewnej chwili, po skoncentrowaniu swoich myśli, udało mu się spowodować, że cały tłum zdrętwiał i przestał poruszać się. Wszyscy zastygli w pozach walki, rozpusty i zdziczenia. Patrząc na to kłębowisko wzniesionych i pokręconych stawów i przegubów, sam reżyser nie wytrzymał nerwowo. Jakiś głos mu szepnął: „Tamten staruszek, wyobrażający pieska, zaraz zaszczeka...”. I rzeczywiście, w wyniku tej mimowolnej myśli, staruszek zaszczekał i Lonia zmieształ się, i cisza eksplodowała nowym paroksyzmem szaleństwa.

Strzeżcie się roztargnionych myśli... Nie prowadzą one do niczego dobrego... Uczcie się myśleć uważnie, po linii prostej, wyprowadzonej z miejsca, gdzie znajduje się pożądaný cel, po linii prostej, niespodziewanej, czystej i równej, jak strzała. Nie wymieniajcie się na drobne. Nie zanieczyszczajcie powietrza bzdurnymi pomysłami. Są niebezpieczne. Sami nie zdajecie sobie sprawy do jakich następstw mogą was doprowadzić.

Przyciśnięty do drewnutni, Tichomirow bał się poruszyć. Niechby wypowiedział zbyteczne słowo, niechby uczynił niezamierzony gest, kto wie, może by miasto Lubimow urwało się ze swego stanowiska i puściło się w prysyudy poprzez lasy i bagna. Jednakże wydarzenia rozwijały się już bez udziału Leonida Iwanowicza. Oto już przeleciała na miotle zwiastunka, która zainaugurowała ten wiec i miała czas upewnić się w tej powietrznej gimnastyce. Szybowała nad dachami, odstawiała różne figury i kołowała jak wiatrak, perorując bez związku i sensu:

— Ajajaj, ty diable kosooki popieść kosooki diable zlituj się zamordujesz pali się jak słodko rodzić szczenięta z kłami w pysku Feuchtwanger nie mogę rozduścić portki czołgi idą wyciągnę torbiel czołgi idą odgryźć chcę czubaty uciekajmy do Leningradu!

I znikła wraz z ostatnim okrzykiem. W jednej chwili sytuacja rozładowała się, wzburzenie ucichło. Baby na prędcę chwyciły swój nędzny majland i, przyodziawszy się byle jak, uciekały ku sadom. Dopiero stamtąd, nie pokazując się wię-

cej, przywoływały dzieci do domu. Mężczyźni ocierali krew, pędzili bydło, ciągnęli za sobą trupy. Wszyscy ciężko oddychali i spoglądali ponuro jakby po przepieciu. Nikt nie patrzył na drugiego. Ale czy w ogóle rozumieli, co z nimi się dzieje i co działo się przedtem? Tichomirow nie rozumiał.

— Ej, wy, co się stało? Dokąd idziecie?

Nikt się nie odzywał. Zamykano okiennice, zakładano zasuwę, zatraskiwano wrota. Wkrótce na drodze pozostała tylko kura, grzebiąca w kupie śmieci. Cip-cip-cip — chciał ją znęcić Lonia i powtórzył jeszcze głośniej:

— Cip-cip-cip!

Kura nie zwróciła żadnej uwagi na wołania Leonida Iwanowicza i z niezmaconym spokojem kontynuowała swoje śmieciarskie zajęcia. Nie bała się, nie uciekała, ale także nie chciała już wykonywać jego rozkazów. Przypatrując się kurze, Głównodowodzący spostrzegł, że ziemia zaczyna drżeć. Położył się na drodze, przyłożył ucho i zrozumiał: gdzieś bardzo daleko ledwie dosłyszalny turkot i wstrząsy...

Nie spotkał ani żywej duszy do samego Generalnego Sztabu. Miasto wymarło. I chociaż niedawne szaleństwo, jak wykazał pobieżny przegląd, ogarnęło tylko kilka ulic, wszyscy inni mieszczenie także siedzieli po swoich norach i nie wysuwali nosa na zewnątrz. Widocznie, przestraszył ich ten oddalony huk, obecnie dochodzący całkiem już wyraźnie.

Zanim Lonia doszedł do Sztabu, usłyszał, że wszystkie dzwonki w gabinecie trajkocą na alarm, i puścił się rysią. Drzwi — na oścież. Wiatr swobodnie hula po pokojach. Tapety — całe w szarpanych ranach. Ale technika łączności nie zawiodła i pracowała normalnie. Na całą szerokość tablicy zapalały się i gasły żarówki sygnalizacyjne, otaczając miasto błyskami na trwogę. Ich pierścień zaciskał się coraz bardziej. Lonia spróbował oderwać scyzorykiem storublowy banknot. Ostrze ześliznęło się. Dzwonki umilkły, żarówki przestały zapalać się. To znaczyło, że już zniszczono przewody na najbliższym przedpolu.

— Witek! Witek! — krzyknął Tichomirow, wyprowadzając rower. Witek nie odpowiadał. Pracownia stała pustką. Na podwórku grunt pod podeszwami trząsał się jak w febrze.

— Witek! — zawołał Lonia jeszcze raz i nacisnął pedał...

...Huk zbliżał się. Czołgi-amfibie szły na Lubimow z trzech stron. Przetaczały się przez parowy, przepływały bagna, druzgotały świerkowe zarośla i rachityczne brzezinki, wyłaziły, oplecione gałęziami, błotem, mułem i wodnymi liliami — brontozaury z wykopalisk, ale najnowszej, wszystko wytrzymującej konstrukcji. Ociężałe niezgrabiasze deptały zboża, rozwalaly płoty i chałupki napotkane na drodze, i nie było w tym ani złośliwości ani taktycznego wyrachowania. Kierowane przez radio z dużej odległości, czołgi nie były w stanie, pomimo najrozmaitszych odbiorników fotograficznych i uławiaczy dźwięków, rozeznac dokładnie, gdzie tu domek a gdzie drzewko, i szły pancernymi stadami, przebojem, bez ludzkich załóg, próżne, nie strzelając, a tylko wydeptując i wyrabując przejścia dla przyszłości.

Na spotkanie amfibii wyskoczył z ogródka jakiś człowiek z fuzyjką i, złożony się, wygarnął parę razy grubym myśliwskim śrutem. Był to Witek Koczetow, który nie życzył sobie aby miasto poddało się bez jednego wystrzału. Potwór, do którego strzelał, zatrzymał się, jakby nie wiedząc, co ma robić z takim przeciwnikiem. Wyteżył wszystkie swoje odbiorniki i uławiacze dźwięków i nic nie złośli. Pomilczał, pomyślał, postął, a potem, na wszelki wypadek kropnął wzdłuż ulicy krótką serią. Były detektyw i ostatni obrońca miasta Lubimowa nie wydał nawet okrzyku i padł, przecięty na pół.

Rozdział VII i ostatni

KOŃCOWE AKORDY

Pod koniec lata do popa Ignaca przywlekła się uboga wędrownica z dalekich, miejskich stron, z samego — powiada — miasta Lubimowa, skąd po nieprzejezdnych drogach będzie bodaj, ni wiele ni mało, jeno siedemdziesiąt siedem wiorst, a jak ona zdołała przejść tymi leśnymi drogami — tego ludzki rozum nie ogarnie. Przyniosła trochę twarogu w gałganku i trzy ruble w bilonie: żeby pop odprawił mszę na intencję zdrowia i pomyślności raba Bożego, Leonida, i nabożeństwo żałobne po zgasłym rabie Bożym, Samsonie.

— Pierwsza msza? Nieboszyk zmarł w tych dniach? — precyzował pop Ignac, który wszystko lubił robić dokładnie, według prawa, i zaraz dodał z szacunkiem na temat Samsona: — Starożytne imię!

— Starożytne, ojczulku, starożytne, bardziej starożytnego nie ma — ucieszyła się staruszka. — Jakie tam — zmarł w tych dniach...?

— A co, matuchno — zaciekał się ojciec Ignac — prawdę rozpowiadają, że niby w Lubimowie odbyły się jakoweś wielkie rokosze, harmider i strzelanie, złośliwe praw pogwałcenie i że poniesiono męczeństwo za wiarę Chrystusową i świętą cerkiew prawosławną?

— Odbyło się, ojczulku, wszystko się odbyło — odpowiedziała staruszka w jakiś nieokreślony sposób, ale opowiedzieć z sensem, jakie tam właściwie nieszczęście przydarzyło się, to już nie potrafiła.

Parafia ojca Ignaca — całkiem podupała. Na skraju świata, można powiedzieć, sterczy i trzyma się zmurszała cerkiewka, ale, być może, właśnie dlatego sterczy i trzyma się, że to na skraju świata i niewielu gości do siebie przyciąga, i wyłącznie głupim staruchom, którym dawno czas umrzeć, usiłuje dodać otuchy. Ale pop celebrował uczciwie, bez pośpiechu, i dawał sobie rady sam, bez niczyjej pomocy, więc na każdą mszę, patrzysz, obowiązkowo trzy albo cztery staruszki przyjdą, a w dni świąteczne dużo więcej. Także i dziś poschodziły się i rozlażyły po świątyni, niczym leśne grzyby, wielkie spróchniałe grzyby, rozpostarły się, rozkrzyżowały na podłodze — modlić się za grzechy ojców i synów, za żywych i umarłych.

Najpierw pop celebrował na intencję Leonida, potem odprawił mszę żałobną za duszę Samsona, i celebrował i kadił, i śpiewał i świece zapalał, a wszystko sam jeden. A chociaż babcia z dalekich stron byle co wsunęła mu do ręki, raptem twaróg w gałanku i trzy ruble bilonem, przyszła mu ochota, żeby wzmocnić, a może i naruszyć obrządek, odśpiewując psalm żałobny, przyniesiony na rosyjską ziemię nie skądś-tam, lecz ze świętej góry, z samego Atosu. Bardzo był ojciec Ignac rozkochany w tym żałobnym psalmie i wiedział, że potęga tej świętej modlitwy nie przyniesie szkody ani rabowi Bożemu, Samsonowi, ani w Bogu ufność pokładającemu miastu Lubimowowi, gdzie tego lata, powiadają zdarzyło się nieszczęście, och, zdarzyło!

„Ojcze nasz, rozraduj dusze drzewiej udręczonych aż do kresu burzami żywota. Ojcze nasz, niech pozbędą z pamięci wszelkie smutki i westchnienia doczesnego padolu. Ojcze nasz, uspokój ich na łonie Twym, jako matka dzieci swe uspokaja...”.

Ziemia uwalniała z trudem, powoli, niechętnie, ale mimo wszystko uwalniała. Dusza wstępowała ku górze coraz to szybciej, zapominając o wszelkich smutkach i westchnieniach padolnych, drząc i radując się tą szybkością, tym światłem, przenikającym jej lekką, pozbawioną wagi istotę, o niczym już nie myśląc, na nic nie pomnąc, prócz tak długo wyczekiwanego uwolnienia...

„...Zbaw, Panie, zgasłych w okrutnych udręczkach, na śmierć zabitych, żywcem pogrzebanych, pożartych przez ziemię, morską głąb i płomień, przez dzikie bestie rozszar-

panych, zmarłych od głodu i chłodu i od z wysokości upadku, a za smutki ich skonu spuść im Twoją radość wiekuistą... Ojcze nasz, spuść pożądany spokój zmarłym pod brzemieniem ciężkich trudów. Ojcze nasz, ukój smutek rodzicieli po utracie ich synów. Ojcze nasz, spuść światło wiekuiste wszystkim osamotnionym, ubogim, osieroconym, pozbawionych bliźniego, jenże by modlił się za nich...”.

Pop Ignac śpiewał, wznosił głos i trąbił namaszczoneym tonem. Tam w mieście Lubimowie, powiadają działo wielkie trzęsienie, diabelskie pokuszenie i prześladowanie, wiele krwi i wiele zgorzenia. Więc celebrując żałobne nabożeństwo, usiłował odkupić wszystko, co się tam nazbierało, i wyblagać przed Panem zbawienie grzesznych rabów Jego, jakkolwiek śmiercią i z jakimkolwiek ciężarem wypadnie im dokonać szybko przemijającego żywota. Ten wiejski pop nie miał dużego wykształcenia i nie wiele rozeznawał się w subtelnościach teologicznych, ale wykuł na pamięć, że choćby na całej ziemi pozostała tylko ta jedna jego cerkiewka, to i stąd, z samego skraju świata, będzie w dalszym ciągu ratować z nieszczęść grzechami skażoną ludzkość, żywych i umarłych, we dnie i w nocy, pracując jak wół, jak najmita, jak car, jak sam Pan Bóg, którego łaski są niewyczerpane, zaś trudy niezmierzone. Świadomość tej pożytecznej pracy i zaszczytnego obowiązku czyniła popa Ignaca pewnym siebie i wielkodusznym.

„Ojcze nasz — zawołał pop groźnie i uroczyście — bolejemy nad zawziętością występujących przeciw Zakonowi bluźnierców Twego Imienia i Twojej Świątyni. Ojcze nasz, niechaj spadnie na nich wola Twojego Zbawienia. Ojcze nasz, ulituj się nad zranionymi zatracającą niewiarą. Ojcze, nasz, twarde są ich grzechy, ale większe ponad nie Twe miłosierdzie. Ojcze nasz, wybac tym co skonali bez skruchy i win rozeznania. Ojcze nasz, zbaw którzy w zamroczeniu umysłu samych siebie wydali na zgubę. Ojcze nasz, oczyść ich dla modłów Tobie wiernych, wołających we dnie i po nocach. Ojcze nasz, dla niewinności młodzianków odpuść ich rodzicielom. Ojcze nasz, dla łez udręczonych matek odkup grzechy ich synów”.

Matki były tuż obok. Czołgały się po podłodze, podobne do grzybów, syrojadek, smardzów i siniuszek, spróchniałe, robaczywe, garbate i rozwaliste — jakim cudem jeszcze ży-

ją? — skąd biorą siły, żeby tu przypełznąć? — na co i komu są jeszcze potrzebne?



W kieszeniach — puchy, przy duszy — ani kulawego diabła, za nim — stryżek, przed nim — całkowita niepewność. Cóż mu poradzić w tak skomplikowanej sytuacji? Tylko jedno! wsadzić ręce w kieszenie i wieczorkiem, jak najpóźniej, szurnąć przez osiedle ku nieznannej stacji i daleko od dworca kolejowego, żeby nocną porą nie natknąć się na niepożądanego milicjanta, czekać, czy nie nadejdzie pociąg towarowy, a póki co, przespacerować się z rękami w kieszeniach.

Ech, kieszonki, intymne zakamarki, ostatnie, co pozostało samotnemu człowiekowi! Wydaje się, jaki z nich pożytek, z tych pustych kieszeni, a jednak wsadzisz dłoń w nogawkę i zaraz na sercu robi się spokojniej i cieplej. Bądź co bądź, jest chałupka, zaciszna buda, urządź się w niej ze wszystkimi wygodami. Poprzez przetartą, jak siateczka, tkaninę podszewki dochodzi pieśczośliwe ciepło twojej własnej nogi. Żeby tak wsunąć tam głowę, wpakować się całym sobą do kieszeni i siedzieć w słodkiej drzemce, wachając naiwną woń własnej skóry, zmieszaną z suchym zapachem okruców chleba!

Przycisnąwszy do brzucha resztki ciepła, przechadzasz się, zerkając, obok kolejowego nasypu i kryjesz się przed obławą między ubranie i własne ciało, w potajemne, niewidoczne istnienie, Gdzie ukryć się głębiej? Gdzie lepiej wypłakać się? Z kim, jeśli nie z własnymi kieszeniami, utniesz bardziej serdeczną rozmowę? Ech, kieszonki, przytulcie, bracie, udzielcie gościny bezdomnemu człowiekowi!

Żeby tak napić się. Przespacerować się po peronie. Za pan brat z królem. Z rękami w kieszeniach. Co komu do nas? — zaś nasza chata z kraju. A ot, jeżeli zatrzymają — „ręce do góry!” — wywiną kieszenie, trzaskną zamkiem karabinu — „ręce do góry” — i z wywiniętymi kieszeniami... nie, z wywiniętymi kieszeniami nie ma jak człowiekowi chodzić po ziemi.

...Na szczęście towarowy pociąg zahamował przed stacją, pochwycił go i ukrył w swoim potężnym składzie. Przykucnąwszy między wysokimi skrzynkami na lorze, Lonia

drzemał, spluwał od czasu do czasu i nie myślał o niczym. Nigdy jeszcze w życiu nie czuł się tak spokojnie i przytulnie. Ciężar władzy, udręki miłosne, troski o przyszłość, pamięć minionych lat — wszystko to odpadało precz i zostawało na kolejowych podkładach. Lonia wiedział, że teraz ma przed sobą starania o pieniądze i papiery osobiste, a także o jakieś łachy i o jakieś zajęcie, gdzieś jak najdalej, w Donbasie, w Czelabińsku, w Karagandzie... Ale był pewny, że jego losy jakoś się ułożą i załatwią same przez się, bez wysiłku, że podarują mu paszport na czyjeś nazwisko, nowy kącik do życia i pracownię naprawy rowerów. Stamtąd, z tej pracowni, napisze do Witka, ten przyjedzie i wszystko ułoży się jak najlepiej, bez wysiłku, skok na podkładzie — w Donbasie, łagodniej — w Czelabińsku, znowu — w Karagandzie. Pociąg zagwizdał cieniutko, usypiająco, jak tylko potrafi gwizdać Witek, gdy operuje przecinakiem i pilnikiem... Gwizdzący pociąg uniósł Lonię w swoich objęciach.



Profesorze! Dlaczego to milczenie, profesorze, dlaczego nie zjawiacie się, żeby kierować i podniecać moje pióro, zbliżające się już do finału? Gdzieście się podzieli? Dlaczego nie widzę żadnych waszych pieczętek i szlacheckich herbów na szarym papierze? Być może, sądzicie, że i ja umarłem, że miasto Lubimow uległo całkowitemu zniszczeniu i już nie ma tutaj niczego, co by zasługiwało na uwagę? Niepotrzebnie! Sytuacja nie jest jednak tak posępna, chociaż minął już rok, odkąd przestano nas zaliczać do rangi niepodległego królestwa i odzyskaliśmy dawne znaczenie regionalnego ośrodka. Naturalnym biegiem rzeczy, tego i owego schwymano, ten i ów zginął bez śladu. Cóż zrobić? Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą. Ale sporo domów i nawet całe ulice pozostały nienaruszone, inne odbudowane i już są zamieszkałe przez napływową ludność. Klasztor także istnieje. Ja także, jak widzicie, żyję i cieszę się zdrowiem, czego i wam życzę z całego serca. No, pewnie, trochę tam ciągali, pomęczyli. Jakże bez tego się obejść? A ot, Siemion Gawriłowicz Tiszczenko, Panie Boże mu dopomóż, potwierdził na śledztwie moją niewinność. Wprawdzie zdegradowali go na podrzędne stanowisko — a był pierwszym sekretarzem! — ale i tak opinię tak wybitnej osobistości biorą u nas pod uwagę. Możecie

więc nie żywić żadnych obaw i, jak dawniej, wpaść do mnie starego po przyjacielsku. Także weźcie pod uwagę, że kiedy siadam do pisania, drzwi u mnie zawsze zamknięte, nikt obcy nie wejdzie, nie przeszkodzi... Dlaczego ukrywacie się, profesorze? Dajcie jakiś umowny znak, napiszcie chociażby jedną literkę między wierszami, a ja wszystko zrozumie i we wszystko uwierzę... Ech, tacy dziwni jesteście! Niczego wam przecież nie żałowałem. Skomponowałem życiorys. Mamusi Leonida Iwanowicza surowo nakazałem, żeby żałobną mszę na waszą intencję zamówiła, i trzy ruble zaofiarowałem dla waszej przyjemności. A wy, kiedy kolega prosi, nie chcecie mu pomóc! Samsonie Samsonowiczu, zwracam się z prośbą nie dla własnej korzyści i nie ze względu na to opowiadanie które i tak zostało napisane bez waszej porady. O miasto Lubimow, o ojczysty kraj mi się rozchodzi, o wasz kraj, panie Proferansow, któryście tak nikczemnie zdradzili. Nie gniewajcie się: zażartowałem. Dlaczego nie mielibyśmy raz jeszcze, jak dawniej, przyłożyć się i spróbować ponownie przekręcić koło historii? Sprawić tylko trzeba, żeby wrócił Lonia Tichomirow, żeby wrócił car i wolność i ta — jakże się nazywa? — tamtą energię przywróćcie, a my wam raz-dwa wybudujemy komunizm...

Mówiąc tak dokładniej między nami, tylko bardzo proszą, profesorze, o tym nikomu ani słowa, zełgałem ci wczoraj na temat naszej dobrej sytuacji. Sytuacja taka, że gorszej nie znajdziesz. Śledztwo trwa dalej. Lada chwila zaczną się w mieście nowe aresztowania. Siedzę i trzęsę się, że zrobią rewizję i znajdą pod deską podłogi ten rękopis, a wtedy po jego przeczytaniu wyłapią nas co do jednego. Słuchaj-no, profesorze. Przecież jesteś współautorem. Schowaj do czasu gdzieś u siebie to nasze opowiadanko. Niech się odleży, póki co, w niedostępnej kasie ogniotrwałej. Zabrałeś przecież rękopis od Loni. Masz chyba jakiś zaciszny zakątek. Skrytkę jakąś. Przytul do czasu. Czyż to nie twoja własność?

1962-1963

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	7
Rozdział I — <i>O naukowym przewrocie dokonanym 1 maja przez Lonię Tichomirowa</i>	14
Rozdział II — <i>Wyjaśniający przyczyny tego, co stało się w Rozdziale pierwszym</i>	23
Rozdział III — <i>Dzień zwycięstwa</i>	38
Rozdział IV — <i>Przyjmowanie interesantów</i>	64
Rozdział V — <i>Doczesne i pozagrobowe życie Sam- sona Samsonowicza Proferansowa</i>	85
Rozdział VI — <i>Na ostrzu noża</i>	93
Rozdział VII i ostatni — <i>Końcowe akordy</i>	121

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 7 OCTOBRE 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 4^e trim. 1963

Kra

9 F (dol. 2,00; 13/6)